

Agatha Christie

Podróż w nieznane

Przełożyła Anna Polak

Tytuł oryginału Destination Unknown

Antoniemu,

*który lubi zagraniczne
podróże tak samo jak ja.*

Rozdział I

Siedzący za biurkiem mężczyzna przesunął ciężki szklany przycisk do papieru o dziesięć centymetrów w prawo. Miał twarz nie tyle zamyśloną czy oderwaną od rzeczywistości, co pozbawioną wszelkiego wyrazu. Bładość jego cery znamionowała człowieka spędzającego większość dnia przy sztucznym świetle. Wyczuwało się w nim niechęć do opuszczania zamkniętych pomieszczeń, a biurka i kartoteki uważał pewnie za swe naturalne środowisko. Aby dotrzeć do jego gabinetu, należało pokonać sieć długich i krętych korytarzy, co jakoś dziwnie wydawało się właściwe i uzasadnione. Trudno by określić jego wiek. Nie wyglądał ani staro, ani młodo. W gładkiej, nie naznaczonej zmarszczkami twarzy tkwiły oczy, z których wyzierało wielkie zmęczenie.

Drugi mężczyzna był starszy. Miał ciemne włosy i mały, „wojskowy” wąsik. Promieniowała z niego jakaś pobudzająca do działania, nerwowa energia. Nawet teraz nie potrafił usiedzieć spokojnie, spacerował tam i z powrotem, wyrzucając z siebie od czasu do czasu zgryźliwe uwagi.

— Raporty! — wściekał się. — Raporty, raporty, coraz więcej raportów, a wszystko to, psiakrew, funta kłaków niewarte!

Mężczyzna przy biurku patrzył na leżące przed nim papiery. Na wierzchu miały etykietkę z nagłówkiem: „Betterton, Tomasz Karol”. Za nazwiskiem widniał znak zapytania. Mężczyzna przy biurku pokiwał z namysłem głową.

— Przystudiowałeś wszystkie i żaden nie jest nic wart? Starszy człowiek wzruszył ramionami.

— Trudno powiedzieć.

Mężczyzna za biurkiem westchnął.

— No właśnie — rzekł. — Właśnie o to chodzi. Trudno powiedzieć, rzeczywiście!

Starszy mężczyzna wybuchnął z gwałtownością przywodzącą na myśl serię z karabinu maszynowego:

— Raporty z Rzymu, raporty z okolic Tours! Widziano go na Rivierze, zauważono w Antwerpii, z całą pewnością zidentyfikowano w Oslo, ktoś się za nim obejrzał w Biarritz, w Strasburgu zwrócił na siebie uwagę podejrzanym zachowaniem, na plaży w Ostendzie pokazał się ponoć w towarzystwie fantastycznej blondynki, a po Brukseli spacerował z chartem na smyczy! Nie widziano go tylko w zoo przytulonego do zebry, ale śmiem twierdzić, że i to nastąpi!

— Nie znalazłeś nic szczególnie interesującego, Whartonie? Osobiście wiązałem duże nadzieje z raportem z Antwerpii, ale doprowadził donikąd. Oczywiście, teraz... — młodszy mężczyzna umilkł i zdawało się, że zapadł w letarg. Zaraz jednak dodał tajemniczo: — Tak, prawdopodobnie... a jednak... zastanawiam się.

Pułkownik Wharton przysiadł nagle na poręczy krzesła.

— A przecież musimy to rozgryźć — rzekł z naciskiem. — Musimy zburzyć ten mur różnych „jak”, „dlaczego” i „gdzie”. Nie możemy tracić prawie co miesiąc jednego naiwnego naukowca, nie mając pojęcia, jak znikają, dlaczego i gdzie! Tam, gdzie myślimy, czy też nie? Zawsze uważaliśmy to za coś oczywistego, ale teraz nie jestem pewien. Czytałeś ten materiał o Bettertonie przysłany z Ameryki?

Mężczyzna za biurkiem kiwnął głową.

— Zwykle prolewicowe skłonności. Wtedy przejawiali je wszyscy. Nic, co mogłoby świadczyć o utrwalonych poglądach, w każdym razie na nic takiego nie natrafiono. Podobno miał jakieś osiągnięcia naukowe przed wojną, ale nie było to nic spektakularnego. Kiedy Mannheim uciekł z Niemiec, przydzielono mu Bettertona do pomocy. Skończyło się to małżeństwem z córką profesora. Po śmierci Mannheim kontynuował doświadczenia i świetnie sobie radził. Zdobył sławę odkrywając proces rozszczepienia atomu przy zerowej energii, czyli w skrócie ZE. Było to odkrycie genialne, które całkowicie zrewolucjonizowało naukę. Betterton znalazł się na szczycie. Rokowano mu błyskotliwą karierę, ale jego żona zmarła niedługo po ślubie, i to go załamało. Przyjechał do Anglii. Przez ostatnich osiemnaście miesięcy przebywał w Harwell. Pół roku temu ożenił się ponownie.

— Może tu się coś kryje? — zapytał gwałtownie Wharton. Jego rozmówca potrząsnął głową.

— Nic na to nie wskazuje. Ona jest córką miejscowego prawnika. Przed ślubem pracowała w firmie ubezpieczeniowej. Nie stwierdzono, by miała jakiegokolwiek powiązania polityczne.

— Rozszczepienie ZE — powiedział pułkownik Wharton ponuro i z niesmakiem. — Te nowoczesne terminy strasznie mnie denerwują. Jestem człowiekiem starej daty. Nigdy nawet nie widziałem molekuly, a teraz okazuje się, że mogą wysadzić w powietrze wszechświat! Bomba atomowa, rozszczepienie nuklearne, rozszczepienie ZE i cała ta reszta! A Betterton był jednym z tych szaleńców! Co mówią o nim w Harwell?

— Że to miły facet. Jeśli chodzi o pracę, nie zajmował się niczym niezwykłym czy specjalnie godnym uwagi. Po prostu opracowywał kolejne warianty praktycznego zastosowania ZE.

Obydwaj milczeli przez chwilę. Rozmowa się nie kleiła, przypominała niemal automatyczne przerzucanie się zdaniem. Przed nimi leżał stos raportów, z których nic nie wynikało.

— Oczywiście od przyjazdu tutaj znajdował się pod ścisłą obserwacją — zauważył Wharton.

— Tak, wszystko było jak trzeba.

— Osiemnaście miesięcy... — rzekł pułkownik z namysłem. — To ich załamuje, wiesz. Środki ostrożności. Przebywanie cały czas jakby w okularze mikroskopu. Życie jak w klasztornej celi. Stają się nerwowi, prawie nienormalni. Widywałem to nieraz. Zaczynają marzyć o idealnym świecie, o wolności i braterstwie, o pracy dla dobra ludzkości! W takim właśnie momencie ci, których można by nazwać zakałami rodzaju ludzkiego, dostrzegają swoją szansę i wykorzystują ją! — Potarł nos. —

Nikt nie jest tak łatwowerny jak naukowcy. Wszystkie pozory na to wskazują. Nie bardzo wiem, dlaczego.

Zmęczona twarz rozmówcy rozjaśniła się uśmiechem.

— O, tak — wtrącił. — To prawda. Myślę, że wiedzę, rozumiesz. To zawsze bywa niebezpieczne. My jesteśmy inni. Pokorni. Nie zamierzamy zbawić świata. Sklejamy potłuczone kawałki i usuwamy poprzeczki blokujące drogę innym. — Bębnił palcami po biurku. — Gdybym tylko wiedział coś więcej o Bettertonie — ciągnął. — Nie chodzi mi o jego życiorys czy działalność, ale drobne codzienne sprawy, które tyle mogą wyjaśnić. Z jakich dowcipów się śmiał, kiedy kłął, jakich ludzi podziwiał, a jacy go irytowali?

Wharton popatrzył na niego z zaciekawieniem.

— A jego żona? Rozmawiałaś z nią?

— Kilka razy.

— Nie potrafiła ci pomóc?

Mężczyzna za biurkiem wzruszył ramionami.

— Jak dotąd, nie.

— Myślisz, że coś wie?

— Nie przyznaje się do tego, oczywiście. Stereotypowe reakcje: zmartwienie, przygnębienie, rozpaczliwy niepokój, żadnych podejrzeń, życie męża absolutnie normalne, bez stresów i tak dalej, i tak dalej. Ona sądzi, że go porwano.

— A ty jej nie wierzysz?

— Ja jestem ułomny — odparł gorzko mężczyzna za biurkiem. — Nigdy nikomu nie wierzę.

— Cóż — rzekł Wharton powoli — musimy mieć oczy szeroko otwarte. Jaka ona jest?

— Zwyczajna kobieta, jak te, które spotykasz każdego dnia przy brydżu.

Wharton kiwnął głową ze zrozumieniem.

— To jeszcze bardziej wszystko utrudnia — zauważył.

— Ona właśnie czeka na spotkanie ze mną. Raz jeszcze przekopujemy się przez wszystko od początku.

— To jedyny sposób — zgodził się Wharton. — Ja jednak nie nadaję się do tego. Nie mam cierpliwości. — Wstał. — No, nie przeszkadzam ci dłużej — oznajmił. — Nie posunęliśmy się

zbyttnio do przodu, prawda?

— Niestety nie. Mógłbyś raz jeszcze sprawdzić ten raport z Oslo?

Wharton kiwnął głową i wyszedł. Mężczyzna za biurkiem ujął słuchawkę wewnętrznego telefonu i powiedział:

— Przyjmę teraz panią Betterton. Proszę ją wpuścić.

Siedział, wpatrując się w przestrzeń, dopóki nie usłyszał pukania. Pani Betterton była wysoką kobietą w wieku około dwudziesta siedmiu lat. Najbardziej rzucała się w oczy wspaniała obfitość kasztanowych włosów, przy której sama twarz zdawała się prawie bez znaczenia. Miała niebieskozielone oczy i jasne rzęsy, typowe dla rudowłosych. Zauważył, że nie malowała się. Witając ją i zapraszając do zajęcia wygodnego krzesła przy biurku, rozważał jednocześnie, czy to coś znaczy. Był skłonny wierzyć, że pani Betterton ma do powiedzenia dużo więcej, niż się do tego przyznaje.

Wiedział z doświadczenia, że kobiety pogrążone w rozpacz nie zaniedbują makijażu. Świadome spustoszeń, jakie ból czyni na ich twarzach, starają się je ukrywać. Zastanawiał się, czy pani Betterton celowo zrezygnowała z makijażu, by lepiej odegrać rolę żony, która w zmartwieniu nie przywiązuje wagi do swego wyglądu.

Odezwała się, z trudem łapiąc oddech:

— Och, panie Jessop, obudził pan we mnie nadzieję... Czy są jakieś wiadomości?

Potrząsnął łagodnie głową.

— Przykro mi, że musiałem panią fatygować, ale chcę jeszcze raz zadać pani kilka pytań. Obawiam się, że nie mamy jeszcze nic konkretnego.

Oliwią Betterton odpowiedziała tylko:

— Wiem. Napisał pan to w liście. Ale myślałam, że... od tego czasu... och! Cieszyłam się, że mogę tu przyjść. Siedzenie w domu, czekanie i rozmyślanie o tym wszystkim jest nie do zniesienia. I świadomość, że nic nie można zrobić!

Człowiek o nazwisku Jessop starał się ją uspokoić:

— Proszę mi nie mieć za złe, pani Betterton, że ciągle zadaję te same pytania, czepiam się tego samego. Widzi pani, zawsze istnieje możliwość, że ujawni się jakiś szczegół, coś, o czym nie pomyślała pani wcześniej albo co nie wydawało się pani godne wzmianki.

— Tak. Tak, rozumiem. Proszę pytać.

— Ostatni raz widziała pani męża dwudziestego trzeciego sierpnia?

— Tak.

— Tego dnia wyjechał z Anglii na konferencję do Paryża?

— Tak.

Jessop nagle się zdecydował:

— Uczestniczył w dwóch pierwszych dniach konferencji. Trzeciego się nie pokazał. Wiemy, że wspomniał jednemu z kolegów, że wybiera się na rejs *bateau mouche*.

— *Bateau mouche*? Co to jest *bateau mouche*?

Jessop uśmiechnął się.

— To rodzaj spacerowych stateczków kursujących po Sekwanie. — Popatrzył na nią ostro. — Czy to wydaje się pani dziwne? — Nietypowe dla męża?

— Chyba tak — odparła niepewnie. — Wydaje mi się, że temat konferencji mocno go interesował.

— Możliwe. Ale przedmiotem dyskusji były tego dnia problemy dość odległe od jego specjalności, więc mógł zrobić sobie wolny dzień. Ale nie spodziewałaby się pani po nim takiego zachowania?

Potrząsnęła głową.

— Nie wrócił wieczorem do hotelu — ciągnął Jessop. — Nie stwierdzono, by przekroczył granicę, a w każdym razie nie z własnym paszportem. Czy myśli pani, że mógł mieć drugi paszport na inne nazwisko?

— Och, nie, po co?

Przyglądał się jej uważnie.

— Nigdy nie zauważyła pani, by posiadał coś takiego?

Jeszcze raz gwałtownie zaprzeczyła:

— Nie, i nie wierzę w to. Nie wierzę ani przez chwilę. Nie wierzę, że zaplanował wyjazd, co próbuje mi pan zasugerować. Coś musiało się stać... może stracił pamięć.

— Stan jego zdrowia był dobry?

— Tak. Dużo pracował i czasami bywał zmęczony, ale nic poza tym.

— Może czymś się martwił? Był w depresji?

— Niczym się nie martwił! — Drżącymi palcami otworzyła torebkę i wyjęła chusteczkę. — To

— takie straszne. — Jej głos również drżał. — Nie mogę w to uwierzyć. Nie wyjechałby nigdzie, nie dając mi znać. Coś mu się stało. Porwano go lub napadnięto. Próbuje o tym nie myśleć, ale chwilami czuję, że to okrutna prawda. On nie żyje.

— Ależ, pani Betterton... Proszę... Nie ma jeszcze powodów do takich przypuszczeń. Gdyby nie żył, do tej pory odnaleziono by ciało.

— Niekoniecznie. Różnie bywa. Mógł utonąć lub zostać zepchnięty w przepaść. Jestem pewna, że w Paryżu wszystko może się zdarzyć.

— Zapewniam panią, że Paryż to cywilizowane miasto.

Odjęła chusteczkę od oczu i popatrzyła na niego gniewnie.

— Wiem, o czym pan myśli, ale to nieprawda! Tom nie sprzedałby się i nie zdradził naukowych sekretów. Nie był komunistą. Jego życie to otwarta księga.

— Jakie miał przekonania polityczne?

— W Ameryce był demokratą. Tutaj głosował na laburzystów. Nie interesował się polityką. Był przede wszystkim naukowcem. Genialnym naukowcem — powtórzyła wyzywająco.

— Tak — zgodził się Jessop. — Był genialnym naukowcem. W tym sęk. Możliwe, że zaproponowano mu coś wyjątkowo atrakcyjnego za opuszczenie kraju i pracę dla kogoś innego.

— Nieprawda. — Znowu była wściekła. — To właśnie próbują nam wmówić gazety. Pan też tak myśli, zadając mi te pytania. To nieprawda. Nie wyjechałby, nie mówiąc mi o tym, nie zostawiając najmniejszej wskazówki.

— Nic pani nie powiedział?

Znowu przyglądał się jej przenikliwie.

— Nic. Nie wiem, gdzie przebywa. Myślę, że go porwano albo jak już mówiłam, że nie żyje. Ale jeżeli nie żyje, muszę znać prawdę, i to jak najszybciej. Nie potrafię tak żyć, czekając i wciąż myśląc. Nie mogę ani jeść, ani spać. Jestem chora z niepokoju. Czy nie może mi pan pomóc? Czy nic nie może pan zrobić?

Podniósł się i okrążył biurko. Rzekał cicho:

— Przykro mi, pani Betterton, bardzo mi przykro. Zapewniam panią, że robimy wszystko, co w naszej mocy. Codziennie dostajemy raporty z rozmaitych miejsc.

— Raporty, skąd? — zapytała ostro. — Co w nich jest?

Potrząsnął głową.

— Trzeba je uważnie prześledzić, posprawdzać. Ale obawiam się, że są dość mgliste.

— Muszę wiedzieć — powiedziała roztrzęsionym głosem. — Nie mogę już tak żyć.

— Bardzo zależy pani na mężu?

— Oczywiście. Przecież byliśmy małżeństwem zaledwie od pół roku. Dopiero od pół roku.

— Tak, wiem. Czy nie było, proszę wybaczyć pytanie, między państwem żadnej kłótni?

— Och, nie!

— Żadnych nieporozumień? Może inna kobieta?

— Oczywiście, że nie. Mówiłam już panu. Pobraliśmy się w kwietniu.

— Proszę mi wierzyć, nie robię żadnych sugestii, ale muszę brać pod uwagę wszystkie możliwości, które mogły doprowadzić go do takiego posunięcia. A zatem, nie był ostatnio zmartwiony, zaniepokojony, nerwowy bardziej niż zwykle?

— Nie, nie, nie!

— Ludzie, którzy mają tego typu zawód, często stają się nerwowi. Życie pod stałą obserwacją, wśród środków ostrożności prowadzi do stresów. Właściwie — uśmiechnął się — to normalne.

Nie odwzajemniła uśmiechu.

— Zachowywał się normalnie — powtórzyła apatycznie.

— Praca dawała mu zadowolenie? Rozmawiał o tym z panią?

— Nie, to wszystko było zbyt... techniczne.

— Czy nie sądzi pani, że mogły go niepokoić... destrukcyjne możliwości wynalazku? Naukowcy czasem coś takiego odczuwają.

— Nigdy mi o tym nie mówił.

— Widzi pani — pochylił się na biurkiem, tracąc odrobinę swej niewzruszonej obojętności — staram się stworzyć sobie obraz pani męża. Chcę wiedzieć, jakim był człowiekiem. A pani z jakiegoś powodu nie chce mi w tym pomóc.

— Ależ co mogę jeszcze zrobić? Odpowiedziałam na wszystkie pańskie pytania.

— Tak, odpowiedziała pani. Głównie negatywnie. Potrzebuję czegoś pozytywnego, konstruktywnego. Rozumie pani, co mam na myśli? Łatwiej jest szukać człowieka, kiedy się go zna.

Zamyśliła się na moment.

— Rozumiem. W każdym razie tak mi się wydaje. Cóż, Tom był wesoły i zrównoważony. I oczywiście bardzo inteligentny.

Jessop uśmiechnął się.

— Same zalety! Spróbujmy znaleźć coś bardziej osobistego. Czy dużo czytał?

— Tak, dość dużo.

— Jakiego rodzaju książki?

— Biografie. Pozycje rekomendowane przez Towarzystwo Miłośników Książek. Kiedy był zmęczony — kryminały.

— Raczej konwencjonalny czytelnik. Żadnych specjalnych upodobań? Grywał może w karty lub szachy?

— W brydża. Zwykle grywaliśmy z doktorem Evansem i jego żoną raz lub dwa razy w tygodniu.

— Czy miał wielu przyjaciół?

— O tak, był bardzo towarzyski.

— Nie o to mi chodzi. Czy należał do ludzi, którym zależy na przyjaźni?

— Grywał w golfa z jednym czy dwoma naszymi sąsiadami.

— Wiec nie miał bliskich, serdecznych przyjaciół?

— Nie. Widzi pan, przebywał długo w Stanach, a urodził się w Kanadzie. Nie znał tu zbyt wielu osób.

Jessop spojrział na karteczkę przy swoim łokciu.

— Ostatnio odwiedziły go trzy osoby ze Stanów. Mam tu ich nazwiska. Z tego, co wiemy, to jedyni ludzie z zewnątrz, z którymi się kontaktował. Dlatego zajmujemy się nimi ze szczególną uwagą. Po pierwsze, Walter Griffiths. Odwiedził państwa w Harwell.

— Tak. Przebywał akurat w Anglii i przyjechał zobaczyć się z Tomem.

— Jaka była reakcja pani męża?

— Tom był zaskoczony, ale bardzo zadowolony ze spotkania. Znali się bardzo dobrze w Stanach.

— Spodobał się pani? Proszę go opisać.

— Jestem przekonana, że wie pan o nim wszystko.

— Owszem. Wiem wszystko. Ale chcę usłyszeć, co pani o nim sądzi?

Zamyśliła się na chwilę.

— Cóż, był poważny i raczej gadatliwy. Bardzo uprzejmy w stosunku do mnie. Wyglądało na to, że lubi Toma i koniecznie chce mu opowiedzieć o wszystkim, co się działo po jego wyjeździe do Anglii. Myślę, że były to lokalne plotki. Nie interesowałam się nimi, bo nie znam ludzi, których dotyczyły. Zresztą podczas tych wspomnień przygotowywałam obiad.

— Nie rozmawiali o polityce?

— Chce się pan dowiedzieć, czy jest komunistą? — Twarz Oliwii Betterton okryła się rumieńcem. — Jestem pewna, że nie. Pracuje dla rządu... chyba w okręgowym biurze adwokackim. Zresztą kiedy Tom rzucił żartem uwagę o polowaniach na czarownice w Stanach, Griffiths powiedział poważnie, że my tego nie rozumiemy. I że to było konieczne. Widzi pan więc, że nie jest komunistą.

— Pani Betterton, proszę się nie denerwować.

— Tom nie był komunistą! Ciągle to powtarzam, a pan mi nie wierzy.

— Ależ wierzę, ale muszę wracać do tego tematu. Teraz drugi przybysz z zagranicy, doktor Mark Lucas. Spotkali go państwo przypadkiem w Londynie w restauracji hotelu „Dorset”.

— Tak, poszliśmy na rewię, a potem jedliśmy kolację w „Dorset”. Nagle ten pan, Luke czy Lucas, podszedł i przywitał się z Tomem. Jest, jak mi się wydaje, chemikiem i ostatni raz widział się z Tomem w Stanach. To niemiecki uchodźca, który przyjął obywatelstwo amerykańskie. Ale na pewno...

— Ale na pewno to wiem, tak? Tak, pani Betterton, wiem. Czy pani mąż był zaskoczony tym spotkaniem?

— Tak, bardzo.

— A ucieszył się?

— Tak... chyba tak.

— Ale nie jest pani pewna? — nalegał.

— Cóż, Tom powiedział później, że za nim nie przepada, to — wszystko.

— To było tylko przypadkowe spotkanie? Panowie nie umówili się na inny dzień?

— Nie, tylko przypadkowe spotkanie.

— Rozumiem. Trzecią osobą z zagranicy była kobieta, pani Carol Speeder, również ze Stanów. Jak do tego doszło?

— Ona ma jakieś powiązania z ONZ. Znała Toma w Ameryce, więc kiedy przyjechała do Londynu, zadzwoniła do niego i zapytała, czy nie zjedlibyśmy z nią lunchu któregoś dnia.

— Spotkali się z nią państwo?

— Nie.

— Pani nie, ale pani mąż tak!

— Co? — wykrzyknęła zaskoczona.

— Nie powiedział pani?

— Nic o tym nie wiem.

Oliwią Betterton wyglądała na zbitą z tropu i zaniepokojoną. Przesłuchującemu ją mężczyźnie zrobiło się jej trochę żal, ale nie ustępował. „Nareszcie coś drgnęło” — myślał.

— Nie rozumiem — powiedziała niepewnie. — To dziwne, że się nie przyznał.

— Jedli razem lunch w „Dorset”, gdzie pani Speeder zatrzymała się podczas pobytu w Londynie. Było to w środę dwunastego sierpnia.

— Dwunastego sierpnia?

— Tak.

— Był wtedy w Londynie... Nigdy mi nie wspominał o... — Głos się jej załamał. Nagle rzuciła pytanie: — Jaka ona jest?

Uspokoił ją szybko:

— Niezbyt oszałamiająca. Typ znającej się na rzeczy, robiącej karierę kobiety. Ma około trzydziestki, nie jest specjalnie ładna. Nic absolutnie nie wskazuje na zażyłe stosunki z pani mężem. Dlatego dziwi mnie, że nie powiedziała pani o tym spotkaniu.

— Tak, tak, rozumiem.

— Teraz proszę się zastanowić, pani Betterton. Czy od tego momentu zauważyła pani jakąś zmianę w mężu? Powiedzmy, w połowie sierpnia? To było około tygodnia przed konferencją.

— Nie... nie, nic nie zauważyłam. Nic godnego uwagi.

Jessop westchnął.

Telefon na biurku zabrzączał cicho. Jessop podniósł słuchawkę.

— Tak?

Głos po drugiej stronie powiedział:

— Jest tu mężczyzna, który chce się widzieć z kimś, kto zajmuje się sprawą Bettertona.

— Jak się nazywa?

Głos po drugiej stronie zakaszłał dyskretnie.

— Cóż, nie jestem pewien, jak to się wymawia, panie Jessop. Może przeliteruję?

— Dobrze. Słucham — Zapisywał na kartce kolejne litery nazwiska. — Polak? — zapytał w końcu.

— Nie wiem. Dobrze mówi po angielsku, ale ma obcy akcent.

— Proszę mu powiedzieć, żeby zaczekał.

Jessop odłożył słuchawkę. Potem popatrzył na Oliwię Betterton. Siedziała cicho. Była w niej rozbrajająca beznadziejna potulność. Wyrwał kartkę z notatnika i pokazał jej to, co przed chwilą zapisał.

— Zna pani kogoś o tym nazwisku?

Jej oczy rozszerzyły się. Przez chwilę myślał, że się czegoś przestraszyła.

— Tak — odpowiedziała. — Znam. Dostałam od niego list.

— Kiedy?

— Wczoraj. Jest kuzynem pierwszej żony Toma. Właśnie przyjechał do Anglii. Bardzo się przejął zaginięciem męża. Pytał, czy nie mam informacji... Chciał przekazać wyrazy współczucia.

— Nigdy wcześniej pani o nim nie słyszała?

Potrząsnęła głową.

— Mąż nigdy o nim nie mówił?

— Nie.

— A może to wcale nie jest kuzyn pierwszej żony pani męża?

— Cóż, nie wiem. Nigdy wcześniej o tym nie pomyślałam. — Pytanie wstrząsnęło nią. — Pierwsza żona Toma była cudzoziemką. To córka profesora Mannheima. Wydaje mi się, że ten człowiek wie wszystko o niej i o Tomie. Jego list był bardzo formalny i... taki „cudzoziemski”, rozumie pan? Chyba był autentyczny. A zresztą jaki miałoby to sens i cel, gdyby nie był autentyczny?

— To nas właśnie interesuje. — Jessop uśmiechnął się lekko. — Mamy tu tyle tego rodzaju spraw,

że może zaczynamy wyolbrzymiać wszystkie detale.

— Chyba tak. — Nagle wzdrygnęła się jakby z zimna. — Przypomina to pański gabinet w środku labiryntu korytarzy. Zupełnie jak we śnie, w którym człowiek boi się, że nie znajdzie wyjścia. ..

— Tak, tak, rozumiem, że u niektórych może wywoływać objawy klaustrofobii — zgodził się Jessop.

Oliwią Betterton odgarnęła włosy z czoła.

— Nie wytrzymam dłużej — powiedziała. — Tego siedzenia i czekania. Chcę wyjechać i odpocząć. Najchętniej za granicę, gdzieś, gdzie reporterzy nie będą do mnie w kółko dzwonili, a ludzie nie będą się za mną oglądać na ulicy. Ciągłe spotykam znajomych, którzy pytają o nowiny. — Przerwała na chwilę. — Myślę... myślę, że jestem bliska załamania. Próbowałam być dzielna, ale to zbyt trudne. Mój lekarz też tak uważa. Twierdzi, że powinnam wyjechać na trzy, cztery tygodnie. Mam z sobą jego list. Pokażę panu.

Pogrzebała w torebce, wyjęła kopertę i podała ją Jessopowi.

— Proszę, niech pan sam zobaczy.

Jessop wyjął list i przeczytał go.

— Tak — powiedział. — Rozumiem. Schował go z powrotem do koperty.

— Czy... będę mogła wyjechać? — W jej oczach widać było napięcie.

— Ależ oczywiście, pani Betterton — odparł i uniósł brwi w zdumieniu. — Czemu nie?

— Myślałam, że może się pan sprzeciwić.

— Sprzeciwić... Dlaczego? To wyłącznie pani sprawa. Proszę tylko zostawić wiadomość, jak mam się z panią skontaktować, w razie gdybym zdobył jakieś nowe informacje.

— Tak, oczywiście.

— Dokąd chce się pani wybrać?

— Gdzieś, gdzie nie spotkam zbyt wielu Anglików. Hiszpania lub Maroko.

— Świetnie. Jestem pewien, że dobrze to pani robi.

— Dziękuję. Dziękuję panu bardzo.

Podniosła się, podniecona i nadal wyraźnie zdenerwowana.

Jessop wstał również i uścisnął jej dłoń. Nacisnął guzik i poprosił gońca, by ją wyprowadził. Po

chwili ponownie usiadł za biurkiem. Przez kilka chwil jego twarz, jak uprzednio, pozostawała bez wyrazu, potem bardzo powoli rozjaśniła się w uśmiechu. Podniósł słuchawkę.

— Przyjmę teraz majora Glydra — powiedział.

Rozdział II

— Major Glydr? — Jessop zawahał się przy nazwisku.

— Jest trudne, wiem — rzekł gość ze zrozumieniem. — Pańscy rodacy nazywali mnie podczas wojny Glider. Teraz postanowiłem w Stanach zmienić nazwisko na Glyn. Tak jest o wiele wygodniej.

— Przyjechał pan ze Stanów?

— Tak, tydzień temu. Pan Jessop, prawda?

— Jestem Jessop.

Rozmówca popatrzył na niego z zainteresowaniem.

— Słyszałem o panu.

— Naprawdę? Od kogo? Major uśmiechnął się.

— Może posuwamy się zbyt szybko. Zanim pozwoli mi pan zadać kilka pytań, przekażę panu list z amerykańskiej ambasady.

Podał go z ukłonem. Jessop wziął list, przeczytał kilka linijek uprzejmej rekomendacji i odłożył go na biurko. Przyjrzał się uważnie gościowi. Był to wysoki mężczyzna około trzydziestki. Miał wyprostowaną sylwetkę i jasne włosy, krótko ostrzyżone, zgodnie z kontynentalną modą. Mówił wolno, z obcą intonacją, ale bez błędów gramatycznych. Nie okazywał zdenerwowania czy niepewności. Jessop uznał to za niezwykle. Ludzie, którzy odwiedzali jego gabinet, byli zdenerwowani, podekscytowani lub przestraszeni. Czasami trafiali się wśród nich osobnicy przebiegli, czasem gwałtowni.

Ten człowiek idealnie panował nad sobą. Miał pokerową twarz, wiedział, co robi i dlaczego. Widać było, że nie da się go skłonić do powiedzenia więcej, niż zamierzał. Jessop odezwał się uprzejmie:

— Czym mogę panu służyć?

— Przyszedłem zapytać, czy może ma pan jakieś wiadomości o Tomaszu Bettertonie, który zaginął niedawno w dość sensacyjnych okolicznościach. Wiem, oczywiście, że nie można wierzyć gazetom, i dlatego szukam wiarygodnych informacji. Skierowano mnie do pana.

— Przykro mi, ale nie wiemy nic konkretnego.

— Myślałem, że może wysłano go za granicę z jakąś misją. — Zrobił pauzę i dodał

porozumiewawczo: — Wie pan, takie cyt– cyt!

— Drogi panie. — Jessop wyglądał na urażonego. — Betterton był naukowcem, a nie dyplomata czy tajnym agentem.

— Udzielił mi pan nagany. A przecież takie etykiety nie zawsze są prawdziwe. Chce pan pewnie wiedzieć, dlaczego mnie ta sprawa interesuje. Tomasz Betterton był ze mną spowinowacony.

— Tak, jest pan, zdaje się, siostrzeńcem nieżyjącego profesora Mannheima.

— Ach, już pan wie. Jest pan rzeczywiście dobrze poinformowany.

— Ludzie przynoszą nam wiadomości — mruknął Jessop. — Była tu żona Bettertona. Mówiła mi o panu. Napisał pan do niej.

— Chciałem złożyć kondolencje i zapytać, czy nie ma jakichś nowin.

— To bardzo uprzejme z pana strony.

— Moja matka była jedyną siostrą profesora Mannheima. Bardzo się kochali. Jako dziecko bywałem często w domu wuja w Warszawie. Jego córka Elza była dla mnie jak siostra. Po śmierci rodziców zamieszkałem z nimi na stałe. To były szczęśliwe dni. Potem wybuchła wojna, tragedia, koszmar. Nie chcę o tym mówić. Mój wuj i Elza uciekli do Ameryki. Ja działałem w podziemiu, a po zakończeniu wojny miałem pewne zobowiązania. Odwiedziłem ich tylko raz, to wszystko, na co mogłem sobie pozwolić. Nadszedł jednak czas, kiedy moje zobowiązania wygasły. Postanowiłem osiąść na stałe w Stanach. Miałem nadzieję znaleźć się blisko wuja, kuzynki i jej męża. Ale, niestety — rozłożył ręce — po dotarciu tam dowiedziałem się, że wuj i kuzynka nie żyją, a jej mąż wyjechał z kraju i ożenił się ponownie. A więc znowu nie miałem rodziny. Potem przeczytałem o zniknięciu znanego naukowca Tomasza Bettertona i przyjechałem tu, by zobaczyć, co się da zrobić. — Tu urwał i spojrzał pytająco na swego rozmówcę. Wzrok Jessopa był idealnie obojętny. — Dlaczego on zniknął, panie Jessop?

— To właśnie chcielibyśmy wiedzieć.

— Może pan wie?

Jessop dostrzegł z zaciekawieniem, że ich role zostały zamienione. W tym pokoju on zwykł zadawać pytania. Tym razem śledztwo prowadził przybysz.

Wciąż uśmiechając się uprzejmie, Jessop odpowiedział:

— Zapewniam pana, że nie.

— Ale coś podejrzewacie?

— Możliwe — rzekł Jessop ostrożnie. — Pewne sprawy przebiegają zwykle według określonego wzorca. Były już wcześniej takie sytuacje.

— Wiem.— Gość wyliczył jednym tchem pół tuzina przypadków. — Sami naukowcy — dodał znacząco.

— Tak.

— Zbiegli za żelazną kurtynę?

— To tylko jedna z możliwości, ale nic pewnego.

— Wyjechali z własnej woli?

— Nawet to trudno stwierdzić — odparł Jessop.

— Myśli pan, że się wtrącam do nie swoich spraw, prawda?

— Och, proszę!

— Ależ ma pan rację. Interesuję się tym wyłącznie ze względu na Bettertona.

— Proszę mi wybaczyć — rzekł Jessop — ale niezupełnie rozumiem. Przecież Betterton jest tylko pańskim powinowatym przez małżeństwo z kuzynką, która już nie żyje. Wcale go pan nie zna.

— Racja. Ale dla nas, Polaków, rodzina jest bardzo ważna. Czujemy się odpowiedzialni za siebie nawzajem. — Wstał i skłonił się sztywno. — Przepraszam, że zabrałem panu tyle czasu. Doceniam pańską uprzejmość.

Jessop podniósł się.

— Przykro mi, że nie możemy panu pomóc — powiedział. — Zapewniam pana, że sami błądzimy w ciemnościach. Gdybym miał jakieś wiadomości, gdzie mogę pana szukać?

— Ambasada amerykańska wyręczy pana. Dziękuję. — Raz jeszcze złożył oficjalny ukłon.

Jego rozmówca nacisnął brzęczyk. Major Glydr wyszedł. Jessop podniósł słuchawkę.

— Proszę poprosić pułkownika Whartona.

Kiedy pułkownik wszedł, Jessop powiedział:

— W końcu coś się zaczyna dziać.

— To znaczy?

— Pani Betterton wybiera się za granicę.

Wharton zagwizdał.

— Chce dołączyć do mężulka?

— Mam nadzieję, że tak. Przyniosła list od lekarza. Podobno potrzebuje zupełnej zmiany otoczenia.

— Nieźle to wygląda!

— Chociaż, oczywiście, może być prawdą — ostrzegł go Jessop.

— Nie przekonamy się o tym siedząc tutaj — powiedział Wharton.

— Nie. Muszę przyznać, że odwalila kawał dobrej roboty. Nie wypadła z roli ani na moment.

— Przypuszczam, że nie wyciągnąłeś z niej nic nowego?

— Jest słaby ślad. Kobieta nazwiskiem Speeder, z którą Betterton jadł lunch w „Dorset”.

— I co?

— Nie powiedział o tym spotkaniu żonie.

— Och! — Wharton zamyślił się. — Myślisz, że to ma jakiś związek?

— Może mieć. Carol Speeder odpowiadała kiedyś przed Komisją do Badania Działalności Antyamerykańskiej. Oczyszczała się z zarzutów, ale... Możliwe, że rzeczywiście była w coś zamieszana. To może być jakiś punkt zaczepienia. Na razie jedyny.

— A co z kontaktami pani Betterton? Nikogo, kto mógłby namówić jej męża do wyjazdu za granicę?

— Żadnych kontaktów osobistych. Ostatnio dostała list od kuzyna pierwszej żony Bettertona. Był tu przed chwilą i wypytywał o szczegóły.

— Jaki jest?

— Nierealny. Poza tym elegancki i poprawny. Wojskowy. Tak, jako osobowość jest zadziwiająco nierealny.

— Myślisz, że mógł dać jej jakiś cynk?

— Możliwe. Nie wiem. Jest dla mnie zagadką.

— Zamierzasz go obserwować?

Jessop uśmiechnął się.

— Tak. Nacisnąłem brzęczyk dwukrotnie.

— Podstępny stary pajak. — Wharton zaraz przeszedł znów do rzeczy: — Jak to chcesz zorganizować?

— Myślę, że Janet i reszta jak zwykle. Hiszpania lub Maroko.

— Nie Szwajcaria?

— Nie tym razem.

— Wydaje mi się, że Hiszpania i Maroko mogą okazać się dla nich trudne do rozgryzienia.

— Nie możemy sobie pozwolić na niedocenywanie przeciwników.

Wharton z niesmakiem przejechał paznokciem po stosie raportów.

— Akurat w tych krajach nikt Bettertona nie widział — rzekł zmartwiony. — Cóż, musimy na to postawić. Mój Boże, jeżeli nam się tym razem nie uda...

Jessop odchylił się w tył.

— Od dawna nie miałem wakacji — powiedział. — Zmęczyła mnie praca biurowa. Możliwe, że wybiorę się za granicę...

Rozdział III

— Lot numer 108 Air France do Paryża. Tędy proszę.

Podróżni zebrani w poczekalni lotniska Heathrow podnieśli się z miejsc. Hilary Craven ujęła mały neseserek z jaszczurczej skórki i ruszyła w ślad za innymi na płytę startową. W porównaniu z rozgrzanym powietrzem w poczekalni wiatr wydawał się dokuczliwie zimny.

Hilary zadrżała i starannie otuliła się futrem. Wraz z innymi pasażerami podążyła do samolotu. Nareszcie leci! Ucieka od szarości, zimna, zastygłej, przytłaczającej rozpacz. Ucieka tam, gdzie słońce, błękitne niebo i nowe życie. Zostawia za sobą całe brzemie nieszczęścia i zawiedzionych nadziei. Wspięła się po schodkach i pochylając w wejściu głowę, przestąpiła próg. Stewardesa odprowadziła ją na miejsce. Po raz pierwszy od miesiący poczuła ulgę. Ból, który cały czas przenikał ją nieomal fizycznie, ustąpił. „Ucieknę — powtarzała sobie z nadzieją. — Zrobię to”.

Ryk silników i drgania samolotu wprowadziły ją w stan podekscytowania. „Jest w tym jakiś dziki żywioł — pomyślała. — Cywilizowana rozpacz to dno. Szarość i beznadzieja. Ale teraz — powtarzała sobie — ucieknę”.

Samolot sunął już gładko po pasie startowym.

— Proszę zapiąć pasy — poleciła stewardesa.

Maszyna zrobiła pół obrotu i zatrzymała się w oczekiwaniu na sygnał. Hilary myślała: „A może się rozbijemy... Może się w ogóle nie oderwiemy od ziemi... Wtedy nastąpi koniec i to będzie najlepsze rozwiązanie wszystkiego”. Wydawało się jej, że już całe wieki tkwią na pasie. Czekając na sygnał do startu ku wolności, Hilary myślała absurdalnie: „Nigdy nie ucieknę, nigdy. Zatrzymają mnie tu jak więźnia...”

Ach, wreszcie.

Samolot zaniósł się jeszcze głośniejszym rykiem i pomknął naprzód.

Szybciej, szybciej, zdawał się prześcigać przestrzeń. Hilary myślała: „Nie podniesie się. Nie da rady... to koniec. Ach, już jesteśmy nad ziemią!” Czuła nie tyle wznoszenie się maszyny, co oddalanie się, opadanie ziemi wraz z problemami, złudzeniami i rozterkami, które odpychała od siebie ta niemal żywa istota, wzbijająca się dumnie prosto ku obłokom. Szli cały czas w górę, okrążając lotnisko. Wyglądało jak zabawka. Kreseczki dróg, maleńkie linie kolejowe z zabawkowymi pociągami.

Śmieszny dziecienny świat, w którym ludzie kochają, nienawidzą i łamią sobie serca. I nic z tego nie liczy się naprawdę, bo wszyscy są tacy komiczni, mali i nieważni.

Nagle znaleźli się nad gęstą masą białoszarych chmur. Pewnie to już kanał. Hilary oparła się

wygodnie i przymknęła oczy. Uciekać. Uciekać. Opuściła Anglię, Nigela i przygnębiający kopczyk ziemi, który był grobem Brendy. Zostawiła to wszystko za sobą. Otworzyła oczy i zamknęła je ponownie z długim westchnieniem. Zasnęła...

Kiedy Hilary obudziła się, samolot schodził do lądowania. Myśląc, że są w Paryżu, wyprostowała się i sięgnęła po torebkę. Ale to nie był Paryż. Pojawiła się stewardesa i pogodnym tonem doświadczonej wychowawczynie, który tak irytuje niektórych podróżnych, poinformowała:

— Lądujemy w Beauvais, ponieważ nad Paryżem jest zbyt gęsta mgła.

Ton jej głosu sugerował: „Czyż to nie będzie miłe, dzieci?”

Hilary wyrzała przez skrawek okna”, ale niewiele mogła dostrzec. Beauvais również tonęło we mgle. Samolot krążył jakiś czas nad lotniskiem, wreszcie wylądował. Pasażerów przeprowadzono przez zimną, mokrą mgłę do obskurnego baraku, w którym stało kilka krzeseł i długi kontuar.

Bliska załamania Hilary próbowała się opanować. Mężczyzna obok niej mruknął pod nosem:

— Stare wojskowe lotnisko. Nie będzie tu komfortu. Ale na szczęście jesteśmy we Francji i na pewno zaraz podadzą jakieś drinki.

Jak na zawołanie pojawił się kelner z tacą i zaoferował pasażerom rozmaite trunki dla poprawienia humoru i uprzyjemnienia długiego, irytującego oczekiwania.

Minęło kilka godzin, podczas których nic się nie działo. Wylądowało jeszcze kilka samolotów, które zawrócono znad Paryża z powodu mgły. Wkrótce małe pomieszczenie wypełniał tłum zmarzniętych, rozdrażnionych, narzekających na opóźnienie ludzi.

Dla Hilary wszystko to miało nierealny wymiar. Czowała się jak we śnie, który miłosiernie chronił, ją przed rzeczywistością. To tylko opóźnienie, tylko przerwa. Jej podróż, jej ucieczka trwała nadal. Nadal odjeżdżała od tego wszystkiego, dążąc do miejsca, gdzie życie rozpocznie się od nowa. Trzymała się. Trzymała mimo wyczerpującego czekania. Przetrzymała nawet zamieszanie, które wybuchło, kiedy dobrze już po zmroku ogłoszono, że przybyły autokary mające przewieźć podróżnych do Paryża.

Nastąpiła chaotyczna krzątanina, pasażerowie wchodzili i wychodzili, pojawili się celnicy i bagażowi. Wszyscy śpieszyli się i wpadali na siebie w ciemnościach. W końcu Hilary, która z zimna nie czuła już rąk i nóg, znalazła się w autokarze. Po chwili ruszyli do Paryża.

Była to długa, męcząca podróż, która zajęła około czterech godzin. Około północy dotarli na plac Inwalidów. Hilary z ulgą zebrała bagaże i pojechała do hotelu, w którym miała zarezerwowany pokój. Zbyt zmęczona, by jeść, wzięła gorącą kąpiel i położyła się.

Samolot do Casablanki miał odlecieć z lotniska Orły o dziesiątej trzydzieści rano, ale okazało się, że jest to niemożliwe. W porcie lotniczym panował całkowity chaos. Przyloty i odloty samolotów z różnych części Europy były opóźnione.

Znękany urzędnik w biurze odlotów wzruszył ramionami:

— *Madame* nie może lecieć samolotem, na który miała rezerwację! Zmieniono wszystkie rozkłady. *Madame* zechce spocząć na chwilę, prawdopodobnie wszystko się samo załatwi.

W końcu wezwano ją i usłyszała, że może lecieć samolotem do Dakaru. Zwykle nie lądował w Casablance, ale tym razem miał zrobić wyjątek.

— Znajdzie się tam pani zaledwie trzy godziny później, *madame*, i to wszystko!

Hilary zgodziła się bez słowa protestu, a urzędnik wydawał się zaskoczony i uradowany jej postawą.

— *Madame*, nie ma pani pojęcia, przez co przeszedłem od rana — powiedział. — *Enfin*, jakże są nierozsądni ci *messieurs* podróżni. Przecież ja nie odpowiadam za mgłę! Oczywiście, wywołała ona przerwy w połączeniach. Trzeba takie rzeczy przyjmować z humorem, oto, co mówię, chociaż, oczywiście, nieuprzejmie jest zmieniać plany. *Après tout, madame*, czy dwu lub trzygodzinne opóźnienie jest aż tak ważne? Jakie ma znaczenie, którym samolotem dotrze się do Casablanki?

Jednakże tego szczególnego dnia miało to olbrzymie znaczenie, o czym nie wiedział jeszcze niski Francuz wypowiadający te słowa. Kiedy Hilary wreszcie znalazła się na rozslonecznionej płycie lotniska w Casablance, bagażowy niosący jej walizki zauważył:

— Ma pani szczęście, *madame*, że nie leciała samolotem rejsowym.

— Dlaczego? Co się stało?

Mężczyzna rozejrzał się dokoła niespokojnie, ale doszedł do wniosku, że są rzeczy, których nie sposób utrzymać w sekrecie. Zniżył konfidencjonalnie głos i pochylił się do niej:

— *Mauvaise affaire!** — mruknął. — Rozbił się podczas lądowania. Zginął pilot, nawigator i większość pasażerów. Przeżyło czterech czy pięciu i zabrano ich do szpitala. Stan niektórych jest ciężki.

Pierwszą reakcją Hilary był ślepy gniew. Prawie natychmiast przeleciała jej przez głowę myśl: „Dlaczego nie było mnie w tym samolocie? Gdybym nim leciała, wszystko już by się skończyło, nie żyłabym. Skończyłby się ból w sercu i tępa rozpacz. Tamci ludzie chcieli żyć. A ja... mnie nie zależy. Dlaczego mnie tam nie było?”

Przeszła przez powierzchowną odprawę celną i pojechała do hotelu. Tego cudownego popołudnia wszystko zdawało się wprost skąpane w słońcu. Czyste powietrze i złocista jasność — wszystko tak, jak sobie wyobrażała. Była tu! Uciekła od mgły, zimna i ciemności Londynu. Zostawiła za sobą rozpacz, rozterki i cierpienie. Tutaj pulsowało wokół niej życie, otaczały ją żywe kolory, świeciło słońce.

Odsunęła okiennice i wyjrzała na ulice. Tak, wszystko wyglądało właśnie tak, jak myślała. Hilary odwróciła się z wolna od okna i usiadła na łóżku. Uciekać, uciekać! Te słowa jak refren

nieprzerwanie rozbrzmiewały w jej mózgu od chwili opuszczenia Anglii. Uciekać. Uciekać. Ale teraz wiedziała, porażona nagle straszliwą pewnością, że ucieczki nie było.

Wszystko wyglądało tak samo jak w Londynie. Usiłowała uciec od Hilary Craven, a tymczasem Hilary Craven była tą samą osobą zarówno w Maroku, jak w Londynie. Powiedziała do siebie cicho:

— Jakże głupia byłam, jakże głupia jestem. Dlaczego myślałam, że poczuję się inaczej z dala od Londynu?

Grób Brendy, mały, żałosny wzgórek, znajduje się w Anglii. Również w Anglii Nigel wkrótce ożeni się ponownie. Dlaczego wyobrażała sobie, że tutaj te dwie sprawy będą mniej ważne? Pobożne życzenie, nic poza tym. No więc, koniec. Musi zmierzyć się z rzeczywistością. „Można znosić różne rzeczy — myślała — dopóki jest do tego jakiś powód.” Wytrzymała swoją długą chorobę i okrutną, brutalną zdradę Nigela, ponieważ miała Brendę. Potem nadeszła powolna, beznadziejna walka o życie dziewczynki, zakończona klęską... Teraz nie ma już po co żyć.

Trzeba było podróży do Maroka, żeby sobie to uświadomić. W Londynie miała dziwne uczucie, że jeśli tylko wyrwie się dokądkolwiek, to zostawi wszystko za sobą i rozpocznie życie od nowa. Dlatego postanowiła znaleźć miejsce, z którym nic wcześniej jej nie łączyło, miejsce zupełnie dla niej nowe, gdzie byłoby to, co kocha najbardziej: blask słońca, czyste powietrze, a także obcy ludzie i rzeczy. „Tam — myślała — wszystko się zmieni”. Ale się nie zmieniło. Jest tak samo. Fakty są proste i nie można od nich uciec. A ona, Hilary Craven, nie ma najmniejszej ochoty dłużej żyć. Po prostu.

Gdyby nie mgła nad Paryżem, gdyby leciała samolotem, na który miała rezerwację, wtedy problem sam by się rozwiązał. Jej pogruchotane ciało leżałoby teraz w jakiejś urzędowej kostnicy, a wolna od cierpień dusza pławiłaby się w spokoju. Cóż, i tak się na tym skończy, tyle że będzie to wymagało trochę wysiłku.

Byłoby o wiele łatwiej, gdyby zabrała środki nasenne. Przypomniała sobie, jak prosiła o nie doktora Graya, a on odpowiedział z dziwnym wyrazem twarzy:

— Lepiej nie. Musi się pani nauczyć zasypiać bez ich pomocy. Początkowo może być trudno, ale z czasem się uda.

Ten dziwny wyraz twarzy. Czyżby podejrzewał, do czego może dojść? No cóż, to nie powinno być specjalnie skomplikowane. Wstała z łóżka, już zdecydowana. Teraz wyjdzie i poszuka apteki.

Hilary zawsze wyobrażała sobie, że w zagranicznych miastach można bez trudu zdobyć narkotyki. Ku jej zaskoczeniu okazało się to raczej trudne. W aptece otrzymała tylko dwa opakowania. Na większą ilość, poinformował ją sprzedawca, potrzebna jest recepta od lekarza. Podziękowała mu z nonszalanckim uśmiechem i szybko odeszła. W drzwiach zderzyła się z wysokim młodym mężczyzną o poważnej twarzy, który przeprosił ją po angielsku. Zanim znalazła się na ulicy, zdążyła usłyszeć, że prosił o pastę do zębów.

Rozbawiło ją to. Pasta do zębów. Brzmiało to tak śmiesznie, normalnie, codziennie. Nagle przeszył ją ból, bo przypomniała sobie, że tego właśnie gatunku pasty używał Nigel. Przeszła przez ulicę i weszła do sklepu naprzeciwko. Przed powrotem do hotelu odwiedziła cztery apteki. Znow omal się nie roześmiała, gdy w trzeciej z nich spotkała ponownie tego poważnego mężczyznę. Uporczywie pytał o pastę, której widocznie nie sprzedawano we francuskich sklepach w Casablance.

Kiedy Hilary zmieniła suknię i umalowała się przed obiadem, ogarnął ją niemal niefrasobliwy nastrój. Celowo zwlekała z zejściem na dół, ponieważ zależało jej, by nie spotkać się z innymi pasażerami ani też z członkami załogi samolotu. Zresztą było to mało prawdopodobne, gdyż samolot odleciał do Dakaru. Chyba nikt poza nią w Casablance nie wysiadł.

Restauracja hotelowa była prawie pusta, ale Hilary zauważyła znowu tego młodego Anglika, podobnego trochę do sowy. Kończył właśnie posiłek przy stoliku pod ścianą. Potem zaczął czytać francuską gazetę i wyglądało na to, że ta czynność absorbuje go zupełnie.

Hilary zamówiła sobie wyśmienity posiłek i butelkę wina. Nagle poczuła dreszczyk emocji. Pomyślała sobie: „Co mi tam, w końcu to już ostatnia przygoda!” Potem zamówiła do pokoju butelkę wody mineralnej Vichy i prosto z jadalni udała się do siebie na górę.

Kelner przyniósł butelkę, otworzył ją i ustawił na stoliku, a potem życzył Hilary dobrej nocy i opuścił pokój. Kiedy zamknął za sobą drzwi, z westchnieniem ulgi przekreśliła klucz w zamku. Wyjęła z szufladki toaletki cztery małe paczuszki, które kupiła w aptekach, i otworzyła je. Ułożyła tabletki na stole i nalała sobie szklankę Vichy. Teraz pozostało tylko połknąć pigułki i popić wodą.

Rozebrała się, narzuciła szlafrok i usiadła przy stole. Serce zaczęło jej bić oszalałym rytmem. Czuła teraz coś na kształt strachu, ale też i fascynacji. W żadnym wypadku nie miała zamiaru rezygnować. Była spokojna. Myślała zupełnie jasno. Oto wreszcie ucieczka, prawdziwa ucieczka. Spojrzała na papier listowy, zastanawiając się, czy nie powinna zostawić jakiejś wiadomości. Zdecydowała, że nie. Nie miała krewnych ani bliskich przyjaciół. Nie było nikogo, z kim chciałaby się pożegnać. Co do Nigela, to nie zamierzała obciążać go bezsensownymi wyrzutami sumienia, zresztą nie wiadomo, czy jej list by do niego dotarł. Jej były mąż prawdopodobnie przeczyta w gazecie, że pani Hilary Craven zmarła w Casablance z powodu przedawkowania środków nasennych. Będzie to pewnie niewielka wzmianka, którą Nigel po prostu przyjmie do wiadomości. „Biedna

Hilary — powie — co za pech”. I możliwe, że odczuje skrywaną ulgę. Domyślała się, że miał z jej powodu wyrzuty sumienia. Teraz pogodzi się z sobą.

W tej chwili Nigel wydał jej się bardzo odległy i dziwnie nieważny. Nic już nie pozostało do zrobienia. Przełknie pigułki, położy się ł zaśnie. Snem, z którego się nigdy nie obudzi. Nie miała, czy też tak się jej tylko zdawało, żadnych religijnych uczuć. Śmierć Brendy położyła im kres. Więc już nie było się nad czym zastanawiać. Raz jeszcze znajdowała się w podróży, tak jak na lotnisku Heathrow. Czeka na odjazd w nieznane, nie obciążona bagażem, nieczuła na pożegnania, pierwszy raz w życiu wolna, zupełnie wolna. Mogła robić dokładnie to, co chciała. Przeszłość nie miała już do niej dostępu. Długa, bolesna rozpacz, która trawiła ją od świtu po zmierzch, zniknęła. Tak. Lekka, wolna, niczym nie skrzepowana! Gotowa do podróży. Sięgnęła po pierwszą tabletkę. Dokładnie w tym momencie rozległo się ciche, dyskretne pukanie do drzwi. Hilary zmarszczyła brwi. Dłoń z tabletką zawisła w powietrzu. „Kto to może być? Czyżby pokojówka? Nie, łóżko już pościelone. Ktoś z pytaniem o dokumenty i paszport?” Wzruszyła ramionami. Nie otworzy. Co ją to obchodzi? Kimkolwiek jest ta osoba, odejdzie i najwyżej wróci później.

Pukanie powtórzyło się, tym razem nieco głośniejsze. Ale Hilary nie poruszyła się. To nie może być nic pilnego i ten ktoś wkrótce da za wygraną.

Spojrzała na drzwi i nagle jej oczy rozszerzyły się ze zdziwienia. Klucz powoli obracał się w zamku. Wysunął się z niego i upadł na podłogę z metalicznym dźwiękiem. Potem poruszyła się klamka, drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł mężczyzna. Rozpoznała go natychmiast. To był ten poważny, podobny do sowy Anglik, który kupował pastę do zębów. Zaszokowana Hilary wpatrywała się w niego, zbyt zaskoczona, by cokolwiek powiedzieć. Młody człowiek odwrócił się, zamknął drzwi, podniósł z podłogi klucz i przekręcił go w zamku. Potem podszedł do niej i zajął miejsce po przeciwnej stronie stołu. Wreszcie odezwał się w najbardziej niestosowny, według Hilary sposób:

— Nazywam się Jessop.

Hilary zaczerwieniła się gwałtownie. Pochyliła się ku niemu i spytała gniewnie:

— Co pan tu właściwie robi, jeśli wolno spytać?

Popatrzył na nią poważnie i... mrugnął.

— Zabawne — powiedział. — Przyszedłem zadać pani to samo pytanie. — Wskazał głową przygotowane tabletki.

— Nie wiem, o czym pan mówi — odrzekła Hilary ostro.

— Ależ wie pani doskonale.

Hilary milczała, szukając odpowiednich słów. Chciała powiedzieć tyle rzeczy. Wyrazić oburzenie. Kazać mu opuścić pokój. Ale, co najdziwniejsze, zwyciężyła prosta ciekawość. Pytanie spłynęło z jej ust zupełnie mimowolnie i prawie nie była świadoma, że je zadała.

— Ten klucz — powiedziała — przekręcił się w zamku sam?

— Ach, to! — Młody człowiek wyszczerzył zęby w chłopięcym uśmiechu, który odmienił jego twarz. Włożył rękę do kieszeni i wyciągnął z niej metalowy przedmiot, który wręczył jej do obejrzenia. — Proszę— powiedział. — Oto małe, poręczne narzędzie. Wkłada się je po przeciwnej stronie zamka, chwyta nim klucz i przekręca. — Zabrał narzędzie i schował do kieszeni. — Używają tego włamywacze — dodał.

— Więc jest pan włamywaczem?

— Nie, pani Craven, proszę mi wierzyć. Pukałem przecież. Włamywacze nie pukają. Ale kiedy nie chciała mnie pani wpuścić, użyłem tego wytrycha.

— Po co?

Raz jeszcze oczy gościa spoczęły na tabletkach.

— Nie robiłbym tego na pani miejscu — powiedział. — To nie wygląda ani trochę tak, jak pani myśli. Wydaje się pani, że można po prostu zasnąć i nie obudzić się. Ale w rzeczywistości jest trochę inaczej. Mogą wystąpić różne nieprzyjemne objawy. Czasami konwulsje lub gangrena skóry. Jeżeli jest pani odporna na narkotyki, może to długo potrwać. Zdaży się ktoś pojawić i wydarzą się kolejne nieprzyjemności. Płukanie żołądka, olej rycynowy, gorąca kawa, policzkowanie i potrząsanie. Niezbyt to miłe, zapewniam panią.

Hilary odchyliła się w tył i przymknęła oczy. Zaciśnęła pięści i zmusiła się do uśmiechu.

— Jest pan bardzo zabawny — powiedziała. — Czyżby wyobraził pan sobie, że zamierzałam popełnić samobójstwo albo coś w tym rodzaju?

— Nie wyobraziłem sobie — odparł człowiek przedstawiający się jako Jessop. — Jestem zupełnie pewien. Widziałem panią w aptece. Kupowałem właśnie pastę do zębów. Nie mieli gatunku, który lubię, więc poszedłem do drugiego sklepu i znowu natknąłem się na panią. Wszędzie pytała pani o tabletki nasenne. Pomyślałem, że to dziwne i poszedłem za panią. W każdej aptece kupowała pani te same pigułki. Wyciągnąłem więc wnioski.

Ton jego głosu był przyjazny i bezceremonialny, a zarazem pewny siebie. Przyjrząwszy mu się, Hilary Craven zaniechała udawania.

— I nie pomyślał pan, że próba powstrzymania mnie jest niczym nie usprawiedliwioną impertynencją?

Zastanowił się przez moment, po czym potrząsnął głową.

— Nie. To jedna z tych rzeczy, których nie można nie zrobić... jeżeli pani rozumie, co mam na myśli.

Hilary poczuła nagły przyptyw energii.

— Może mnie pan teraz powstrzymać. Może pan zabrać mi te tabletki i na przykład wyrzucić je przez okno, ale nie zabroni mi pan kupić ich znowu innego dnia ani skoczyć ze szczytu wieżowca, ani rzucić się pod pociąg.

— Nie — przyznał młody człowiek po namyśle. — Zgadzam się, że nie mogę pani przeszkodzić w niczym takim. Ale można postawić pytanie, czy rzeczywiście pani to zrobi. Choćby jutro.

— Myśli pan, że jutro poczuję się lepiej? — zapytała Hilary z goryczą.

— Tak bywa — odparł Jessop przeproszającym tonem.

— Możliwe — zgodziła się — jeżeli ktoś decyduje się na to w nagłej, szaleńczej rozpacz. Ale moja rozpacz jest — jeśli tak można powiedzieć — zimna. Nie mam po co żyć.

Jessop przechylił na bok sowią głowę i zamrugał oczami.

— Ciekawe — mruknął.

— Niespecjalnie. To wcale nie jest ciekawe. Nie jestem interesującą kobietą. Mąż, którego kochałam, porzucił mnie, a jedyne dziecko zmarło w wielkich cierpieniach na zapalenie opon mózgowych. Nie mam bliskich przyjaciół ani krewnych. Nie mam żadnego powołania, uzdolnień artystycznych czy pracy, która dawałaby mi zadowolenie.

— Ciężka sprawa — rzekł Jessop ze zrozumieniem. Zaraz jednak dodał wahająco: — Nie myślała pani, że to coś złego?

— Czemu zaraz złego? Przecież to moje życie — zawołała Hilary gorączkowo.

— O tak, tak — odparł Jessop pośpiesznie. — Sam mam nietypową moralność, ale niektóre osoby uważają taki czyn za godny potępienia.

— Nie należę do nich.

— Na pewno nie — zgodził się raczej niestosownie. Usiadł i patrzył na nią, mrugając w zamyśleniu oczami.

— Więc może teraz, panie... hm... — zaczęła Hilary.

— Jessop — odpowiedział.

— Więc może teraz, panie Jessop, zostawi mnie pan w spokoju.

Ale ten potrząsnął głową.

— Jeszcze nie — powiedział. — Chciałem wiedzieć, co się za tym kryje. Wyjaśniła mi pani, prawda? Nie zależy pani na życiu, nie chce pani już żyć i w zasadzie jest pani gotowa na śmierć.

— Tak.

— To dobrze — rzekł uradowany. — Wiem teraz, na czym stoję. Pora na kolejny krok. Czy to muszą być tabletki nasenne?

— Co pan przez to rozumie?

— Już pani wyjaśniłem, że ten sposób wcale nie jest taki romantyczny, jak na to wygląda. Skok z wieżowca również nie jest przyjemny. To samo dotyczy rzucania się pod pociąg. Nie zawsze umiera się od razu. Chcę pokazać pani, że można to zrobić inaczej.

— Nie rozumiem, do czego pan zmierza.

— Namawiam panią na inny sposób, Na coś bardziej sportowego. I związanego z pewnymi emocjami. Będę z panią szczerą. Jest jedna szansa na sto, że pani nie umrze. Ale w tych okolicznościach nie sądzę, by to panią martwiło.

— Nie mam najmniejszego pojęcia, o czym pan mówi.

— Oczywiście, że nie — zgodził się Jessop. — Jeszcze nie zacząłem o tym mówić. Obawiam się, że muszę opowiedzieć pani całą historię. Czy mogę przejść do rzeczy?

— Chyba tak.

Jessop nie zwrócił uwagi na niechętny ton, jakim wyraziła zgodę. Przybrał namaszczone, upodabniającą go do sowy minę i rozpoczął wykład:

— Mam nadzieję, że jest pani osobą, która czyta gazety i interesuje się trochę polityką. Zapewne czytała pani o zaginięciach różnych naukowców. Na przykład rok temu zniknął pewien Włoch, a około dwóch miesięcy temu inny młody uczonec, Tomasz Betterton.

Hilary skinęła głową.

— Tak, czytałam o tym.

— Oczywiście gazety nie podawały wszystkiego. Zaginęło dużo więcej osób. Nie zawsze byli to naukowcy. Zaginęło kilku młodych ludzi, którzy prowadzili badania medyczne, kilku chemików, fizyków i jeden adwokat. Och, całe mnóstwo z różnych stron świata. Oczywiście, żyjemy w tak zwanym wolnym kraju. Można wyjechać, jeżeli się chce. Ale w tych szczególnych okolicznościach musimy wiedzieć, dlaczego ci ludzie wyjeżdżają, dokąd, a zwłaszcza w jaki sposób. Czy robią to z własnej woli? A może ktoś ich porywa? Albo szantażuje? Jaka organizacja za tym stoi i jakie są jej cele? Mamy wiele pytań. Chcemy znaleźć na nie odpowiedzi. Pani może nam pomóc.

Hilary patrzyła na niego ze zdumieniem.

— Ja? Jak? Dlaczego?

— Opowiem pani o przypadku Tomasza Bettertona. Zaginął w Paryżu ponad dwa miesiące temu. W Anglii zostawił żonę. Była strasznie zrozpaczona, a w każdym razie tak twierdziła. Przysięgała, że nie ma pojęcia, dokąd mógł się udać i dlaczego. To może być prawda, ale nie musi. Niektórzy ludzie, a ja jestem jednym z nich, sądzą, że kłamała. — Hilary pochyliła się ku niemu. Mimo woli zaczynało ją to interesować. Jessop kontynuował: — Prowadziliśmy dyskretną obserwację pani Betterton. Około dwóch tygodni temu przyszła do mnie i oznajmiła, że lekarz kazał jej wyjechać za granicę i odpocząć. Źle się czuła w Anglii, ciągle ją ktoś niepokoił: reporterzy, krewni, znajomi.

— Mogę sobie wyobrazić — przyznała Hilary sucho.

— Tak, to naturalne, że chciała na trochę wyjechać. Ale w naszym departamencie jesteśmy obrzydliwie podejrzliwi. Postanowiliśmy pilnować pani Betterton. Wczoraj opuściła Anglię i udała się do Casablanki.

— Do Casablanki?

— Tak... *en route* do innych miejscowości w Maroku, oczywiście. Wszystko jawne i poza wszelkimi podejrzeniami. Hotele zarezerwowane, wycieczki wykupione. Ale możliwe, że podróż do Maroka miała stać się początkiem podróży w nieznane.

Hilary wzruszyła ramionami.

— Nie rozumiem, co ja mam do tego.

Jessop uśmiechnął się.

— Pani ma do tego tylko swoje wspaniałe rude włosy, pani Craven.

— Włosy?

— Tak. To właśnie najbardziej rzuca się w oczy w osobie pani Betterton — jej włosy. Takie same jak pani. Słyszała pani może, że wczorajszy samolot do Casablanki rozbił się podczas lądowania.

— Wiem. Powinnam nim lecieć. Miałam na niego rezerwację.

— Interesujące — zauważył Jessop. — Cóż, pani Betterton leciała tym samolotem. Przeżyła. Zabrano ją z wraku żywą i teraz leży w szpitalu. Lekarze twierdzą, że nie przeżyje dzisiejszej nocy.

Hilary zaczynała rozumieć. Popatrzyła na niego pytająco.

— Tak — rzekł Jessop — chyba już się pani domyśla, jaką formę samobójstwa pani oferuję. Chcę panią przekształcić w panią Betterton.

— Ależ to zupełnie niemożliwe — oponowała Hilary. — Przecież oni od razu rozpoznają, że nią nie jestem.

Jessop przechylił głowę na bok.

— To oczywiście zależy od tego, co pani rozumie przez słowo „oni”. To mglisty termin. Kim są ci „oni”? Czy w ogóle są takie osoby jak „oni”? Nie wiemy. Ale powiem pani jedno. Jeżeli przyjmiemy najbardziej prawdopodobną definicję „ich”, to ludzie ci pracują w bardzo ścisłych samowystarczalnych komórkach organizacyjnych. Robią to dla własnego bezpieczeństwa. Jeżeli podróż pani Betterton była zaplanowana i miała określony cel, to ludzie, którzy mieli przejąć ją w Maroku, nie znają w ogóle tych, którzy pracują w Anglii. W umówionym czasie mają się spotkać z określoną kobietą w określonym miejscu i zawieźć ją do męża. Oto rysopis pani Betterton według jej paszportu: wzrost metr siedemdziesiąt, włosy rude, oczy zielononiebieskie, usta średnie, znaków szczególnych brak. To wszystko.

— Ale tutejsze władze? Na pewno...

Jessop uśmiechnął się:

— Z ich strony nie będzie przeszkód. Francuzi sami stracili kilku młodych naukowców i chemików. Będą z nami współpracować. Zrobimy to tak: panią Betterton zabrano po katastrofie do szpitala ze wstrząsem mózgu. Dostała się tam również inna pasażerka, pani Craven. Za dzień lub dwa pani Craven umrze w szpitalu, a pani Betterton z niego wyjdzie, nadal nieco cierpiąca po wypadku, ale zdolna do dalszej podróży. Prawdziwa katastrofa, prawdziwy wstrząs mózgu, a wstrząs mózgu to dla pani doskonała wymówka. Usprawiedliwi wiele rzeczy, takich jak utrata pamięci i różne nieprzewidziane zachowania.

— To szaleństwo! — zawołała Hilary.

— O tak — potwierdził Jessop — szaleństwo. To wyjątkowo trudne zadanie i jeżeli nasze podejrzenia się potwierdzą, prawdopodobnie pani wpadnie. Widzi pani, jestem zupełnie szczerzy, ale pani nie powinno to robić różnicy. Ma pani do wyboru: skok pod pociąg czy coś w tym rodzaju albo przyjęcie mojej propozycji, co zapewne okaże się znacznie zabawniejsze.

Hilary nagle roześmiała się.

— Myślę, że ma pan rację.

— Zrobi to pani?

— Tak. Czemu nie?

— W takim razie — rzekł Jessop, podnosząc się energicznie — nie mamy ani chwili do stracenia.

Rozdział IV

W szpitalu nie było właściwie zimno, ale panował tam jakiś psychiczny chłód. W powietrzu unosił się zapach środków dezynfekujących. Z korytarza od czasu do czasu dawał się słyszeć brzęk szkła i instrumentów wiezionych na wózku. Hilary Craven siedziała na twardym żelaznym krześle obok łóżka.

Leżała na nim przy osłoniętej lampce nieprzytomna kobieta z obandażowaną głową: Oliwia Betterton. Po jednej stronie łóżka stała pielęgniarka, po drugiej lekarz. Jessop zajął krzesło w odległym kącie pokoju. Lekarz odwrócił się do niego i przemówił po francusku:

— To nie potrwa długo. Puls słabnie.

— I nie odzyska już świadomości?

Francuz wzruszył ramionami.

— Trudno przewidzieć. Może tuż przed końcem.

— Nic się nie da zrobić? Na przykład zastosować jakiś stymulator?

Lekarz potrząsnął głową i wyszedł. Pielęgniarka podążyła za nim. Zastąpiła ją zakonnica, która stanęła u wezgowia łóżka i zaczęła przesuwac paciorki różańca. Hilary, posłuszna spojrzeniu Jessopa, podeszła do niego.

— Słyszała pani, co mówił lekarz? — zapytał cicho.

— Tak. Co pan chce jej powiedzieć?

— Jeżeli odzyska świadomość, to chcę każdej informacji, jaką zdoła pani zdobyć. Jakieś hasło, znak, wiadomość, cokolwiek. Rozumie pani?

— Chce pan, żebym zdradziła umierającą? — zapytała Hilary, nagle poruszona.

Jessop przychylił głowę we właściwy sobie ptasi sposób.

— Tak to pani widzi? — zapytał z namysłem.

— Tak, właśnie tak.

Popatrzył na nią zadumany.

— Dobrze, może pani mówić i robić, co uważa za stosowne. Co do mnie, nie mogę sobie pozwolić na skrupuły! Rozumie pani?

— Oczywiście. To pański obowiązek. Niech pan ją pyta do woli, ale mnie proszę nie zmuszać.

— Ma pani wolną rękę.

— Trzeba tylko zdecydować, czy powiemy jej, że umiera.

— Nie wiem jeszcze. Muszę to przemyśleć.

Kiwnęła głową i wróciła na swoje miejsce przy łóżku. Przepęłniało ją współczucie dla umierającej kobiety. Kobiety, która była w drodze do kochającego męża. „A może wszyscy się mylą — myślała Hilary. — Może pojechała do Maroka, chcąc się oderwać od tej sprawy, przeczekać ciężki okres, dopóki nie dowie się, czy jej mąż żyje czy nie?”

Czas mijał. Prawie dwie godziny później dźwięk przesuwanych paciorków różańca umilkł. Zakonnica przemówiła niskim, bezosobowym głosem:

— Coś się zmienia. Myślę, że nadchodzi koniec. Wezwę lekarza.

Wyszła z pokoju. Jessop zbliżył się do łóżka i stanął pod ścianą, poza zasięgiem wzroku kobiety. Jej powieki zadrgały i uniosły się. Blade, obojętne, zielononiebieskie oczy spojrzały na Hilary. Powieki opadły i uniosły się raz jeszcze. Pojawiło się w nich zdumienie.

— Gdzie...?

Słowo wymknęło się z ledwie dyszących ust akurat wtedy, gdy do pokoju wchodził lekarz. Ujął ją za rękę i zbadał puls.

— Jest pani w szpitalu — powiedział. — Samolot się rozbił.

— Samolot? — powtórzył sennie słaby głos.

— Czy w Casablance jest ktoś, z kim chce się pani zobaczyć?

Z trudem uniosła wzrok na lekarza.

— Nie — odpowiedziała. Spojrzała znowu na Hilary. — Kto... Kto...

Hilary pochyliła się nad nią:

— Leciałam z Anglii tym samym samolotem. Jeżeli mogłabym coś dla pani zrobić, proszę mi powiedzieć.

— Nie... nic... nic... chyba że...

— Że?

— Nic.

Zamrugnęła i opuściła nieco powieki. Hilary popatrzyła na Jessopa, który rzucił jej rozkazujące spojrzenie. Potrząsnęła głową stanowczo.

Jessop zbliżył się. Stał obok lekarza. Umierająca ponownie otworzyła oczy. Rozpoznała go.

— Znam pana — wyszeptała.

— Tak, pani Betterton, zna mnie pani. Czy powie mi pani coś o swoim mężu.

— Nie.

Znowu opuściła powieki. Jessop odwrócił się i opuścił pokój. Lekarz spojrział na Hilary.

— *C'est la fin** — powiedział cicho.

Oczy umierającej otworzyły się raz jeszcze. Przesunęły się z żalem po pokoju i wróciły do Hilary. Oliwia Betterton poruszyła słabo ręką. Hilary instynktownie ujęła białą, zimną dłoń. Lekarz wzruszył ramionami, skłonił się lekko— i wyszedł z pokoju. Kobiety zostały same. Oliwią Betterton spróbowała przemówić:

— Powiedz mi... powiedz mi...

Hilary wiedziała, o co pyta, i nagle zrozumiała swój obowiązek. Pochyliła się nad leżącą kobietą.

— Tak — powiedziała jasno i wyraźnie. — Umierasz. To chciałaś wiedzieć, prawda? Posłuchaj mnie. Spróbuję dotrzeć do twojego męża. Czy mam mu coś od ciebie przekazać, jeżeli mi się uda?

— Powiedz mu... powiedz... żeby był ostrożny. Borys... Borys... niebezpieczeństwo...

Westchnęła i zaczęła tracić oddech. Hilary pochyliła się niżej.

— Czy możesz powiedzieć, co mogłoby mi pomóc w podróży? Jak nawiązać kontakt z twoim mężem?

— Śnieg.

To słowo zdumiało Hilary.

— Śnieg? Śnieg? — powtórzyła je, nie rozumiejąc, o co chodzi. Oliwią Betterton zachichotała cichutko. Z jej ust wypłynęły ledwie słyszalne słowa:

Śnieg, śnieg, śnieg, jak pięknie śnieży!

*Jedna grudka i już leżysz!**

Po czym szepnęła jeszcze:

— Idź... Idź i powiedz mu o Borysie. Nie wierzyłam w to... nie mogłam, ale może to prawda...
Jeżeli tak, jeżeli tak... — W jej oczach utkwionych w Hilary pojawiło się bolesne pytanie. —
Uważaj na siebie...

Z gardła konającej wydobyło się rżenie. Jej usta zadrgały. Oliwia Betterton umarła.

Kolejnych pięć dni Hilary spędziła w sposób wyczerpujący psychicznie, aczkolwiek bez żadnego wysiłku fizycznego. Zamknięto ją w specjalnej szpitalnej izolatce i zapędzono do roboty. Każdego wieczora musiała zdać egzamin z tego, czego nauczyła się w ciągu dnia. Spisano wszystkie szczegóły z życia Oliwii Betterton, jakie tylko dało się ustalić, i musiała uczyć się ich na pamięć. Jej sprzątaczką, krewni, imiona psa i kanarka. Każdy szczegół sześciomiesięcznego małżeństwa z Tomaszem Bettertonem. Ślub, imiona druzhen, ich sukienki. Wzory na firankach, obiciach mebli i dywanach. Gusty Oliwii Betterton, jej upodobania i codzienne zajęcia. Ulubione potrawy i napoje. Zmuszano Hilary do wkuwania setek, z pozoru nieważnych, informacji wszelkiego rodzaju. W końcu powiedziała do Jessopa:

— Czy to w ogóle ma jakiś sens?

— Prawdopodobnie nie — odpowiedział spokojnie. — Ale musisz czuć się pewnie na tym terenie. Spróbuj myśleć w ten sposób: Jesteś pisarką. Piszesz książkę o kobiecie. Ta kobieta to Oliwia. Opisujesz sceny z jej dzieciństwa, jej młodość, małżeństwo, dom. W ten sposób staje się dla ciebie coraz bardziej rzeczywistą osobą. Potem musisz prześledzić cały materiał jeszcze raz. Tym razem piszesz autobiografię. Piszesz ją w pierwszej osobie. Rozumiesz, Hilary, o co mi chodzi?

Pokiwała powoli głową, ulegając logice jego rozumowania.

— Nie możesz myśleć o sobie jako o Oliwii Betterton, dopóki nie staniesz się nią naprawdę. Byłoby lepiej, gdybyś miała więcej czasu, ale nie możemy sobie na to pozwolić. Musisz jak najszybciej wbić sobie wszystko do głowy. Wyobraź sobie, że jesteś studentką i czeka cię ważny egzamin — dodał. — Dzięki Bogu, masz sprawny umysł i dobrą pamięć.

Rysopisy Oliwii Betterton i Hilary Craven były nieomal identyczne, ale ich twarze różniły się całkowicie. Oliwia Betterton była dość ładna, ale urody raczej banalnej i nie rzucającej się w oczy. Wyglądała na upartą, ale mało rozgarniętą. Natomiast twarz Hilary miała w sobie moc i coś intrygującego. Głęboko osadzone zielononiebieskie oczy pod równymi ciemnymi brwiami promieniowały ogniem i inteligencją. Górna warga jej szerokich, pełnych ust była wywinięta nieco w górę, a niezwykle kształt szczęki sprawiał, że twarz ta mogłaby zainteresować rzeźbiarza.

Jessop myślał: „Jest w niej pasja... temperament... przygaszona, ale nie stłumiona radość życia... upór... a do tego żądza przygód”.

— Dokonasz tego — powiedział. — Jesteś zdolną uczennicą.

Rzucanie wyzwań jej intelektowi i pamięci stymulowało Hilary. Cała sprawa zaczynała ją wciągać; pragnęła odnieść sukces. Jednak czasem ogarniało ją zwątpienie. Próbowwała wtedy dyskutować z Jessopem:

— Powiadasz, że muszą mnie uznać za Oliwię Betterton. Że poza ogólnym rysopisem nie wiedzą,

jak ona wygląda. Ale jak dalece możesz być tego pewien?

Jessop wzruszył ramionami.

— Niczego nie jestem pewien. Ale w ogólnych zarysach wiemy, jak się załatwia takie sprawy. Wiemy też, że komunikacja międzynarodowa szwankuje. Dla przeciwników jest to w zasadzie ogromna korzyść. Gdybyśmy na przykład w Anglii natrafili na słabsze ogniwo, mówiąc między nami, w każdej organizacji zdarzają się słabe ogniwa, to i tak nie dowiemy się niczego o odpowiednich komórkach we Francji, Włoszech, Niemczech czy gdziekolwiek. Czyli znów znajdziemy się w ślepej uliczce. Tacy ludzie wiedzą tyle, ile jest im niezbędne do wykonywania bieżących zadań, nie więcej. To samo dotyczy odwrotnej strony medalu. Daję głowę, że ci, którzy oczekiwali tu Oliwii Betterton, wiedzieli tylko, jakim samolotem przyleci i że należy jej udzielić takich to a takich instrukcji. Widzisz, ona jako taka się nie liczy. Jeżeli zabierają ją do męża, to tylko na jego żądanie. Myślą, że będzie lepiej pracował, gdy połączy się z żoną. Ona jest zwykłym pionkiem. I jeszcze musisz pamiętać, że pomysł zastąpienia Oliwii tobą jest całkowitą improwizacją, którą umożliwiła tylko katastrofa samolotu i kolor twoich włosów. Nasz plan operacyjny zakładał obserwację Oliwii Betterton i odkrycie dokąd i w jaki sposób się uda, z kim się spotka i tak dalej. Przed tym właśnie przeciwnicy będą się mieć na baczności.

— Czy nie próbowaliście tego wcześniej? — zapytała Hilary.

— Owszem. Próbowaliśmy w Szwajcarii. Bardzo dyskretnie. Niestety, ponieśliśmy porażkę. Nawet jeżeli ktoś się z nią skontaktował, to nie zorientowaliśmy się. Zatem kontakt ten musiał trwać dosłownie ułamek sekundy. Oczywiście oni spodziewają się, że będziemy mieli oko na Oliwię Betterton, i odpowiednio się przygotowują. Od nas zależy, czy powiedzie się nam lepiej niż poprzednim razem. Musimy spróbować ich przechytrzyć.

— Będziecie mnie śledzić?

— Oczywiście.

— Jak? Potrząsnął głową.

— Nie mogę ci powiedzieć. Lepiej, żebyś nie wiedziała. Nie zdradzisz się z tym, czego nie wiesz.

— Dlaczego myślisz, że mogę się z czymś zdradzić?

Jessop znów przybrał sowi wyraz twarzy.

— Nie wiem, czy jesteś dobrą aktorką i dobrym kłamcą. To nie jest łatwe. I nie mam tu na myśli niedyskrecji w słowach. To może być cokolwiek: nagłe nabranie oddechu, minimalna przerwa w jakiejś czynności, na przykład przy zapalaniu papierosa. Rozpoznanie osoby lub czyjegoś imienia. Możesz to szybko ukryć, ale każdy drobiazg może cię zgubić!

— Rozumiem. Czyli że w każdej sekundzie muszę się kontrolować.

— Dokładnie. A teraz do lekcji! Coś jak powrót do szkoły, prawda? Opanowałaś już niezłe rolę

Oliwii Betterton. Przejdźmy do kolejnych zagadnień.

Szyfry, odpowiedzi, różne rekwizyty. Ciągłe lekcje; przepytывania, powtórki, próby wytrącenia jej z równowagi i przyłapania na czymś; hipotetyczne zachowania w różnych sytuacjach. W końcu Jessop skinął głową i oznajmił, że jest zadowolony.

— Uda ci się. — Poklepał ją po ramieniu jak dobry wujaszek. — Jesteś zdolną uczennicą. I pamiętaj: żebyś w danym momencie czuła się nie wiem jak opuszczona, ktoś prawdopodobnie będzie w pobliżu. Mówię prawdopodobnie, nie mogę ci obiecać nic więcej. Te diabły są przebiegłe.

— A co się stanie — zapytała Hilary — kiedy dotrę do kresu podróży?

— Jak to „do kresu”?

— Co się stanie, kiedy stanę twarzą w twarz z Tomaszem Bettertonem?

Jessop ponuro kiwnął głową.

— Tak — przyznał. — To niebezpieczny moment. Teraz mogę powiedzieć tylko tyle, że jeśli wszystko pójdzie dobrze, powinnaś mieć wtedy ochronę. To znaczy, pod warunkiem, że sprawy ułożą się zgodnie z naszymi przewidywaniami. Ale założenia tej operacji, jak sobie zapewne przypominasz, były takie, że masz niewielką szansę na przetrwanie.

— Powiedziałeś, że mam jedną szansę na sto — odparła sucho.

— Myślę, że możemy zwiększyć trochę tę liczbę. Nie wiedziałem wtedy, jaka jesteś.

— Nie, chyba nie — rzekła zamyślona. — Dla ciebie byłam po prostu...

Dokończył za nią:

— Kobieta z rzucającą się w oczy burzą rudych włosów. Kobieta, która nie chciała dłużej żyć. Zarumieniła się.

— To przykre.

— Ale prawdziwe, czyż nie? Nie lubię się nad nikim użalać. Jest to wręcz obraźliwe. Zwykle użalamy się nad ludźmi, którzy sami litują się nad sobą, a litość nad sobą to jedna z największych barier w dzisiejszych czasach.

Hilary zamyśliła się.

— Myślę, że masz rację. Czy pozwolisz sobie na uczucie żalu, kiedy zostanę, że się tak wyrażę, zlikwidowana podczas wypełniania tej misji?

— Żalu? Nie. Będę klął jak wszyscy diabli, bo stracimy wartościowego współpracownika, który mógł nam ująć nieco problemów.

— Wreszcie jakiś komplement. — Mimo woli poczuła zadowolenie. Zmieniła ton na rzeczowy: — Właśnie przyszło mi coś na myśl. Mówiłeś, że prawdopodobnie nikt nie wie, jak wygląda Oliwią Betterton, ale co się stanie, jeśli ktoś rozpozna mnie jako mnie? Nie znam nikogo w Casablance, ale są tu ludzie, którzy podróżowali ze mną samolotem. Mogę przecież wpaść na kogoś przypadkowo.

— Nie musisz się o nich martwić. Lecieli z tobą biznesmeni, którzy udali się do Dakaru, i mężczyzna, który wrócił już do Paryża. Zamieszkaż teraz w innym hotelu, tam gdzie miała rezerwację pani Betterton. Będiesz nosić jej ubrania, układać sobie włosy tak jak ona i musisz przylepić sobie na twarzy jeden lub dwa opatrunki, żeby trochę zmienić wygląd. I jeszcze jedno: zajmie się tobą lekarz. Powinnaś mieć kilka prawdziwych śladów po wypadku. Oczywiście zastosuje się miejscowe znieczulenie, więc nie będzie bolało.

— Jesteś bardzo dokładny — zauważyła.

— Bo muszę.

— Nigdy nie zapytałeś — drążyła Hilary — co Oliwia Betterton powiedziała mi przed śmiercią.

— Widziałem, że masz skrupuły.

— Przepraszam.

— Nie ma za co. Szanuję cię za to. Sam chciałbym je mieć, ale nie mieszczą się w schemacie.

— Powiedziała mi coś, co chyba powinieneś wiedzieć: „Powiedz mu — to znaczy Bettertonowi — powiedz mu, żeby był ostrożny... Borys... niebezpieczeństwo...”

— Borys! — W oczach Jessopa błysnęło zainteresowanie. — Ach! Nasz niezrównany cudzoziemiec major Borys Glydr!

— Znasz go? Kto to?

— Polak. Przyjechał do Londynu, żeby się ze mną spotkać. Podobno jest kuzynem pierwszej żony Tomasza Bettertona.

— Podobno?

— Cóż, tak twierdzi. Nikt nie może tego poświadczyć.

— Była przerażona — zastanawiała się Hilary, marszcząc brwi. — Czy możesz mi go opisać? Chciałabym móc go rozpoznać.

— Dobrze. Ma około stu osiemdziesięciu centymetrów wzrostu. Średniej tuszy, jasne oczy, cudzoziemski sposób bycia, angielski bardzo poprawny, ale z lekkim obcym akcentem, wojskowa postawa.

Po chwili dodał:

— Kazałem go śledzić po wyjściu z naszego biura. Nic to nie dało. Poszedł prosto do ambasady amerykańskiej; bardzo słusznie, przyniósł mi przecież stamtąd list polecający. Z tego rodzaju, kiedy chcą być uprzejmi, ale bez zobowiązań. Myślę, że opuścił ambasadę w czyimś samochodzie albo tylnym wyjściem, przebrany na przykład za lokaja. W każdym razie wymknął się nam. Tak. Mogę zgodzić się ze słowami Oliwii Betterton. Borys Glydr to niebezpieczny człowiek.

Rozdział V

W małym, przeznaczonym dla gości salonie hotelu „St. Louis” siedziały trzy damy, z których każda zajmowała się własnymi sprawami. Pani Calvin Baker, niska, pulchna, z podfarbowanymi na błękitno siwymi włosami, pisała listy z taką samą energią, z jaką oddawała się każdej innej czynności. Nikt nie określiłby jej inaczej niż jako wygodnie podróżującą Amerykankę o niezmordowanym pędzie do pozyskiwania precyzyjnych informacji na każdy możliwy temat.

Na niewygodnym empirowym krześle siedziała panna Hetherington, której z kolei nie można było określić inaczej niż jako podróżującą Angielkę. Robiła na drutach jedną z tych bezkształtnych, przyprowadzających o melancholię części ubrania, które zawsze dziergają Angielki w średnim wieku. Była wysoka i szczupła, miała pomarszczoną szyję, źle ułożone włosy, a na twarzy wyraz rozczarowania upadkiem obyczajów na świecie.

Panna Jeanne Maricot spoczywała wdzięcznie na krześle z wysokim oparciem, wyglądała przez okno i ziewała. Była brunetka przefarbowaną na blondynkę o banalnej, ale oryginalnie umalowanej twarzy. Miała na sobie elegancki strój i nie interesowała się zupełnie innymi osobami w salonie. Zastanawiała się właśnie nad ważną zmianą w swoim życiu osobistym i nie miała zamiaru nawiązywać kontaktu z tą turystyczną stonką, którą serdecznie gardziła.

Podczas kilku dni spędzonych pod dachem „St. Louis” panna Hetherington i pani Calvin Baker zdążyły się z sobą zapoznać. Ta ostatnia, odznaczająca się amerykańską kordialnością, rozmawiała ze wszystkimi. Ta pierwsza, choć równie mocno pragnęła towarzystwa, rozmawiała tylko z Anglikami i Amerykanami, których uważała za odpowiednich pod względem pozycji społecznej. Z Francuzami nie chciała mieć nic wspólnego, chyba że wiedli szacowne życie rodzinne, udokumentowane obecnością maleństwa przy rodzicielskim stole w jadalni.

Wyglądający na dobrze prosperującego biznesmena Francuz zajrzał do salonu, ale panująca tam atmosfera damskiej solidarności widocznie go wystraszyła, gdyż zaraz się wycofał, co w oczach panny Jeanne Maricot wywołało błysk żalu. Panna Hetherington zaczęła liczyć oczka *sotto voce*.

— Dwadzieścia osiem, dwadzieścia dziewięć... No i co dalej...? Och, już wiem.

Teraz w drzwiach ukazała się wysoka rudowłosa kobieta. Zawahała się na moment, po czym oddaliła się korytarzem w kierunku jadalni. Wzbudziło to natychmiast czujność zarówno pani Calvin Baker, jak i panny Hetherington. Pani Baker odwróciła się od biureczka i przemówiła podnieconym szeptem:

— Zauważyła pani tę rudą? Podobno tylko ona ocalała z tej okropnej katastrofy samolotowej.

— Widziałam, kiedy przywieziono ją po południu — odparła panna Hetherington, gubiąc w podekscytowaniu oczko. — Karetką!

— Przyjechała prosto ze szpitala, tak mówił dyrektor hotelu. Zastanawiam się, czy to mądre tak

szybko opuszczać szpital. Podobno miała wstrząs mózgu.

— Ma również opatrunki na twarzy. Pewnie poraniło ją szkło. Co za szczęście, że to nie oparzenia. Zostają po tym okropne blizny.

— Cierpnę na samą myśl. Biedactwo! Zastanawiam się, czy leciał z nią mąż i czy zginął!

— Chyba nie. — Panna Hetherington potrząsnęła głową o złotosiwych włosach. — W gazetach podawano, że podróżowała samotnie.

— To prawda. Podawali też jej nazwisko. Pani Beverly... nie, Betterton.

— Betterton — powtórzyła z namysłem panna Hetherington. — Coś mi to przypomina. Betterton... Było coś w gazetach. Jestem pewna, że znam to nazwisko.

*„Tant pis pour Pierre — mówiła do siebie w myślach panna Maricot. — Il est vraiment insupportable! Mais le petit Jules, lui ii est bien gentil. Et son pere est tres bien place dans les affaires. Enfin, je me decide!”**

Mademoiselle Maricot długim, pełnym gracji krokiem opuściła zarówno salon, jak i dalszy ciąg tej historii.

Pani Betterton opuściła szpital tegoż popołudnia, pięć dni po katastrofie. Ambulans zawiózł ją do hotelu „St. Louis”.

Wyglądała blado i mizernie. Jej pokaleczoną twarz pokrywały liczne plastry i opatrunki. Współczujący dyrektor natychmiast zaprowadził ją do wcześniej zarezerwowanego pokoju.

— Jakich emocji musiała *madame* doświadczyć! — wykrzykiwał po delikatnym upewnieniu się, że pokój jej odpowiada, i po zupełnie zbytecznym zapaleniu wszystkich świateł. — Co za ocalenie! Prawdziwy cud! Ileż szczęścia! Tylko trójka uratowanych i podobno jedna z tych osób nadal w stanie krytycznym.

Zmęczona Hilary opadła na krzesło.

— Tak, rzeczywiście — szepnęła. — Ledwie mogę w to uwierzyć. Pamiętam bardzo niewiele. Ostatnia doba przed katastrofą ciągle jeszcze jest czarną dziurą.

Dyrektor ze współczuciem skinął głową.

— Ach, tak. To skutek wstrząsu mózgu. Coś takiego przydarzyło się mojej siostrze. W czasie wojny mieszkała w Londynie i podczas wybuchu bomby straciła przytomność. Zaraz jednak wstała i zaczęła krążyć po Londynie, aż znalazła się na dworcu Euston, gdzie wsiadła do pociągu. *Figurez-vous*, obudziła się w Liverpoolu, nie wiedząc nic o bombie, przechadzce po Londynie i podróży pociągiem! Zapamiętała tylko, że tuż przed wybuchem wieszała spódnicę w szafie, w londyńskim mieszkaniu. To bardzo ciekawe sprawy, czyż nie?

Hilary przyznała, że istotnie ciekawe. Dyrektor skłonił się i wyszedł z pokoju. Hilary popatrzyła na swoje odbicie na szybie. Przyswoiła już sobie nową osobowość do tego stopnia, że naprawdę czuła się słabo, jak ktoś, kto dopiero opuścił szpital po ciężkich przejściach.

Przeszukała biurko, ale nie znalazła żadnych wiadomości czy listów. Zatem pierwsze kroki w nowej roli musiała stawiać po omacku. Możliwe, że Oliwia Betterton miała gdzieś zadzwonić albo skontaktować się z określoną osobą w Casablance, tylko co do tego brak było jakichkolwiek wskazówek. Wszystko, czym dysponowała, to paszport, kredytowa książeczka biletowa wydana przez biuro Cooka i poświadczenie rezerwacji. Dwa dni w Casablance, sześć w Fezie i pięć w Marakeszu. Oczywiście teraz rezerwacje były już nieaktualne, więc należało poczynić odpowiednie kroki. Paszport, akredytywa i karta identyfikacyjna zostały odpowiednio spreparowane. W paszporcie umieszczono zdjęcie Hilary, ona też podpisała się jako Oliwia Betterton na akredytywie. Wszystkie dokumenty były w porządku, pozostawało tylko odpowiednio grać swoją rolę i czekać. Kartą atutową okaże się pewnie katastrofa samolotu oraz jej skutki: utrata pamięci i ogólne zamroczenie.

Wypadek wydarzył się naprawdę, a Oliwia Betterton rzeczywiście znajdowała się na pokładzie

samolotu. Wstrząs mózgu mógł usprawiedliwić fakt, że nie pamięta udzielonych wcześniej instrukcji. Zamroczone, dezorientowana i słaba Oliwia Betterton będzie czekać na polecenia.

„W takiej sytuacji naturalną rzeczą jest odpoczynek” — pomyślała Hilary. Zgodnie z tym założeniem wyciągnęła się na łóżku. Przez dwie godziny układała sobie w myśli wszystko, czego się nauczyła. Bagaż Oliwii został zniszczony podczas katastrofy. Hilary miała więc niewiele nowych rzeczy, które dostała w szpitalu. Przejechała grzebieniem po włosach, umalowała usta, po czym zeszła do jadalni na obiad.

Zauważyła, że ludzie przyglądają się jej z pewnym zainteresowaniem. Przy kilku stolikach siedzieli biznesmeni. Ci ledwie raczyli spojrzeć na nią. Resztę miejsc jednak zajmowały osoby wyglądające na turystów. Z ich strony dobiegały ją zaciekawione spojrzenia i podniecone szepty.

— — Ta pani tam... ta ruda... przeżyła katastrofę samolotu. Tak, przyjechała ze szpitala karetką. Widziałam ją. Nadal wygląda bardzo źle. Zastanawiam się, dlaczego tak szybko ją wypuścili. Co za przerażające przeżycie! I jakież cudowne ocalenie!

Po posiłku Hilary postanowiła posiedzieć trochę w saloniku. Zastanawiała się, czy ktoś spróbuje się do niej zbliżyć. Znajdowały się tam już dwie inne kobiety i wkrótce niska, pulchna pani w średnim wieku przeniosła się na najbliższy fotel. Zaczęła rozmowę z sympatyczną amerykańską bezpośredniością:

— Mam nadzieję, że mi pani wybaczy, ale czuję, że muszę zamienić z panią słówko. To przecież pani tak cudownie ocala— z katastrofy samolotowej?

Hilary odłożyła na bok kolorowy magazyn.

— Tak — odpowiedziała.

— O Boże, czy to nie straszne? Znacząca katastrofa! Tylko trzy osoby ocalały, prawda?

— Dwie — skorygowała Hilary. — Jedna z tej trójki zmarła w szpitalu.

— Nie? Coś takiego! No więc, jeśli się pani nie pogiewa, panno... pani...

— Betterton.

— Więc jeśli się pani nie pogiewa: gdzie siedziała pani w samolocie? Z przodu czy w ogonie?

Hilary znała odpowiedź i natychmiast jej udzieliła:

— W tylnej części.

— Zawsze mówię, że te miejsca są najbezpieczniejsze, czyż nie? Dlatego zwykle upieram się wprost, by siedzieć blisko tylnego wyjścia. Słyszysz pani, panno Hetherington? — Odwróciła się ku drugiej damie w średnim wieku o długiej, smutnej końskiej twarzy. Ta była niewątpliwie Brytyjką. — Mówiłam to już wcześniej. Kiedy wsiada się do samolotu, nie wolno dopuścić, by stewardesa

posadziła nas w przodzie.

— Ale przecież ktoś musi tam siedzieć — zauważyła Hilary.

— Cóż, na pewno nie ja — ucięła z punktu nowa znajoma. — Przy okazji, nazywam się Baker. Calvin Baker.

Hilary przyjęła to do wiadomości, a pani Calvin Baker nadal bez trudu monopolizowała konwersację.

— Właśnie przyjechałam z Mogadoru, a panna Hetherington z Tangeru. Poznałyśmy się tutaj. Czy wybiera się pani do Marakeszu?

— Miałam taki zamiar — odparła Hilary. — Oczywiście ten wypadek zniweczył wszystkie moje plany.

— Ależ naturalnie. Rozumiem to doskonale. Ale przecież nie może pani nie odwiedzić Marakeszu, prawda, panno Hetherington?

— Marakesz jest okropnie drogi — zauważyła panna Hetherington. — Te srogie przepisy bardzo utrudniają podróżę*.

— Jest tam wspaniały hotel „Mamounia” — kusila pani Baker.

— Wprost niegodziwie drogi — odparła panna Hetherington. — Nie wchodzi w rachubę, jeśli idzie o mnie. Oczywiście, z pani dolarami to inna sprawa. Ale ktoś podał mi nazwę małego hotelu, podobno bardzo tam miło i czysto, a i kuchnia całkiem znośna.

— Dokąd się pani jeszcze wybiera? — zwróciła się pani Calvin Baker do Hilary.

— Chciałabym zobaczyć Fez — odrzekła ostrożnie. — Oczywiście muszę na nowo porobić rezerwacje.

— O tak, nie wolno rezygnować z Fezu czy Rabatu.

— Była pani tam?

— Jeszcze nie. Ale wkrótce się wybieram, podobnie jak panna Hetherington.

— Mam nadzieję, że stara część miasta zachowała się bez uszczerbku — wtrąciła panna Hetherington.

Konwersacja toczyła się dalej w równie chaotyczny sposób. Wreszcie Hilary oświadczyła, że czuje się zmęczona, gdyż jest to jej pierwszy dzień poza szpitalem, i udała się do swego pokoju.

Wieczór nie przyniósł rozstrzygnięcia. Kobiety, z którymi rozmawiała, stanowiły tak znane typy turystek, że nie można by ich wziąć za kogoś innego. Jutro, postanowiła, jeżeli nikt się z nią nie

skontaktuje, uda się do biura podróży Cooka i zamówi sobie hotele w Fezie i Marakeszu.

Rano nadal nie było dla niej żadnych wiadomości, listów ani telefonów, wobec czego około jedenastej udała się do biura. Chwilę stała w kolejce, ale kiedy wreszcie dotarła do kontuaru i odezwała się do urzędnika, nastąpiło coś nieoczekiwanego. Starszy pracownik w okularach odsunął kolegę na bok. Jego oczy rozblęły na widok Hilary.

— *Madame* Betterton, prawda? Mam tu pani rezerwacje.

— Obawiam się— zaczęła Hilary — że są już nieaktualne. Byłam w szpitalu i...

— Ach, *mais oui*, wiem o tym. Proszę pozwolić, że pogratuluję pani cudownego ocalenia. Ale otrzymałem telefoniczne potwierdzenie nowych rezerwacji i oto są gotowe.

Hilary odczuła lekkie przyśpieszenie pulsu. Nie dzwoniła przecież do agencji. Był to więc oczywisty znak, że nad podróżą Olivii Betterton ktoś czuwa.

— Nie byłam pewna, czy zadzwonią — powiedziała.

— Ależ oczywiście, *madame*. Proszę, zaraz pani pokażę. Podał jej bilety kolejowe i kwity rezerwacji hotelowych.

Kilka minut później formalności były zakończone. Następnego dnia miała wyjechać do Fezu.

Podczas lunchu i obiadu nie dostrzegła w restauracji pani Calvin Baker. Panna Hetherington oddała jej ukłon, ale nie próbowała nawiązać rozmowy. Następnego ranka, uzupełniwszy nieco garderobę, Hilary wsiadła w pociąg jadący do Fezu.

Kiedy w dzień odjazdu pani Calvin Baker wchodziła swym zwykłym zamaszystym krokiem do hotelu, zaczepiła ją panna Hetherington, której cienki, długi nos aż drżał z podniecenia.

— Przypomniałam sobie, skąd znam nazwisko Betterton. To ten zaginiony naukowiec. Wszystko było w gazetach. Jakies dwa miesiące temu.

— Ależ tak, teraz i ja coś sobie przypominam. Brytyjski naukowiec. .. tak... uczestniczył w jakiejś konferencji w Paryżu.

— Tak, to on. I właśnie się zastanawiałam, czy czasem ona nie jest jego żoną. Zajrzałam do książki meldunkowej i zobaczyłam, że mieszka w Harwell, Harwell, rozumie pani, tam jest ośrodek atomowy. Uważam, że te wszystkie bomby to coś okropnego. A już kobaltowa... kiedy pomyślę, że to taki uroczy kolor w pudełku z farbami, używałam go często jako dziecko. .. Kobaltowa jest najgorsza ze wszystkich. O ile wiem, nikt tego nie przeżyje. Nie powinniśmy robić takich eksperymentów. Znajoma powiedziała mi, że kuzyn, bardzo bystry człowiek, twierdzi, że cały świat może się stać radioaktywny!

— O Boże, Boże! — westchnęła pani Calvin Baker.

Rozdział VI

Casablanca rozczarowała do pewnego stopnia Hilary. Była po prostu dobrze prosperującym francuskim miastem bez śladu atmosfery Orientu i jego tajemniczości, z wyjątkiem, oczywiście, tłumów na ulicach.

Prześliczna pogoda, słońce i czyste niebo sprawiły, że Hilary z przyjemnością obserwowała przez okno zmieniający się krajobraz. Pociąg zdążał na północ. Naprzeciwko niej siedział niski Francuz o wyglądzie komiwojażera. W odległym kącie usadowiła się zakonnica, która z wyrazem dezaprobaty na twarzy przesuwała paciorki różańca. Pozostałe miejsca w przedziale zajmowały dwie rozszczebiotane Mauretanki z wieloma pakunkami. Mały Francuz podał Hilary ogień i zaraz rozpoczął rozmowę. Wskazywał jej ciekawe widoki za oknem i udzielał rozmaitych informacji o kraju. Uznała, że był interesujący i inteligentny.

— Powinna pani odwiedzić Rabat, *madame*. Nieobejrzenie go byłoby poważnym błędem.

— Spróbuję. Ale mam nie za wiele czasu. Poza tym — uśmiechnęła się — kończą mi się pieniądze. Możemy wywieźć za granicę tylko określoną kwotę.

— Ależ to drobiazg. Wystarczy mieć tu kogoś znajomego.

— Obawiam się, że nie znam w Maroku nikogo odpowiedniego.

— Kiedy *madame* wybierze się ponownie w podróż, proszę dać mi znać. Zostawię pani wizytówkę. Wszystko załatwię. Często odwiedzam Anglię w interesach i tam może mi pani zwrócić pieniądze. To zupełnie proste.

— Jest pan bardzo uprzejmy. Mam nadzieję, że uda mi się raz jeszcze odwiedzić Maroko.

— Zapewne taka podróż to dla pani wielka odmiana. W Anglii jest tak zimno, mglisto i nieprzyjemnie.

— Rzeczywiście, to wielka zmiana.

— Ja też jeszcze trzy tygodnie temu byłem w Paryżu. Obrzydliwa mgła i deszcz. Przyjeżdżam tu i, proszę — jakie cudowne słońce! Chociaż właściwie powietrze jest chłodne. Ale czyste. Dobrze, czyste powietrze. Jaka była pogoda przed pani wyjazdem z Anglii?

— Taka, jak pan mówi — odparła Hilary. — Mglista.

— Ach, tak. To pora mgieł. A śnieg? Padał u was w tym roku?

— Nie — odrzekła Hilary. — W tym roku nie było śniegu. — Z rozbawieniem zauważyła, że mały Francuz stara się prowadzić rozmowę na sposób, który uważał za angielski, to znaczy trzymając się

tematu pogody. Zadała mu kilka pytań co do politycznej sytuacji Maroka i Algieru. Odpowiedział na nie chętnie i okazało się, że był dobrze poinformowany.

Ilekcio Hilary zerknęła w kąt, widziała oczy zakonnicy utkwione w niej z wyrazem niechęci. Mauretanki wysiadły, a ich miejsca zajęli inni podróżni. Do Fezu przybyli dopiero wieczorem.

— Proszę pozwolić, bym pani towarzyszył.

Hilary stała oszołomiona ruchem i gwarem dworca. Arabscy bagażowi wyrwali jej walizki z rąk, wrzeszcząc, nawołując się i wykrzykując nazwy różnych hoteli. Odwróciła się z wdzięcznością do nowego znajomego.

— Udaje się pani do „Palais Djamai”, *n'est-ce pas, madame?*

— Tak.

— Dobrze. To osiem kilometrów stąd.

— Osiem kilometrów? — spieszyła się Hilary. — Więc poza miastem?

— W pobliżu starego miasta — wyjaśnił Francuz. — Ja zatrzymuję się przy nowym centrum handlowym. Ale na urlop, wypoczynek, dla przyjemności wybiera się naturalnie „Palais Djamai”. To dawna rezydencja marokańskiej arystokracji. Są tam przepiękne ogrody i nie opodal starożytny Fez, który zachował się prawie nietknięty. Coś mi się zdaje, że z pani hotelu nie wysłano nikogo na ten pociąg. Jeżeli pani pozwoli, załatwię jej taksówkę.

— Jest pan bardzo uprzejmy, ale...

Francuz zwrócił się do bagażowych i powiedział coś szybko po arabsku. Wkrótce Hilary zajęła miejsce w taksówce, gdzie ulokowano również jej walizki, a Francuz poinstruował ją, ile dokładnie powinna zapłacić zachłannym tragarzom. Potem rozpedził ich za pomocą kilku ostrych arabskich słów, nie zważając na protesty co do wysokości wynagrodzenia. Wyciągnął z kieszeni kartkę wizytową i wręczył ją Hilary.

— Moja wizytówka, *madame*. Proszę dać mi znać, gdybym mógł w czymkolwiek pani pomóc. Przez najbliższe cztery dni będzie mnie można znaleźć w „Grand Hotelu”.

Uniósł kapelusz i oddalił się. Hilary zerknęła na kartkę i zanim wyjechali z oświetlonego dworca, przeczytała: *Monsieur Henri Laurier*.

Taksówka szybko wyjechała z miasta, minęła przedmieścia i zaczęła pokonywać wzgórza. Hilary próbowała wyglądać przez okno i dostrzec, dokąd zmierzają, ale zapadła już ciemność. Niewiele mogła zobaczyć poza jasno oświetlonymi budynkami, które mijali od czasu do czasu. „Czy to tutaj — zastanawiała się — moja zwyczajna podróż ma zacząć prowadzić w nieznaną? Czy *monsieur* Laurier był emisariuszem organizacji, która zmusiła Tomasza Bettertona do porzucenia dotychczasowej pracy, domu i żony?” Zdenerwowana i wystraszona wcisnęła się w kąt taksówki, rozmyślając, dokąd też ją wiozą.

Jednakże dostarczono ją przykładowo do „Palais Djamai”. Wysiadła, przeszła przez łukowatą bramę i nagle z radością stwierdziła, że znajduje się w samym środku Orientu. Były tam długie tapczany, niskie stoliki do kawy i tradycyjne dywaniki. Z recepcji poprowadzono ją przez amfiladę pokoi. Następnie, mijając drzewka pomarańczowe i rabaty silnie pachnących kwiatów, dotarli do przyjemnej sypialni, również utrzymanej w orientalnym stylu, ale wyposażonej we wszystkie *comforts modernes*, tak niezbędne dla podróżnych dwudziestego wieku.

Lokaj poinformował ją, że kolacja będzie o siódmej trzydzieści. Rozpakowała rzeczy, umyła się, wyszczotkowała włosy i zeszła na dół. Przez orientalną palarnię, taras i schody udała się do jadalni.

Posiłek był doskonały. Podczas gdy Hilary jadła, wchodzili i wychodzili różni goście. Była zbyt zmęczona, aby ich jakoś zakwalifikować, ale parę osób zdołało przyciągnąć jej wzrok. Na przykład starszy mężczyzna o pożółkłej twarzy i krótkiej, koziej bródce. Zwróciła na niego uwagę ze względu na szczególny szacunek, z jakim odnosił się do niego personel. Talerze na jego stoliku pojawiały się i znikwały w błyskawicznym tempie na każde skinienie, najłżejsze uniesienie brwi sprawiało, że kelner wyrastał jak spod ziemi. Hilary zastanawiała się, kim był. Większość ludzi w jadalni wyglądała na zwyczajnych turystów. Przy dużym stole pośrodku sali siedział Niemiec, obok niego drugi mężczyzna w średnim wieku i jasnowłosa, bardzo piękna dziewczyna, która mogła być Szwedką lub Dunką, dalej angielska rodzina z dwojgiem dzieci i kilka grup Amerykanów. Resztę towarzystwa stanowiły trzy rodziny francuskie.

Po obiedzie Hilary wypita kawę na tarasie. Było tam trochę chłodno, ale nie za bardzo, więc mogła rozkoszować się aromatycznym zapachem kwiatów. Wcześniej położyła się spać.

Następnego ranka Hilary siedziała na słonecznym tarasie pod parasolem w czerwone paski. Zaczynało do niej docierać, jak bardzo fantastyczne było całe to przedsięwzięcie. Oto siedzi tutaj, udaje kobietę, która nie żyje, i czeka na jakieś melodramatyczne i niezwykle wydarzenie. Bo czyż mimo wszystko nie jest możliwe, że nieszczęsna Oliwią Betterton wyjechała za granicę wyłącznie po to, żeby oderwać się od smutnych myśli? Prawdopodobnie ta biedaczka wiedziała tyle, co i my.

Z pewnością słowa, które wypowiedziała przed śmiercią, mają proste wytłumaczenie. Chciała przestrzec Tomasza Bettertona przed kimś o imieniu Borys. Bredziła... zacytowała jakąś dziwną wyliczankę... mówiła, że w coś nie mogła z początku uwierzyć. W co? Prawdopodobnie w to, że Tomasz Betterton wyparował nagle w taki sposób!

Nie było ani złowieszczych podtekstów, ani pomocnych wskazówek. Hilary wpatrywała się w ogród pod tarasem. „Tak tu pięknie — myślała. — Pięknie i spokojnie.” Dzieci szczebiotały, biegając po tarasie, a francuskie mamy nawoływały je i upominały. Weszła jasnowłosa Szwedka, usiadła przy stoliku obok i ziewnęła. Wyjęła bladą różową szminkę i pociągnęła nią i tak doskonale umalowane usta. Przyjrzała się poważnie swej twarzy i lekko zmarszczyła brwi.

Potem podszedł do niej jej towarzysz, mąż, a może ojciec? Powitała go bez uśmiechu. Pochyliła się i zaczęła robić mu jakieś wymówki. Mężczyzna protestował i przeproszał ją.

Od strony ogrodu zbliżył się starszy pan z kozią bródką. Usiadł przy stoliku w odległym kącie tarasu. Natychmiast rzucił się doń kelner, który przyjął zamówienie, skłonił się i odszedł w wielkim

pośpiechu, by je zrealizować. Jasnowłosa dziewczyna spojrzała na staruszkę i w podnieceniu chwyciła swego towarzysza za ramię.

Hilary zamówiła martini, a kiedy je otrzymała, zapytała cicho kelnera:

— Kim jest ten starszy pan tam pod ścianą?

— Ach! — Kelner pochylił się do niej dramatycznie. — To *monsieur* Arystydes. Jest nadzwyczaj, ale to nadzwyczaj bogaty.

Westchnął w ekstazie na samą myśl o tych bogactwach, a Hilary przyjrzała się uważnie wysuszonej, zgarbionej postaci przy odległym stoliku. „Oto pomarszczona, stara, zmumifikowana cząsteczka ludzkości — pomyślała. — Z powodu olbrzymiego majątku kelnerzy skaczą wokół niego na dwóch łapkach i mówią z nabożnym lękiem w głosie.” Stary *monsieur* Arystydes przesunął się nieco na krześle. Przez moment patrzyli sobie w oczy. Potem odwrócił wzrok.

„Ma w sobie coś — pomyślała Hilary. — Te oczy, nawet z dużej odległości, promieniują inteligencją i życiem”.

Blondynka i jej towarzysz wstali od stolika i udali się do jadalni. Kelner, który widocznie zaczął się uważać za przewodnika i mentora Hilary, zaczął zbierać szkło i udzielać jej dalszych informacji.

— *Ce monsieur-la*, on jest magnatem przemysłowym ze Szwecji. Bardzo bogaty i ważny. A ta młoda dama, która mu towarzyszy, to gwiazda filmowa, kolejna Garbo, jak mówią. Bardzo elegancka i piękna, ale żeby pani słyszała te sceny i awantury! Nic jej się nie podoba. Ma, jak to się u was mówi, po uszy Fezu, gdzie nie ma sklepów jubilerskich i innych kosztownych kobiet, które mogłyby ją podziwiać i zazdrościć tych wspaniałych kreacji. Żąda, by zabrał ją jutro w jakieś ciekawsze miejsce. Cóż, nie każdy bogacz może cieszyć się ciszą i spokojem.

Wygłosiwszy ostatnie zdanie nieco sentencjonalnym tonem, zauważył wysunięty ku sobie palec i rzucił się przez taras jak rażony prądem: — *Monsieur?*

Większość gości udała się na lunch, ale Hilary późno jadła śniadanie i nie śpieszyła się z południowym posiłkiem. Zamówiła sobie kolejnego drinka. Przystojny młody Francuz wyszedł z baru i przechodząc przez taras, rzucił Hilary dyskretne spojrzenie, które choć nieco zamaskowane, mówiło: „Ciekawe, co tu można robić?” po czym zszedł po schodach w dół. Usłyszała, jak podśpiewywał, a właściwie nucił urywek arii z francuskiej opery:

Le long des lauriers roses

*Revant de douces choses...**

Te słowa poruszyły jakąś strunę w mózgu Hilary. *Le long des lauriers roses*. Laurier. Laurier? Tak

nazywał się Francuz z pociągu. Czy jest tu jakiś związek, czy też to tylko przypadek? Otworzyła torebkę i odszukała jego wizytówkę. Henri Laurier, 3 Rue des Croissants, Casablanca. Odwróciła kartę i na jej odwrocie dostrzegła słabe ślady ołówka. Wyglądało, jakby ktoś tam coś napisał, a potem wytarł. Spróbowała odcyfrować te znaki: *Ou sont**, potem spory fragment był zupełnie nieczytelny i wreszcie słowo D'Antan. Przez chwilę myślała, że to jakaś informacja, ale później potrząsnęła głową i schowała wizytówkę do torebki. „To pewnie jakiś cytat, który zapisał sobie, a potem wymazał” — zdecydowała.

Nagle poczuła, że pada na nią cień. Zaskoczona podniosła wzrok. Słońce zasłaniał jej pan Arystydes. Nie patrzył na nią. Jego oczy utkwione były we wzgórzach, których mgliste zarysy majaczyły daleko za ogrodami. Usłyszała, jak westchnął, po czym odwrócił się gwałtownie i skierował do jadalni. W tym momencie rękaw jego płaszcza zawadził o kieliszek Hilary. Na dźwięk rozbijanego szkła natychmiast się odwrócił.

— Ach. Mille pardons, *madame* — przeprosił grzecznie. Hilary uśmiechnęła się i zapewniła go po francusku, że nic się nie stało. Pan Arystydes skinął na kelnera, który podbiegł jak zwykle w szalonym pośpiechu. Starszy pan zamówił dla Hilary takiego samego drinka, raz jeszcze przeprosił i udał się do restauracji.

Młody Francuz, wracając po schodach na taras, nadal nucił sobie pod nosem. Kiedy mijał Hilary, rzucił jej znaczące spojrzenie, ale ponieważ nie zrobiła żadnego gestu, ruszył do jadalni z filozoficznym wzruszeniem ramion.

Obok niej francuscy rodzice nawoływali dzieci:

— *Mais viens donc, Bobo. Qu'est-ce que tu fais? Dépêcheto!*

— *Laisse ta balie, chérie, on va déjeuner**.

Skierowali się do restauracji. Szczęśliwa, zadowolona z życia komórka społeczna. Hilary poczuła nagle, jak bardzo jest samotna i przestraszona.

Kelner podał jej drinka. Zapytała go, czy pan Arystydes jest w Fezie sam.

— Och, *madame*, oczywiście, że nie. Nikt tak bogaty jak *monsieur* Arystydes nie podróżuje samotnie. Jest tu z nim lokaju dwóch sekretarzy i szofer.

Kelner wyglądał na zaszokowanego pomysłem, że pan Arystydes mógłby podróżować bez służby. — Jednak po wejściu do jadalni Hilary zauważyła, że starszy pan siedzi przy stoliku samotnie, tak samo jak poprzedniego Wieczora. Przy stole obok dostrzegła dwóch młodych ludzi, prawdopodobnie jego sekretarze. Byli w stałym pogotowiu i cały czas zerkali na sąsiedni stolik, gdzie pan Arystydes ze swoją pomarszczoną, małą twarzą jadł lunch i zdawał się nie dostrzegać ich egzystencji. Najwyraźniej nie uważał sekretarzy za ludzi!

Popołudnie upłynęło jak mglisty sen. Hilary wędrowała przez ogrody, przechodziła z jednego tarasu na drugi. Spokój i piękno tego miejsca były absolutnie zdumiewające. Szmer i plusk wody,

połyskujące złotem pomarańcze, niezliczone zapachy i aromaty, wszystko to składało się na orientalną atmosferę odizolowanego od świata ustronia, co wprawiało Hilary w stan błogości.

*Ogrodem zamkniętym jesteś, siostró ma, oblubienico...**

Ten ogród był właśnie takim miejscem, odciętym od problemów rzeczywistości, pełnym zieleni i złota.

„Gdybym tylko mogła tu zostać — myślała Hilary. — Gdybym mogła tu zostać na zawsze...”

Właściwie nie chodziło jej o sam ogród „Palais Djamai”. Był to szczególny stan umysłu, którego odzwierciedleniem stało się to miejsce. Bo oto, kiedy straciła już nadzieję na ukojenie, mimo woli odnalazła je. I ten spokój wewnętrzny osiągnęła ją akurat w chwili, kiedy zdecydowała się na przygodę i niebezpieczeństwo.

Ale może nie będzie ani niebezpieczeństwa, ani przygody. Może zostanie tu jakiś czas i nic się nie wydarzy... A wtedy...

A wtedy co?

Powiał lekki wiaterek i Hilary wzdrygnęła się. „Zabłądziłaś do tej oazy spokoju — myślała — ale w końcu i tak zdrada dopadnie cię od środka. Zgiełk świata, okrucieństwo losu, żal i rozpacz, to wszystko tkwi głęboko wewnątrz ciebie”.

Dzień chylił się ku końcowi i słońce straciło swoją moc. Hilary przeszła przez szereg tarasów i wróciła do hotelu.

Z czeluści orientalnego holu dobiegł ją czyjś pełen swady beztroski głos. Kiedy jej oczy przywykły do panującego tam półmroku, rozpoznała panią Calvin Baker, wyglądającą jak zwykle nienagannie ze świeżo podfarbowanymi na niebiesko włosami.

— Właśnie przyleciałam — wyjaśniła. — Nie mogę wprost znieść tych pociągów. Zabierają tyle czasu! I ci ludzie w nich, tacy niechlujni! W tych krajach w ogóle nie mają pojęcia o higienie. Żeby pani widziała, moja droga, mięso na suku całe oblepione muchami! Oni chyba uważają za naturalne, że muchy siadają na wszystkim.

— Może to rzeczywiście jest naturalne — odparła Hilary. Pani Calvin Baker nie zamierzała godzić się z taką herezją:

— Jestem wielką sympatyczką Ruchu Czystej Żywności. U nas wszystkie łatwo psujące się towary zawija się w celofan, jednak nawet w Londynie chleb i ciasto trzymają bez opakowań. Ale, ale, czy zrobiła już pani rundkę po okolicy? Zaliczyła już pani chyba stare miasto?

— Obawiam się, że jeszcze niczego nie „zaliczyłam” — odparła Hilary z uśmiechem. — Po prostu wygrzewałam się na słońcu.

— Ach, oczywiście. Zapomniałam, że dopiero co wyszła pani ze szpitala. — Najwyraźniej tylko

niedawno przeżyta choroba mogła usprawiedliwić w oczach pani Calvin Baker brak zainteresowania atrakcjami turystycznymi. — Jak mogłam być tak głupia? Ależ to zupełnie normalne, że po takim wstrząsie powinna pani dużo leżeć i odpoczywać w ciemnym pokoju. Powoli zaczniemy robić wspólne wypadki. Należę do osób, które lubią pożytecznie spędzać czas. Wszystko zaplanowane i zaaranżowane. Każda minuta wypełniona.

Hilary była w takim nastroju, że to oświadczenie miało dla niej przedsmak piekła, ale pogratulowała pani Calvin Baker jej energii.

— Muszę przyznać, że jak na mój wiek całkiem dobrze sobie radzę. Rzadko czuję się choćby zmęczona. Czy pamięta pani pannę Hetherington? Angielka o długiej twarzy. Przyjeżdża tu wieczorem. Woli pociągi od samolotów. Kto tu w ogóle mieszka? Przypuszczam, że głównie Francuzi. I nowożeńcy w podróży poślubnej. Muszę teraz lecieć, żeby obejrzyć pokój. Nie podobał mi się ten, który mi przydzielili i obiecali, że go zamienią.

Wreszcie pani Calvin Baker, prawdziwy cyklon w miniaturze, odeszła.

Pierwszą osobą, jaką Hilary ujrzała wchodząc wieczorem do jadalni, była panna Hetherington. Siedziała przy małym stoliku pod ścianą i jadła kolację ze wzrokiem utkwionym w przewodnik turystyczny.

Po obiedzie trzy panie wypity razem kawę. Panna Hetherington z wyraźną ekscytacją rozprawiała o szwedzkim magnacie i jasnowłosej gwiazdce filmowej.

— Jestem pewna, że nie są małżeństwem — szeptała, pokrywając podniecenie stosownym grymasem niesmaku. — Za granicą widzi się tyle par tego typu. Tam pod oknem siedzi miło wyglądająca francuska rodzina. Dzieci wydają się bardzo przywiązane do swojego papy. Oczywiście, francuskim dzieciom pozwala się chodzić spać o Bóg wie której godzinie, czasem aż po dziesiątej. I w dodatku jedzą to samo co dorośli, zamiast mleka z biszkoptami, jak wszystkie normalne dzieci.

— Wygląda, że im to służy — zauważyła Hilary ze śmiechem. Panna Hetherington potrząsnęła głową i cmoknęła z dezaprobatą.

— Zapłacą za to później — wyraziła ponure przeczucie. — Ich rodzice pozwalają im nawet pić wino.

Nie mogło być nic bardziej przerażającego.

Pani Calvin Baker zaczęła robić plany na następny dzień.

— Chyba nie wybiorę się do starego miasta — powiedziała. — Obejrzałam je dokładnie poprzednim razem. Ogromnie interesujące, a jednocześnie istny labirynt. Niezwykły starodawny świat. Gdybym nie miała przewodnika, nigdy bym nie znalazła drogi powrotnej do hotelu. Traci się tam poczucie kierunku. Ale przewodnik był wyjątkowo miły i opowiedział mi wiele interesujących rzeczy. Ma brata w Stanach, chyba w Chicago, tak mówił. Po zwiedzaniu zabrał mnie do czegoś w

rodzaju herbaciarni, na wzgórzu z widokiem na stare miasto, coś cudownego! Musiałam wypić tę okropną herbatę miętową, wyjątkowe świństwo! I chcieli, żebym kupiła masę różnych rzeczy, niektóre nawet ładne, ale większość to zwykły szmelc. Z tymi sprzedawcami trzeba być bardzo stanowczą.

— To prawda — przyznała panna Hetherington. Potem dodała z westchnieniem: — I oczywiście nie można wydawać zbyt wiele na pamiątki. Te ograniczenia finansowe są takie przykre.

Rozdział VII

Hilary miała nadzieję uniknąć zwiedzania starego miasta w deprymującym towarzystwie panny Hetherington. Na szczęście ta ostatnia została zaproszona przez panią Calvin Baker na wycieczkę samochodem. Ponieważ pani Baker od razu oznajmiła, że sama płaci za tę ekspedycję, panna Hetherington, której zasoby pieniężne topniały w zastraszający sposób, przyjęła propozycję bez namysłu. Hilary zasięgnęła informacji w recepcji i dostała przewodnika, który miał oprowadzić ją po Fezie.

Przez opadające tarasami ogrody dotarli do olbrzymiej bramy w murze. Przewodnik otworzył ją wielkim kluczem i gestem zachęcił Hilary do przejścia. Było to jak krok w inny świat. Znalazła się wśród murów starego Fezu. Wąskie, kręte uliczki, wysokie ściany domów, gdzieniegdzie otwory wejściowe bez drzwi, przez które można było zerkać do wnętrza lub na dziedzińce. Wokół siebie widziała obładowanych mężczyzn, chłopców z osiołkami, zawoalowane kobiety. Wszystko to składało się na obraz prawdziwie marokańskiego, tętniącego ukrytym życiem miasta. Wędrując wąskimi uliczkami, zapomniała o wszystkim: swym zadaniu, osobistej tragedii, nawet o sobie samej. Błądząc po baśniowej krainie, syciła nią oczy i uszy. Irytujący był tylko przewodnik, który nie przestając gadać, ciągnął ją do różnych straganów, choć właściwie nie była nimi zainteresowana.

— Pani patrzy. Te rzeczy bardzo ładne. I tanie. Naprawdę stare, mauretańskie. Są suknie i jedwabie. Może pani życzy ładne koraliki?

Odwieczna wymiana handlowa Wschodu i Zachodu nie mogła zmącić uroku, jaki padł na Hilary. Wkrótce straciła zupełnie orientację. Otoczona tymi murami nie miała pojęcia, gdzie jest północ albo południe. Nie wiedziała nawet, czy powtórnie przemierzają te same uliczki. Kiedy była już całkiem wyczerpana, przewodnik zaproponował coś, co widocznie należało do jego rutynowych obowiązków.

— Teraz idziemy do bardzo wspaniałe miejsce. Tam moi przyjaciele. Napije się pani miętowej herbaty i oni pokażą dużo ślicznych rzeczy.

Hilary od razu rozpoznała stary chwyt, o którym mówiła pani Calvin Baker. Ale przecież nie miała nic przeciwko zwiedzaniu wszystkiego, co tylko jej pokazywano. Jutro, obiecała sobie, wróci do starego miasta i spokojnie pospaceruje bez szarpania za łokieć i ponaglania. Tak więc pozwoliła się wyprowadzić przez bramę i ruszyła za przewodnikiem ścieżką wijącą się po zboczu w górę. Wreszcie znaleźli się w ogrodzie otaczającym ładny budynek w miejscowym stylu.

W dużym pomieszczeniu z widokiem na całe miasto posadzono ją przy niskim stoliku i podano obowiązkową miętową herbatę. Dla Hilary, która nie używała do herbaty cukru, była to swego rodzaju próba. Wyobraziła sobie jednak, że ma przed sobą nie herbatę, tylko jakąś egzotyczną lemoniadę, i zdołała ją wypić prawie z przyjemnością. Z przyjemnością również oglądała oferowane do sprzedaży dywaniki, paciorki, tekstylia, hafty i różne inne rzeczy. Kilka drobiazgów nawet kupiła, co prawda bardziej z uprzejmości niż z innych powodów. Niezmordowany przewodnik ciągle

trajkotał:

— Mam tu zamówione auto. My na krótką przejażdżkę. Jedna godzina, nie więcej. Zobaczy pani piękne widoki. Potem z powrotem do hotelu. — I ścisząc dyskretnie głos, dodał: — Ta dziewczyna, ona najpierw zaprowadzi do bardzo ładnej toalety.

Dziewczyna, która podała herbatę, stała przy nich z uśmiechem. Starannie dobierając angielskie słowa, powiedziała:

— Tak, tak, *madame*. Proszę za mną. Tu bardzo ładna toaleta, naprawdę. Jak w hotelu Ritz. Takie mają w Nowym Jorku i Chicago. Zobaczy pani.

Hilary, uśmiechając się lekko, poszła za dziewczyną. Od kategorii, do której pretendowała, toaletę dzieliła przepaść, ale przynajmniej miała bieżącą wodę. Była tam umywalka i małe pęknięte lustro, tak bardzo zniekształcające proporcje, że Hilary aż cofnęła się, przerażona widokiem własnej twarzy. Umyła ręce i osuszyła je własną chusteczką, starając się nie patrzeć na ręcznik, po czym odwróciła się do wyjścia.

Jednakże drzwi toalety nie dawały się jakoś otworzyć. Daremnie poruszała i stukała klamką. Drzwi ani drgnęły. Hilary zastanawiała się, czy została zamknięta na klucz czy na zasuwę. Czuła narastającą złość. O co w tym wszystkim chodzi? W tym momencie dostrzegła w kącie drugie drzwi. Podeszła do nich i nacisnęła klamkę. Tym razem otworzyły się z łatwością.

Hilary znalazła się w małym pokoju urządzonego w orientalnym stylu, w którym jedynym źródłem światła dziennego były szpary w ścianach. Na niskim tapczanie siedział, paląc fajkę, mały Francuz z pociągu, pan Henri Laurier.

Nie podniósł się, by ją powitać. Powiedział po prostu nie znanym jej jeszcze tonem:

— Witam, pani Betterton.

Przez chwilę Hilary stała w bezruchu, oniemiała ze zdziwienia. Więc to tak! Jednak szybko odzyskała równowagę. „Przecież spodziewałaś się czegoś takiego. Zachowuj się jak ona” — pomyślała. Postąpiła krok naprzód i zawołała skwapliwie:

— Ma pan dla mnie wiadomości? Pomoże mi pan?

Skinął głową z wyrzutem:

— W pociągu zachowywała się pani dziwnie tępo. Może za bardzo przywykła pani do rozmów o pogodzie.

— O pogodzie? — patrzyła na niego zdezorientowana.

Co on mówił o pogodzie podczas jazdy pociągiem? Zimno? Mgła? Śnieg?

Śnieg. To słowo wyszeptała umierająca Oliwią Betterton. I zacytowała głupią dziecianną wyliczankę. Jak to było?

Śnieg, śnieg, śnieg, jak pięknie śnieży,

Jedna grudka — i już leżysz.

Hilary powtórzyła ją teraz niepewnie.

— Otóż to. Dlaczego nie odpowiedziała pani natychmiast, jak było ustalone?

— Nie rozumie pan? Byłam chora. Samolot się rozbił, a ja znalazłam się w szpitalu ze wstrząsem mózgu. Dlatego moja pamięć... Dobrze pamiętam tylko odległe wydarzenia. Reszta... Mam straszne luki... białe plamy. — Dotknęła rękami głowy. Zupełnie łatwo mówiło się jej z prawdziwym drzeniem w głosie. — Nie ma pan pojęcia, jakie to przerażające. Cały czas mam uczucie, że zapomniałam o czymś ważnym, naprawdę ważnym. Im bardziej się staram sobie przypomnieć, tym bardziej się od tego oddalam.

— Tak — przyznał Laurier. — Ta katastrofa była nam bardzo nie na rękę. — Mówił chłodnym, rzeczowym tonem. — Muszę się upewnić, czy ma pani dość siły i odwagi, by kontynuować podróż.

— Oczywiście, że tak — zawołała Hilary. — Mój mąż... — Głos jej się załamał.

Uśmiechnął się, ale nie był to miły uśmiech. Jakiś taki koci.

— Pani mąż, o ile wiem, oczekuje pani z niecierpliwością.

— Nie ma pan pojęcia — głos Hilary ciągle drżał — co ja przeszłam przez te wszystkie miesiące od jego zniknięcia!

— Czy brytyjskie władze uwierzyły, że pani nic nie wie?

Hilary bezradnie rozłożyła ręce.

— Trudno mi powiedzieć. Chyba tak.

— A jednak... — urwał raptownie.

— Myślę, że prawdopodobnie — powiedziała z wolna Hilary — śledzili mnie. Nie mogę wskazać jakiejś konkretnej osoby, ale od momentu opuszczenia Anglii mam uczucie, że jestem pod obserwacją.

— To jasne — odparł Laurier zimno. — Oczekiwaliśmy tego.

— Uważam, że powinnam was ostrzec.

— Droga pani Betterton, nie jesteśmy dziećmi. Wiemy doskonale, co robimy.

— Przepraszam — rzekła Hilary pokornie. — Obawiam się, że jestem zupełną ignorantką.

— To nie ma znaczenia, dopóki będzie pani posłuszna.

— Będę — obiecała cichym głosem.

— Nie ma wątpliwości, że w Anglii była pani pod ścisłą obserwacją, i to już od momentu zniknięcia pani męża. Pomimo to otrzymała pani wiadomość, prawda?

— Tak — przyznała.

— Więc teraz, *madame* — Laurier znowu przybrał swój oficjalny ton — udzielę pani instrukcji.

— Słucham.

— Pojutrze wyruszy pani do Marakeszu. Zgodnie z dotychczasowym planem i z rezerwacjami.

— Dobrze.

— Po przybyciu otrzyma pani telegram z Anglii. Nie wiem jaki, ale jego treść na pewno usprawiedliwi decyzję natychmiastowego powrotu do kraju.

— Mam wrócić do Anglii?

— Proszę mi nie przerywać. Zamówi pani miejsce w samolocie z Casablanki na następny dzień.

— A jeżeli nie zdobędę takiej rezerwacji? Wszystkie miejsca mogą już być wykupione.

— Nie będą. Załatwiliśmy to. Zrozumiała pani instrukcję?

— Zrozumiałam.

— Więc proszę wracać do przewodnika. Już dość długo siedzi pani w toalecie. Przy okazji, zaprzyjaźniła się pani z Amerykanką i Angielką, które obecnie przebywają w „Palais Djamai”?

— Tak. Czy to błąd? Nie mogłam tego uniknąć.

— Nic nie szkodzi. To nam pomoże w realizacji planu. Byłoby świetnie, gdyby namówiła pani jedną z nich na podróż do Marakeszu. Do widzenia, *madame*.

— *Au revoir, monsieur*.

— Raczej nie sędzę — dodał pan Laurier z całkowitą obojętnością — żebyśmy się jeszcze kiedyś spotkali.

Hilary wróciła do toalety. Tym razem drzwi nie były zamknięte. Przewodnik na nią czekał.

— Jest auto. Bardzo dobry — powiedział. — Zabieram panią na przyjemną, ciekawą przejażdżkę.

Wszystko toczyło się zgodnie z planem.

— Więc jutro wyrusza pani do Marakeszu — stwierdziła panna Hetherington. — Niezbyt długo bawiła pani w Fezie, prawda? Czy nie byłoby wygodniej najpierw jechać do Marakeszu, potem do Fezu, a stąd do Casablanki?

— Chyba tak — odparła Hilary — ale nie zawsze można dostać odpowiednią rezerwację. Jest tu raczej tłoczno.

— Nie z powodu Anglików — odparła ponuro panna Hetherington. — To doprawdy straszne, że teraz prawie nie spotyka się naszych rodaków. — Rozejrzała się z lekceważącą miną. — Sami Francuzi.

Hilary uśmiechnęła się lekko. Fakt, że Maroko było francuską kolonią, nie liczył się widocznie w oczach panny Hetherington. Uważała prawdopodobnie, że przywilej korzystania z hoteli za granicą powinien przysługiwać głównie turystom z Anglii.

— Francuzi i Niemcy oraz Ormianie i Grecy — sprostowała ze śmiechem pani Calvin Baker. — Myślę, że ten mały pokurcz to Grek.

— Tak słyszałam — potwierdziła Hilary.

— Wygląda na grubą rybę — zauważyła pani Baker. — Wystarczy popatrzeć, jak kelnerzy koło niego skaczą.

— Za to Anglików teraz prawie nie widzą — zauważyła pośepnie panna Hetherington. — Zawsze dają nam najgorsze, ciemne pokoje, takie jak dawniej przeznaczano dla służby.

— Cóż, nie mogę narzekać na zakwaterowanie — zwierzyła się pani Calvin Baker. — Odkąd przyjechałam do Maroka, zawsze udawało mi się zdobyć wygodny pokój i łazienkę.

— Jest pani Amerykanką — odparła panna Hetherington ostro. W jej głosie czuło się jad. Z furją wprawiła w ruch druty, aż zabrzęczały.

— Chciałabym namówić obie panie na wspólną wycieczkę do Marakeszu — powiedziała Hilary. — Tak miło się nam gawędzi. Doprawdy nie lubię podróżować samotnie.

— Przecież już tam byłam — zgorszyła się panna Hetherington.

Natomiast pani Calvin Baker wyglądała na zainteresowaną pomysłem.

— Cóż, niezła myśl — powiedziała. — Minął już miesiąc od mojego pobytu w Marakeszu. Chętnie znów tam wpadnę. Wszędzie panią oprowadzę i ochronię przed tymi arabskimi naciągaczami. Jeśli się zna miejscowe zwyczaje, łatwo przejrzeć ich sztuczki. Zaraz idę do biura. Zobaczmy, co się da

załatwić.

Po jej odejściu panna Hetherington odezwała się kwaśno:

— Typowa Amerykanka. Gna ją z miejsca na miejsce, nigdzie nie zatrzyma się dłużej. Jednego dnia Egipt, drugiego Palestyna. One chyba nie zawsze wiedzą, w jakim kraju akurat przebywają.

Zacisnęła usta, zebrała robótkę i opuściła salon z lekkim skinieniem głowy. Hilary zerknęła na zegarek. Nie miała ochoty przebierać się do obiadu, choć zwykle to czyniła. Została sama w dość ciemnym, niskim pokoju, zawieszonym orientальnymi tkaninami. Po chwili zajrzał kelner, który zapalił dwie lampy. Nie dawały jednak zbyt wiele światła i pomieszczenie nadal tonęło w przyjemnym półmroku. Siedząc wygodnie na niskim tapczanie, Hilary rozmyślała o swojej przyszłości.

Jeszcze wczoraj zastanawiała się, czy cała sprawa, w którą się zaangażowała, nie jest złudzeniem. A teraz... Teraz znalazła się u progu swej rzeczywistej podróży. Musi być ostrożna, bardzo ostrożna. Nie wolno się niczym zdradzić. Musi być Oliwią Betterton, kobietą średnio wykształconą, niezbyt wrażliwą na sztukę, o konwencjonalnych poglądach, ale zdecydowanie sympatyzującą z lewicą. No i bardzo przywiązaną do męża.

— Nie mogę popełnić błędu — szepnęła sama do siebie.

Jakie to dziwne uczucie siedzieć tak samotnie tutaj, w Maroku. Wydawało się jej, że odkrywa świat tajemnic i magicznego czaru. Na przykład ta przyćmiona lampa obok. Czy gdyby wzięła do rąk tę rzeźbioną mosiężną podstawę i potarła ją palcami, to pojawiłby się dżin, jej duch? Ledwie zdążyła to pomyśleć, drgnęła. Bo oto za lampą zmaterializowało się nagle pomarszczone oblicze i kozia bródka pana Arystydesa. Skłonił się uprzejmie i usiadł obok niej.

— Pani pozwoli? — zapytał. Hilary skinęła głową.

Wyciągnął papierośnicę i poczęstował ją. Sam też zapalił.

— Jak się *madame* podoba Maroko? — zapytał po chwili.

— Przebywam tu od niedawna — odparła. — Na razie jestem zachwycona.

— Aha. Zwiedziła pani stare miasto? Podobało się pani?

— Uważam, że jest cudowne.

— Tak, to prawda. Trwa w nim przeszłość — przeszłość handlu, intryg, szeptów, wszystkie tajemnice i namiętności miasta zamkniętego w obrębie tych wąskich uliczek i murów. Wie pani o czym myślę, wędrując po Fezie?

— Nie?

— Myślę o waszej Great West Road w Londynie. Myślę o fabrykach po obu stronach tej ulicy, o rozświetlonych neonami budynkach i ludziach w środku. Widać ich nawet z przejeżdżających

samochodów. Wszystko na wierzchu, żadnej tajemniczości. Nawet okna bez zasłon. Ludzie robią swoje i każdy, kto chce, może ich obserwować. Zupełnie jakby się odcięło wierzchołek mrowiska.

— I właśnie ten kontrast pana interesuje? — zapytała zaciekawiona Hilary.

Pan Arystydes skinął głową przypominającą skorupę żółwia.

— Tak — odparł. — Tam wszystko jest jawne, a w starym Fezie nic nie jest *a jour*. Wszystko jest ukryte, ciemne... Ale... — Pochylił się do przodu i uderzył palcem w mosiężny stolik. — Ale życie toczy się tak samo. Te same okrucieństwa, ucisk, żądza władzy, układy.

— Uważa pan, że natura ludzka jest wszędzie taka sama?

— W każdym kraju teraz i w przeszłości władzę sprawowano tylko za pomocą kija lub marchewki. To albo to. Czasami jedno i drugie naraz. — Nagle bez żadnych wstępów rzucił: — Słyszałem, że przeżyła pani katastrofę samolotu w Casablance.

— Tak, to prawda.

— Zazdroszczę pani — rzekł nieoczekiwanie. Hilary popatrzyła na niego zaskoczona. Kiwnął kilka razy głową. — Tak — powtórzył. — To godne pozazdroszczenia. Miała pani ciekawe przeżycie. Chciałbym kiedyś otrzeć się tak blisko o śmierć. Przejść przez to, a jednak ocaleć... Czy od tego momentu czuje się pan inaczej?

— Dość nieprzyjemnie — odparła Hilary. — Miałam wstrząs mózgu i nawiedzają mnie teraz paskudne bóle głowy, a także zaniki pamięci.

— To zwykłe niedogodności. — Pan Arystydes machnął ręką. — Przeżyła pani niezwykłą przygodę duchową, czyż nie?

— Owszem — powiedziała Hilary powoli. — Można by to tak nazwać.

Myślała o butelce vichy i garści tabletek nasennych.

— Nigdy czegoś takiego nie doświadczyłem — naburmuszył się pan Arystydes. — Wiele rzeczy, ale tego nie. — Wstał i skłonił się: — *Mes hommages, madame** — powiedział, po czym wyszedł.

Rozdział VIII

„Jakże podobne — myślała Hilary — są do siebie lotniska! Jest w nich jakaś dziwna anonimowość. Położone są w pewnej odległości od miasta i w konsekwencji ma się niesamowite uczucie, że znajdują się nigdzie. Można lecieć z Londynu do Madrytu, Rzymu, do Istambułu, do Kairu, dokądkolwiek i nie mieć pojęcia, jak wyglądają te miasta! Jeżeli uda się rzucić na nie okiem z góry, wyglądają jak makiety zbudowane z dzieciennych klocków”.

„I dlaczego — zastanawiała się poirytowana, rozglądając się dookoła — na wszystkie lotniska trzeba przyjeżdżać tak długo przed odlotem?”

Spędziła już prawie pół godziny w poczekalni. Pani Calvin Baker, która zdecydowała się towarzyszyć Hilary do Marakeszu, usta nie zamykały się od samego początku.

Hilary odpowiadała jej prawie mechanicznie. Ale nagle zorientowała się, że potok wymowy zmienił kierunek. Pani Baker zwróciła uwagę na dwóch podróżnych siedzących obok niej. Obydwaj byli wysocy i jasnowłosi. Amerykanin z szerokim przyjacielskim uśmiechem na twarzy i poważny Duńczyk albo Norweg, mówiący po angielsku z trudem, powoli i dość pedantycznie. Amerykanin bardzo się ucieszył ze spotkania z rodaczką. Po chwili pani Calvin Baker przypomniała sobie o Hilary.

— Panie... hm... Chciałabym, żeby pan poznał moją towarzyszkę, panią Betterton.

— Andrew Peters. Dla przyjaciół Andy.

Drugi mężczyzna wstał, złożył sztywny ukłon i przedstawił się:

— Torquil Ericsson.

— Więc już się znamy — paplała rozanielona pani Baker. — Czy wszyscy jadą do Marakeszu? Moja przyjaciółka wybiera się tam po raz pierwszy...

— Ja też — wtrącił Ericsson.

— I ja — dodał Peters.

Nagle z głośników rozległa się ochrypla zapowiedź w języku francuskim. Prawie nie można było rozróżnić poszczególnych słów, ale wyglądało to na wezwanie do samolotu.

Poza panią Baker i Hilary do Marakeszu leciały cztery osoby: Ericsson, Peters, szczupły, wysoki Francuz i surowo wyglądająca zakonnica.

Dzień był słoneczny, warunki lotu dobre. Hilary odchyliła się na fotelu i spod przymkniętych powiek obserwowała współpasażerów, próbując w ten sposób oderwać myśli od niepokojących ją

problemów.

O jeden rząd przed nią, po drugiej stronie siedziała pani Calvin Baker. W szarym kostiumie podróżnym wyglądała jak pulchna i zadowolona z siebie kaczką. Na błękitnawych włosach miała mały kapelusik z rondem. Przeglądała kolorowy magazyn i od czasu do czasu poklepywała po ramieniu siedzącego przed nią młodego Amerykanina, Petersa. Odwracał się do niej z radosnym uśmiechem i ochoczo odpowiadał na jej uwagi. „Amerykanie są bardzo przyjacielscy i życzliwi — pomyślała Hilary. — Zachowują się w podróży całkiem inaczej niż sztywni Anglicy”. Nie mogła sobie wyobrazić na przykład panny Hetherington zaczynającej w samolocie pogawędkę z młodym rodakiem. Wątpiła też, czy Anglik odpowiadałby jej tak samo życzliwie jak ten Amerykanin.

Po przeciwnej stronie siedział Norweg, Ericsson.

Kiedy spojrzała na niego, skłonił się sztywno i wychyliwszy się nieco, podał jej magazyn, który właśnie skończył przeglądać. Podziękowała mu i wzięła czasopismo. Tuż za nim siedział szczupły ciemnowłosy Francuz. Wyciągnął przed siebie nogi i wyglądał na pogrążonego we śnie.

Hilary obejrzała się do tyłu. Za jej plecami siedziała surowa zakonnica. Hilary napotkała jej bezosobowe, obojętne spojrzenie. Siedziała bez ruchu ze złożonymi rękami. Hilary wydało się swego rodzaju paradoksem, że kobieta w średniowiecznym stroju podróżuje tak typowo dwudziestowiecznym środkiem lokomocji jak samolot.

„Sześć osób — myślała Hilary — zamkniętych razem przez kilka godzin, zmierzającym w różnych celach do różnych miejsc. Już wkrótce się rozproszą i nie spotkają nigdy więcej”. Czytała kiedyś książkę na podobny temat. Przedstawiała koleje życia sześciorga ludzi. „Francuz — zdecydowała — na pewno jest na urlopie. Wygląda na zmęczonego. Młody Amerykanin może być studentem. Ericsson chyba szuka pracy. Zakonnica bez wątpienia udaje się do swego klasztoru”.

Hilary zamknęła oczy i zapomniała o współpasażerach. Rozmyślała, jak całą poprzednią noc, o instrukcjach, które otrzymała. Ma wracać do Anglii! To szaleństwo! A może jej nie ufają? Może nie powiedziała lub nie zrobiła czegoś istotnego, czegoś, co powinna zrobić prawdziwa Oliwia? Westchnęła i poruszyła się niespokojnie. „Cóż — pomyślała — nie mogę zrobić nic więcej. Jeżeli zawiodłam... trudno, stało się. W każdym razie starałam się, jak mogłam”.

Potem przyszła jej do głowy inna myśl. Henri Laurier uznał fakt, że była w Maroku śledzona, za naturalny i nieunikniony. Może więc chce odwrócić od niej podejrzenia. Jeśli pani Bet—terton nagle wróci do Anglii, władze z pewnością uznają, że nie pojechała do Maroka, by „zniknąć” tak jak jej mąż. Podejrzenia rozwieją się i wszyscy uznają, że podróżowała *bona fide**.

Do Anglii poleci liniami Air France z lądowaniem w Paryżu. Może więc tam...

Tak, oczywiście, w Paryżu. Tam zaginął Tomasz Betterton. O ileż łatwiej tam zaaranżować i jej zniknięcie. Może Betterton w ogóle nie opuścił Paryża. Może... Zmęczona daremnymi spekulacjami Hilary zapadła w sen. Budziła się, drzemała, od czasu do czasu zerknęła bez zainteresowania do magazynu. Nagle przebudzona z głębszego snu zauważyła, że samolot gwałtownie traci wysokość i zatacza koła. Spojrzała na zegarek. Za wcześnie na planowy przylot. Co więcej, wyglądając przez

okno, nie mogła dostrzec żadnego lotniska.

Po chwili ogarnął ją nagły lęk. Szczupły śniady Francuz podniósł się z miejsca, ziewnął, rozprostował ramiona, rozejrzał się i powiedział po francusku coś, czego nikt nie zrozumiał. Ericsson wychylił się przez przejście.

— Wygląda na to, że lądujemy tutaj — zauważył. — Ale dlaczego?

Hilary powiedziała:

— Chyba rzeczywiście lądujemy. — Na co pani Calvin Baker odwróciła się i skwapliwie skinęła głową.

Samolot krążył coraz niżej. Łąd pod nim wyglądał jak pustynia. Nie było śladu żadnych zabudowań. Koła mocno uderzyły o twardy grunt i toczyły się jeszcze przez kilka minut, dopóki nie znieruchomiały. Było to lądowanie twarde i na dodatek w środku nicości.

Czyżby jakaś awaria silnika, zastanawiała się Hilary, czy może zabrakło paliwa? Pilot, przystojny ciemnoskóry mężczyzna, wyszedł z kokpitu do pasażerskiej części samolotu.

— Proszę, by wszyscy wysiedli — powiedział. Otworzył tylne drzwi, spuścił krótką drabinę i czekał, aż wyjdą. Na ziemi zbili się w małą grupkę, drżąc lekko. Od dalekich gór wiał przenikliwy, zimny wiatr. Hilary zauważyła przepiękne, pokryte śniegiem szczyty. Powietrze było świeże i rześkie. Pilot również zszedł na ziemię i zwrócił się do nich po francusku:

— Czy są wszyscy? Tak? Proszę wybaczyć, ale musicie trochę poczekać. Ach, nie, widzę, że już jadą.

Wskazał na horyzont, gdzie pokazał się rosnący stopniowo punkcik. Zdezorientowana Hilary spytała:

— Ale dlaczego wylądowaliśmy tutaj? Co się stało? Jak długo tu będziemy?

— Chyba zbliża się jakiś pojazd — zauważył francuski podróżny. — Pewnie nim pojedziemy.

— Czy to silnik się zepsuł? — pytała Hilary.

Andy Peters uśmiechnął się radośnie.

— Ależ nie, nie powiedziałbym tego. Według mnie brzmiał, jak powinien. Tylko musieli wykręcić coś w tym rodzaju.

Hilary zdrętwiała.

— Jejku, jak tu zimno — mruknęła pani Calvin Baker. — To najgorsza cecha tego klimatu. Cały dzień upał, a niech tylko słońce zajdzie, zaraz mróz.

Pilot mamrotał coś pod nosem; Hilary wydało się, że przeklina. Usłyszała fragment zdania:

— *Toujours des retards insupportables**.

Pojazd zbliżał się ku nim w szaleńczym tempie. Kierowca zahamował z piskiem opon, zeskoczył i natychmiast wdał się w gwałtowną kłótnię z pilotem. Ku zaskoczeniu Hilary, pani Baker przerwała tę dysputę i przemówiła po francusku.

— Nie traćmy czasu — rzekła rozkazującym tonem. — Ta kłótnia nie ma sensu. Chcemy się stąd wydostać.

Kierowca wzruszył ramionami, podszedł do ciężarówki i opuścił tylną klapę. Wewnątrz znajdowała się wielka skrzynia. Razem z pilotem, przy pomocy Ericssona i Petersa, zdjęli ją na ziemię. Sądząc po ich wysiłkach, musiała być ciężka. Mężczyźni zaczęli zdejmować wieko. Pani Calvin Baker położyła rękę na ramieniu Hilary.

— Nie powinnaś na to patrzeć, moja droga. To niezbyt piękny widok.

Odciągnęła ją na drugą stronę ciężarówki, a tam dołączyli do nich Francuz i Peters.

— Co to za manipulacje? — spytał Francuz w swoim języku. Pani Baker odpowiedziała pytaniem:

— Czy doktor Barron? Francuz skłonił się.

— Miło mi pana poznać. — Wyciągnęła dłoń jak gospodyni witająca gościa na przyjęciu.

Oszołomiona Hilary próbowała pytać:

— Ale ja nic nie rozumiem. Co jest w skrzyni? Dlaczego mam nie patrzeć?

Andy Peters spojrzał na nią z namysłem. Hilary pomyślała, że ma miłą, budzącą zaufanie twarz.

— Wiem, co tam jest. Pilot mi powiedział. Niezbyt piękne, ale konieczne — oznajmił, a potem dodał cicho: — Są tam zwłoki.

— Zwłoki! — przestraszyła się.

— Och, nie zostali zamordowani ani nic w tym rodzaju — uśmiechnął się pocieszająco. — Zdobyto je w zupełnie legalny sposób... eksperymenty medyczne, rozumie pani.

Do Hilary nadal nic nie docierało:

— Nie rozumiem.

— Ach. Widzi pani, tutaj kończy się podróż. Przynajmniej jedna z podróży.

— Kończy się?

— Tak. Ciała zostaną umieszczone w samolocie, pilot wszystko przygotowuje, my stąd odjedziemy i tylko z daleka zobaczymy słup ognia. Jeszcze jedna katastrofa lotnicza, z której nikt nie ocaleje!

— Dlaczego? Co to za dziwactwo?

— Ależ na pewno... — odezwał się doktor Barron. — Na pewno pani wie, dokąd zmierzamy?

Pani Baker zbliżyła się do nich.

— Oczywiście, że wie — zaszczębiotała radośnie. — Ale może nie oczekiwała, że nastąpi to tak szybko.

Nadal zdumiona Hilary zaniemówiła na chwilę, po czym rozejrzała się wokół.

— Ale czy ma pan na myśli... nas wszystkich?

— Jedziemy na tym samym wózku — wyjaśnił Peters łagodnie. Młody Norweg kiwnął głową i dodał z fanatycznym wręcz entuzjazmem:

— Tak, na tym samym.

Rozdział IX

Zbliżył się do nich pilot.

— Musicie ruszać — powiedział. — Tak szybko, jak to tylko możliwe. Jest jeszcze dużo do zrobienia, a według planu już jesteśmy spóźnieni.

Hilary cofnęła się na moment. Nerwowo przyłożyła dłoń do gardła. Perłowy naszyjnik, który nosiła, rozerwał się pod naciskiem palców. Pozbierała rozsypane perły i wepchnęła je do kieszeni.

Wsiedli do ciężarówki. Hilary znalazła się na długiej ławie pomiędzy Petersem a panią Baker. Zwróciła się do Amerykanki:

— Więc to pani... pani jest łącznikiem, prawda?

— Tak, to właściwe słowo. Nie chwałąc się, mam naprawdę dobre kwalifikacje. Nikt nie podejrzewa podróżującej po świecie Amerykanki.

Uśmiech nie opuszczał jej pulchnej twarzy, ale Hilary wyczuła, lub też sądziła, że czuje różnicę. Znikła gdzieś bezmyślna, powierzchowna paniusia, trzymająca się konwenansów. Miała przed sobą kompetentną, odpowiednio wyszkoloną i prawdopodobnie bezlitosną kobietę.

— Już widzę te nagłówki w gazetach — ciągnęła pani Baker, śmiejąc się radośnie. — Szczególnie ze względu na panią, kochanie. „Prześladował ją pech” — napiszą. „Cudem uszła śmierci podczas katastrofy w Casablance, by zginąć w kolejnej kraksie na pustyni”.

Hilary nagle dostrzegła przebiegłość planu.

— A inni? — zapytała. — Czy są tymi, za których się podają?

— Jasne! Doktor Barron jest bakteriologiem, pan Ericsson genialnym młodym fizykiem, pan Peters zajmuje się badaniami chemicznymi, panna Needheim to oczywiście nie zakonnica, ale endokrynolog. Ja, jak już mówiłam, jestem łączniczką. Nie należę do grona naukowców. — Roześmiała się znowu. — Ta cała Hetherington nie miała cienia szansy!

— Panna Hetherington... czy ona... czy ona...

Pani Calvin Baker dobitnie kiwnęła głową.

— Śledziła panią. Ktoś jej panią przekazał w Casablance.

— Ale przecież nie pojechała z nami do Marakeszu, chociaż ją do tego namawiałam?

— Nie mogła, nie pasowało to do postaci, którą grała. Wyglądałoby podejrzanie, gdyby wybrała się tam po raz drugi. Na pewno wysłała telegram lub zatelefonowała, by ktoś czekał tam na panią po

przylocie. Po przylocie! Dobrze, co? Patrzenie! Patrzenie, tam! Ale fajerwerk!

Ciężarówka pędziła przez pustynię, oddalając się coraz bardziej. Kiedy Hilary obejrzała się w tył, dostrzegła w dali słup ognia. Do uszu dotarł niewyraźny odgłos eksplozji. Peters odwrócił głowę i roześmiał się.

— Właśnie sześciu pasażerów zginęło w katastrofie samolotu do Marakeszu! — zawołał.

Hilary z trudem łapała oddech.

— To jest... to przerażające.

— Nasza podróż w nieznane? — zapytał Peters poważnie tym razem. — To jedyny sposób. Zostawiamy za sobą przeszłość i ruszamy ku przyszłości. — Jego twarz rozpalila się nagłym entuzjazmem. — Wyrzucamy się z całego paskudztwa. Uciekamy od sprzedajnych rządów i podżegaczy wojennych. Dostaniemy się do nowego świata, świata wiedzy, wolnego od szumowin i różnych naleciałości.

Hilary nabrała powietrza.

— To samo mówił mój mąż — powiedziała.

— Pani mąż? — Rzucił jej szybkie spojrzenie. — Czyżby Tom Betterton?

Hilary skinęła głową.

— Och, to wspaniale. Nigdy nie spotkałem pani męża w Stanach, chociaż kilka raz minąłem się z nim o włos. Rozszczepienie ZE to jedno z najgenialniejszych odkryć naszego wieku. Chylę głowę przed Tomaszem Bettertonem. Pracował ze starym Mannheimem, prawda?

— Tak — potwierdziła Hilary.

— Słyszałem, że poślubił jego córkę. Ale pani chyba nie jest...

— Jestem jego drugą żoną — powiedziała Hilary, rumieniąc się lekko. — On... Elza zmarła w Ameryce.

— Przypominam sobie. Wtedy wyjechał do Anglii, by pracować w Harwell. A potem wykołował ich i zniknął. — Roześmiał się. — Pojechał na konferencję do Paryża i cześć! Dobry Boże, ależ to są fachowcy! — dodał z uznaniem.

Hilary zgodziła się z nim. Perfekcja tej organizacji sprawiała, że robiło jej się zimno ze strachu. Wszystkie plany, kody, znaki, które tak szczegółowo opracowali z Jessopem, stały się bezużyteczne. Nikt nie trafi na jej ślad. Wszystko zostało tak urządzone, że każdy pasażer fatalnego samolotu był jednocześnie towarzyszem podróży w nieznane, tam gdzie wcześniej udał się Tomasz Betterton. Żadnego śladu, zupełnie nic, poza wypalonym wrakiem samolotu z prawdziwymi szczątkami „ofiar”. Czy oni... czy to możliwe, by Jessop i jego ludzie odkryli, że jej tam nie było? Wątpliwe. Wypadek

był taki przekonywający, tak sprytnie pomyślany!

Peters odezwał się ponownie. Jego głos był pełen chłopięcego entuzjazmu. Nie miał skrupułów i nie oglądał się za siebie. Dążył naprzód.

— Ciekawe, dokąd też jedziemy?

Hilary również się nad tym zastanawiała, ponieważ wiele od tego zależało. Prędzej czy później dotrą do jakichś ludzkich siedzib. Jeśli zostanie wdrożone śledztwo, może ktoś przyzna, że widział ciężarówkę z sześcioma osobami podobnymi do tych, które opuściły tego ranka lotnisko. Odwróciła się do pani Baker i zapytała, próbując naśladować dziecienną radość Petersa:

— Dokąd jedziemy? Co się teraz wydarzy?

— Zobaczysz — odparła. W jej jak zwykle uprzejmym głosie zadźwięczała jakby złowieszczą nuta.

Nie zatrzymywali się. Niebo za nimi nadal rozświetlała luna po pożarze, tym wyraźniejsza, że słońce skryło się już za horyzontem. Zapadła noc, a oni jechali i jechali. Podróż stawała się męcząca, gdyż, oczywiście, omijali główne arterie. Chwilami wydawało się, że jadą polnymi drogami albo w ogóle na przełaj przez pustkowie.

Hilary długo czuwała. Rozmaite myśli i lęki kłębiły się jej w głowie, odpędzając sen. Jednak w końcu, zmęczona wstrząsami podskakującego na wybojach pojazdu, usnęła przerywanym, nie dającym odpoczynku snem. Po każdym nagłym przebudzeniu przez chwilę zastanawiała się, gdzie jest, po czym znowu atakował ją galop pełnych obaw myśli, dopóki głowa po raz kolejny jej nie opadła.

Obudziło ją gwałtowne hamowanie. Peters łagodnie potrząsnął jej ramieniem.

— Proszę się obudzić — powiedział. — Chyba przyjechaliśmy gdzieś.

Wyszli z ciężarówki obolali i zmęczeni. Trwała jeszcze ciemna noc, ale dostrzegli, że stoją przed domem otoczonym palmami. W dali migotały nikłe światełka, może jakiegoś miasteczka. Prowadzeni światłem latarek dotarli do budynku. Przy wejściu stały dwie chichoczące Berberyjki, które wytrzeszczały ciekawie oczy na Hilary i panią Calvin Baker. Zakonnica nie interesowała ich.

Trzy kobiety zaprowadzono do małego pokoju na piętrze. Na podłodze leżały trzy materace i kilka koców, ale nie było żadnych mebli.

— Boże, całkiem zeszywniałam — powiedziała pani Baker. — Dostałam chyba jakiegoś skurczu. Ta jazda była okropna.

— Brak komfortu nie ma znaczenia — zauważyła zakonnica. Mówiła gardłowym głosem, z szorstką pewnością siebie. Jej angielski był poprawny i płynny, ale miała koszmarne akcent.

— Każdy lubi żyć po swojemu, panno Needheim — odparła Amerykanka. — Już panią widzę w klasztorze, klęczącą o czwartej rano na twardych kamieniach.

Panna Needheim uśmiechnęła się pogardliwie:

— Chrześcijaństwo zrobiło z kobiet idiotki. Kult słabości, rozczulania się nad sobą i upokorzenia. Pogańskie kobiety miały siłę. Umiały cieszyć się życiem i zwyciężać. A w dążeniu do zwycięstwa niewygody się nie liczą. Wszystko można znieść.

— Toteż właśnie znosimy — mruknęła pani Baker ziewając. — Żałuję, że nie leżę w moim łóżku w „Palais Djamai”. A pani jak się czuje? — zwróciła się do Hilary. — Po wstrząsie mózgu ta jazda niezbyt chyba pani posłużyła?

— Raczej nie — przyznała Hilary.

— Zaraz podadzą nam coś do jedzenia, a potem nafaszerują panią aspiryną — i natychmiast spać.

Na zewnątrz dały się słyszeć kroki i chichoczące kobiece głosy. Do pokoju weszły dwie Berberyjki, postawiły na podłodze tacę z jedzeniem, następnie przyniosły miednicę z wodą i ręczniki. Jedna powiedziała coś do drugiej kobiety, która skinęła głową na znak zgody. Obejrzały też odzież pani Baker. Żadna nie zwróciła uwagi na zakonnice.

— A sio! — zawołała Amerykanka jak do kurcząt. — Sio, sio! Kobiety odwróciły się ze śmiechem i wyszły z pokoju.

— Głupie stworzenia — stwierdziła pani Baker. — Nie mam do nich cierpliwości. Przypuszczam, że interesują je wyłącznie dzieci i ciuchy.

— Do tego je stworzono — zauważyła panna Needheim. — Należą do niewolniczej rasy. Przydają się do obsługi lepszych od siebie i do niczego więcej.

— Czy nie jest pani trochę za surowa? — zapytała Hilary poirytowana jej poglądami.

— Nie uznaję sentymentów. Jest garstka rządzących i rzesza poddanych.

— Ależ z pewnością.

Pani Baker ucięła apodyktycznie:

— Każdy ma własne poglądy na te sprawy i wszystkie są interesujące. Ale nie pora na takie dyskusje. Potrzebujemy wypoczynku.

Podano miętową herbatę. Hilary chętnie łyknęła aspirynę, ponieważ głowa bolała ją naprawdę, po czym wszystkie trzy ułożyły się do snu.

Następnego dnia spały dość długo. Pani Baker ogłosiła, że nie wyruszą przed wieczorem. Z pokoju, w którym spały, zewnętrzne schody prowadziły na płaski dach, skąd roztaczał się widok na okolicę. Do miasteczka było niedaleko, ale dom otaczał ogromny palmowy ogród, przez co zdawał się odcięty od świata. Pani Baker zaraz po przebudzeniu wskazała przyniesione wcześniej trzy stosiki odzieży.

— Musimy upodobnić się do tutejszych kobiet — wyjaśniła. — Swoje rzeczy zostawimy tutaj.

I tak elegancki kostium Amerykanki, tweedowy żakiet ze spódnicą Hilary oraz habit zakonny zostały odłożone na stronę, a na dachu rozsiadły się trzy rozgadane rdzenne Marokanki. Cała przygoda stawała się coraz bardziej nierealna.

Hilary zaczęła teraz przyglądać się uważniej pannie Needheim, którą przestała skrywać anonimowość habitu. Była młodsza, niż Hilary początkowo sądziła. Miała nie więcej niż trzydzieści trzy — może cztery — lata, bladą cerę, krótkie, serdelkowate palce. W jej wyglądzie dominowała pedantyczna schludność. Zimne oczy od czasu do czasu zapalały się płomieniem fanatyzmu, co sprawiało dość odpychające wrażenie. Jej sposób mówienia był szorstki i obcesowy. Do Hilary i pani Baker odnosiła się z pewną pogardą, jak do osób niegodnych przebywania w jej towarzystwie. Hilary oburzała ta arogancja, pani Baker przeciwnie, zdawała się jej nie dostrzegać. Hilary ze zdziwieniem odkryła, że czuje więcej sympatii dla wesołych Berberyjek, które przynosiły im jedzenie, niż dla swoich towarzyszek. Młodej Niemce zresztą było najwyraźniej obojętne, co o niej myślą. Nie mogła się chyba doczekać dotarcia na miejsce przeznaczenia, a inne osoby ją nie obchodziły.

Ocena postawy pani Baker okazała się dla Hilary o wiele trudniejsza. Początkowo uważała, że zachowuje się naturalnie i bezpośrednio, szczególnie w porównaniu z oschłą Niemką. Ale nim jeszcze słońce zaszło, poczuła do starszej kobiety jeszcze większą niechęć niż do Helgi Needheim.

Sposób bycia Amerykanki był doprowadzony do takiej perfekcji, że sprawiała wrażenie robota. Wszystkie jej komentarze i uwagi były naturalne, normalne, dotyczące codziennych spraw, ale cały czas wyczuwało się, że jest jak aktorka grająca może setny raz tę samą rolę. Było to rutynowe przedstawienie, zupełnie nie związane z prawdziwymi myślami i uczuciami pani Baker. „Kim ona naprawdę jest — zastanawiała się Hilary. — Dlaczego gra swoją rolę z perfekcją maszyny? Czyżby również była fanatyczką? Czyżby marzyła o nowym, wspaniałym świecie i buntowała się przeciwko systemowi kapitalistycznemu? Czy zrezygnowała z normalnego życia na rzecz politycznych przekonań i aspiracji?” Na te pytania nie było odpowiedzi.

Wieczorem podjęli przerwana podróż. Nie jechali już ciężarówką, tylko odkrytym samochodem turystycznym. Wszyscy ubrali się w miejscowe stroje; mężczyźni mieli na sobie galabije, kobiety pozasłaniały twarze. Ciasno upchnięci w pojeździe, jeszcze raz ruszyli w swoją drogę przez noc.

— Jak się pani czuje, pani Betterton?

Hilary uśmiechnęła się do Andy’ego Petersa. Właśnie wzeszło słońce, więc zatrzymali się na śniadanie, złożone z miejscowego chleba, jajek i herbaty przyrządzonej na prymusie.

— Jak we śnie — odparła.

— Tak, ma to w sobie coś ze snu — przyznał. — Gdzie jesteśmy?

Wzruszył ramionami.

— Kto to wie? Z pewnością nasza pani Calvin Baker, ale nikt więcej.

— To jakieś straszne pustkowie.

— Tak, właściwie pustynia. Ale przecież tak właśnie powinno być, prawda?

— Chodzi panu o to, że musimy zacierać ślady?

— Tak. Cała ta podróż została starannie zaplanowana. Każdy kolejny etap jest zupełnie niezależny od poprzedniego. Samolot spłonął. Stara ciężarówka jechała całą noc. Jeśli nawet ktoś ją zauważył, to miała napis świadczący, że należy do pewnej ekipy archeologicznej, prowadzącej w tych stronach badania. Następnego dnia pojawił się samochód wycieczkowy z Berberami, jeden z najbardziej powszechnych widoków na drogach tego kraju. W następnym etapie — wzruszył ramionami — kto wie?

— Ale dokąd zmierzamy?

Andy Peters potrząsnął głową.

— Nie ma sensu pytać. Dowiemy się wkrótce. Podszedł do nich Francuz, doktor Barron.

— Tak — potwierdził. — Wkrótce się dowiemy. Ale jakże znamienne jest, że ciągle pytamy. To nasza zachodnia natura. Nigdy nie możemy powiedzieć „dość na dzisiaj”, zawsze chodzi nam o jutro.

Zapomnieć o „wczoraj”, wkroczyć w „jutro”. Oto, czego pragniemy.

— Chce pan przyspieszyć czas, doktorze, czyż nie? — zapytał Peters.

— Tyle jeszcze jest do zrobienia — rzekł Barron — a życie takie krótkie! Potrzeba nam więcej czasu. Coraz więcej! — Wymachiwał z pasją rękami.

Peters odwrócił się do Hilary:

— Jakie są cztery rodzaje wolności, o których mówi się w waszym kraju? Wolność woli, wolność od strachu...

— Wolność od głupoty! — przerwał mu Francuz z goryczą. — Tego pragnę! Tego potrzebuję, by kontynuować pracę. Wolność od idiotycznej ekonomii! Wolność od krępujących ograniczeń!

— Jest pan bakteriologiem, prawda?

— Tak. Czy ma pan pojęcie, mój przyjacielu, jaka to fascynująca dziedzina wiedzy? Ale potrzebna jest w niej cierpliwość, bezgraniczna cierpliwość, niezliczone powtórki eksperymentów... i pieniądze... dużo pieniędzy! Trzeba mieć odpowiednie wyposażenie, asystentów, surowce! Otrzymując to wszystko, można naprawdę coś osiągnąć!

— Szczęście? — zapytała Hilary.

Błysnął zębami w uśmiechu, nagle znowu ludzki i normalny.

— Ach, pani jest kobietą, *madame*. Kobiety zawsze szukają szczęścia.

— I rzadko je znajdują? Wzruszył ramionami.

— Chyba tak.

— Szczęście indywidualne się nie liczy — rzekł Peters poważnie. — Trzeba dążyć do szczęścia wszystkich, do braterstwa ducha! Robotnicy wolni i zjednoczeni, posiadający środki produkcji, powinni odciąć się od podżegaczy wojennych i innych nienasyconych chciwców, którzy trzymają wszystko w swoich łapach. Nauka jest dla wszystkich. Nie wolno pozwolić, by zawładnęła nią taka czy inna siła.

— Tak — dodał Ericsson ze zrozumieniem — ma pan rację. Władza powinna należeć do naukowców. To oni powinni rządzić światem. Oni i tylko oni są ludźmi. I tylko nadludzie się liczą. Pozostali to niewolnicy, których, oczywiście, należy dobrze traktować. Ale to tylko niewolnicy.

Hilary oddaliła się od grupy. Po kilku chwilach dogonił ją Peters.

— Wygląda pani na przerażoną — zauważył wesoło.

— Bo chyba jestem. — Roześmiała się krótko. — Oczywiście, doktor Barron ma zupełną rację.

Jestem tylko kobietą, nie prowadzę badań z dziedziny chirurgii czy bakteriologii. Chyba nie mam specjalnie lotnego umysłu. Należę do tych idiotek, którym zależy na szczęściu.

— Cóż w tym złego? — zapytał Peters.

— Chyba nie pasuję do tego towarzystwa. Widzi pan, jestem tylko żoną, która chce się połączyć z mężem.

— Bardzo słusznie. Reprezentuje pani wartości podstawowe.

— Ładnie pan to ujął.

— Bo to prawda. Bardzo zależy pani na mężu? — zapytał przyciszonym głosem.

— Czy byłabym tutaj, gdyby mi nie zależało?

— Chyba nie. Podziela pani jego poglądy? Przypuszczam, że jest komunistą?

Hilary postanowiła nie udzielać bezpośredniej odpowiedzi.

— Jeśli już o tym mowa, czy w naszej grupce nie zauważył pan czegoś dziwnego?

— Czego na przykład?

— Mimo że dążymy do tego samego miejsca, nasze poglądy mocno się od siebie różnią.

Peters zamyślił się.

— Chyba coś w tym jest. Nie zastanawiałem się specjalnie, ale chyba ma pani rację.

— Wydaje mi się — ciągnęła Hilary — że doktor Barron jest zupełnie apolityczny! Chce tylko pieniędzy na eksperymenty. Helga Needheim przemawia jak faszystka, nie jak komunistka. A Ericsson...

— Co z Ericssonem?

— Boję się go. Ma umysł niebezpiecznie owładnięty jedną ideą. Jest jak szalony naukowiec z jakiegoś filmu.

— Ja wierzę w braterstwo ludzkości, pani jest kochającą żoną, a nasza pani Calvin Baker? Jak ją sklasyfikujemy?

— Nie wiem. To wyjątkowo trudny przypadek.

— Tego bym nie powiedział. Raczej łatwy.

— Czyżby?

— Wydaje mi się, że chodzi tu głównie o pieniądze. Jest tylko dobrze naoliwionym trybikiem w maszynie.

— Ona też mnie przeraża — wyznała Hilary.

— Dlaczego? Dlaczego, do licha, ona panią przeraża? Nie ma w niej nic z szalonego naukowca.

— Przeraża mnie swoją zwyczajnością. Jest taka, jak wszyscy normalni ludzie. A jednak bierze udział w tej akcji.

— Partia jest realistyczna. Zatrudnia najlepszych — rzekł Peters surowo.

— Ale czy ktoś, kto pragnie tylko pieniędzy, jest najlepszym pracownikiem? Czyż nie jest możliwe, że przejdzie do konkurencji?

— To zbyt wielkie ryzyko — odparł spokojnie Peters. — Pani Calvin Baker jest inteligentną kobietą. Nie sądzę, by je podjęła.

Hilary nagle zadrżała.

— Zimno pani?

— Tak, trochę.

— Rozruszajmy się.

Spacerowali przez chwilę tam i z powrotem. W pewnym momencie Peters zatrzymał się i podniósł coś z ziemi.

— Proszę. Sieje pani drobiazgi.

— O tak, to perła z mojego naszyjnika. — Hilary wyjęła mu kuleczkę z dłoni. — Zerwał mi się... wczoraj. Wydaje się, że całe wieki temu!

— Nie są chyba prawdziwe? Hilary uśmiechnęła się.

— Nie, oczywiście, że nie. To sztuczna biżuteria.*

Peters wyjął z kieszeni papierośnicę.

— Sztuczna biżuteria— powtórzył.— Co za nazwa!

Poczęstował ją papierosem.

— Rzeczywiście, tutaj brzmi głupio — przyznała. — Jaka dziwna papierośnica! Bardzo ciężka.

— Jest z ołowiu. To pamiątka wojenna. Została zrobiona z odłamka bomby, która przypadkiem

tylko nie rozerwała mnie na strzępy.

— Był pan na wojnie?

— Byłem jednym z chłopców, którzy łaskotali takie zabawki, żeby usłyszeć wielkie „bum”. Ale nie mówmy o wojnie. Skoncentrujmy się na przyszłości.

— Dokąd zmierzamy? — zapytała Hilary. — Nikt mi nie chce powiedzieć. Czy...

Powstrzymał ją.

— Lepiej nie spekulować — zauważył. — Musimy jechać, dokąd nam każą, i robić to, co nam każą.

Hilary ogarnął nagły gniew.

— A pan lubi być ciągle musztrowany? Pozbawiany prawa do własnego zdania?

— Jestem przygotowany na to, co nieuniknione. A to jest nieuniknione. Musimy osiągnąć światowy pokój, światową dyscyplinę i światowy ład.

— Czy to w ogóle możliwe?

— Wszystko jest lepsze od zamętu, w którym żyjemy. Prawda?

Przez chwilę mało brakowało, by pod wpływem znużenia, samotności i niezwykłego piękna porannej zorzy Hilary dała się ponieść pasji i gorąco zaprzeczyła. Chciała powiedzieć:

„Dlaczego oczerniasz świat, w którym żyjemy? Są w nim i dobrzy ludzie. Czyż zamęt nie jest lepszą pożywką dla życzliwości i indywidualizmu niż ustrój, do którego dążysz; ustrój, który jednego dnia wydaje się zwycięstwem, a następnego — klęską?

Wolę nasz świat, pełen czujących, choć niedoskonałych istot ludzkich, od świata perfekcyjnych robotów, które odrzucają jak zbędny balast wyrozumiałość i litość”.

Ale powstrzymała się na czas. Zamiast tego, z premedytacją udając entuzjazm, rzekła:

— Oczywiście, że ma pan rację. Byłam zmęczona. Muszę się podporządkować i myśleć o przyszłości.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

— Tak już lepiej.

Rozdział X

Podróż we śnie. Z każdym dniem Hilary utwierdzała się w tym przekonaniu. Wydawało się jej, że całe życie podróżuje w towarzystwie tej piątki nie pasujących do siebie ludzi. Z utartego szlaku zjechali na bezdroża. Wszakże nie można było tej podróży określić mianem ucieczki. Wszyscy znaleźli się tu z własnego wyboru. Z tego, co wiedziała, żadne z nich nie popełniło przestępstwa, nie szukała ich policja. A jednak tak wiele wysiłków wkładano w zacieranie śladów. Czasami zastanawiała się nad tym. Przecież nie byli zbiegami. To tak, jakby udawali kogoś, kim nigdy nie byli.

W jej przypadku wniosek ten był w stu procentach prawdziwy. Opuściwszy Anglię jako Hilary Craven, przekształciła się po drodze w Oliwię Betterton. Może właśnie stąd brało się dziwne uczucie nierealności. Gładkie polityczne slogany z każdym dniem łatwiej przechodziły jej przez gardło. Wypowiadała je z coraz większą żarliwością, zapewne ulegając wpływowi swych towarzyszy.

Teraz wiedziała, że się ich boi. Nigdy wcześniej nie przebywała tak blisko ludzi genialnych. Dostrzegła w nich coś nienormalnego, przekraczającego zwyczajne zmysły i uczucia. Wprawdzie różnili się, ale każdy z nich płonął jakimś dziwnym żarem, każdy miał oczy utkwione wyłącznie w cel. Właśnie to nastawienie przerażało Hilary. Nie umiała określić, czy to cecha umysłu, charakteru czy osobowości, ale wszyscy byli na swój sposób namiętnymi idealistami. Doktor Barron żył pragnieniem, by znaleźć się wreszcie w doskonale wyposażonym laboratorium, gdzie mógłby zajmować się do woli swymi obliczeniami i eksperymentami bez żadnych ograniczeń finansowych. Po co? Wątpiła, czy zadał sobie kiedykolwiek takie pytanie. Raz opowiedział jej o destrukcyjnej sile, zamkniętej w maleńkiej fiołce. Gdyby ją wyzwolił — mógłby zniszczyć cały kontynent.

— I zrobiłby pan to? Naprawdę by pan to zrobił? — zapytała.

Patrzył na nią lekko zaskoczony.

— Tak. Oczywiście, że tak, gdyby to było konieczne — powiedział niedbale. — Byłoby niezmiernie interesujące zobaczyć przebieg takiego eksperymentu. — Potem dodał z głębokim westchnieniem: — Widzi pani, jeszcze tyle musimy się dowiedzieć, tyle odkryć.

Przez chwilę Hilary rozumiała. Przez chwilę czuła to co on, zarażona tą jednostronną żądzą wiedzy, która potrafiła zignorować unicestwienie przy okazji milionów istnień ludzkich. Był to określony punkt widzenia i niekoniecznie zasługiwał na potępienie. O wiele silniej odczuwała niechęć do Helgi Needheim. Dumna arogancja tej kobiety doprowadzała Hilary do szału. Petersa nawet lubiła, ale od czasu do czasu przerażały ją fanatyczne błyski w jego oczach. Kiedyś powiedziała mu:

— Wcale nie chcesz stworzyć nowego świata. Chodzi ci tylko o zburzenie starego.

— Mylisz się, Oliwio. Cóż to za gadanie!

— Nie myślę się. Jest w tobie nienawiść. Czuję ją. Nienawiść. Żądza niszczenia.

Najbardziej zastanawiał ją Ericsson. „To marzyciel — myślała — mniej praktyczny niż Francuz, nie dążący do destrukcji tak bardzo jak Amerykanin. Ma w sobie coś z dziwnego fanatycznego idealizmu wikingów”.

— Musimy podbić świat — mówił. — Wtedy będziemy mogli rządzić.

— My? — zapytała.

Skinął głową. Z obcej spokojnej twarzy patrzyły na nią zwodniczo łagodne oczy.

— Tak — potwierdził — nasza grupka. Mózgi. Tylko my się liczymy.

„Dokąd zmierzamy — rozmyślała Hilary. — Dokąd to wszystko prowadzi? Ci ludzie są szaleni, chociaż każdy w odmienny sposób. Mają różne cele, gonią za różnymi mirażami. Tak, to właściwe słowo. Miraże”. Zastanawiała się też nad panią Calvin Baker. W tej kobiecie pozbawionej serca i sumienia nie było fanatyzmu, nienawiści, marzeń, arogancji, ambicji ani w ogóle nic godnego uwagi. Ot, sprawne narzędzie w rękach nieznanej siły.

Kończył się trzeci dzień podróży. Dotarli do małego miasta i zakwaterowali się w lokalnym hoteliku. Przebrali się znowu w europejskie ubrania. Hilary przespała noc w małym, pustym, pobielonym pokoju, który przypominał raczej celę. Skoro świt obudziła ją pani Calvin Baker.

— Ruszamy — powiedziała. — Samolot czeka.

— Samolot?

— Ależ tak, moja droga. Dzięki Bogu, wracamy do cywilizowanych sposobów podróżowania.

Po godzinnej jeździe dotarli na lotnisko, które wyglądało na opuszczone przez wojsko. Pilotem był Francuz. Kilka godzin lecieli ponad szczytami gór. Patrząc w dół, Hilary rozmyślała, jak osobliwie wygląda świat oglądany z lotu ptaka. Góry, doliny, drogi, domy. Dla kogoś, kto nie jest ekspertem lotniczym, wszystkie wyglądają podobnie. Można tylko stwierdzić, że pewne obszary są gęściej zaludnione niż inne. Po jakimś czasie weszli w chmurę, więc nie widziała już nic.

Wczesnym popołudniem samolot zaczął tracić wysokość i zataczać koła. Nadal znajdowali się wśród gór, ale tuż pod nimi rozciągała się równina. Było tam dobrze oznakowane lotnisko i biały budynek nie opodal. Wylądowali perfekcyjnie.

Pani Baker poprowadziła ich w stronę budynku. Stały tam dwa wielkie samochody z szoferami. Najwyraźniej lotnisko było prywatne, nie musieli bowiem załatwiać żadnych formalności.

— Koniec podróży — oznajmiła pani Baker radośnie. — Musimy się trochę obmyć i odświeżyć. Przez ten czas przygotowują samochody.

— Koniec podróży? — zdziwiła się Hilary. — Ale przecież nie... nie lecieliśmy nad morzem?

— Oczekiwała pani tego? — Pani Baker wyglądała na rozbawioną.

Hilary speszyła się.

— Cóż, chyba tak. Myślałam... — urwała.

Pani Baker kiwnęła głową.

— Dużo ludzi tak myśli. Krążą setki głupich plotek o żelaznej kurtynie, ale ja zawsze powtarzam, że żelazna kurtyna może być wszędzie. Ludziom nie przychodzi to do głowy.

Usługiwało im dwóch Arabów. Po umyciu i odświeżeniu się dostali kawę, kanapki i biszkopty.

Potem pani Baker zerknęła na zegarek.

— No to cześć — powiedziała. — Tu się rozstajemy.

— Wraca pani do Maroka? — zapytała zaskoczona Hilary.

— Raczej nie — odparła pani Calvin Baker. — Przecież zginęłam w katastrofie samolotowej! Nie, tym razem ruszam w inne strony.

— Ale przecież i tak ktoś może panią rozpoznać — upierała się Hilary. — Na przykład ktoś z hotelu w Casablance czy Fezie.

— Ach — westchnęła pani Baker — pomyłką się. Mam już inny paszport, chociaż prawdą jest, że straciłam w katastrofie siostrę, niejaką panią Calvin Baker. Byłyśmy do siebie bardzo podobne — dodała. — A dla przypadkowych ludzi, jakich spotyka się w hotelach, wszystkie podróżujące Amerykanki są identyczne^

„Tak — pomyślała Hilary — to prawda”. Pani Baker uosabiała te wszystkie powierzchowne, zewnętrzne cechy. Staranny wygląd, głowa od fryzjera, monotonie szczebioczący głos. Natomiast jej wnętrze było doskonale zamaskowane albo w ogóle puste. Pani Calvin Baker prezentowała wszystkim naokoło jedynie fasadę. Co się za nią kryło, nie wiadomo. Prawdopodobnie starannie tłumiała charakterystyczne przejawy swej osobowości, odróżniające ją od innych.

Hilary coś zmusiło do poruszenia tego tematu. Stały z dala od reszty grupy.

— Właściwie to zupełnie nie wiem, jaka pani jest!

— A powinna pani?

— Nie wiem, czy powinnam. Ale podróżowałyśmy razem w dość szczególnych okolicznościach i wydaje mi się dziwne, że nic o pani nie wiem. To znaczy, nic o pani wnętrzu, co pani czuje i myśli, co lubi, a czego nie, co jest dla pani ważne, a co nieistotne.

— Ma pani dociekliwy umysł, moja droga — powiedziała pani Baker. — Na pani miejscu starałabym się powstrzymać te skłonności.

— Nie wiem nawet, z jakiej części Stanów pani pochodzi.

— Nieważne. Zerwałam z tym krajem. Z pewnych powodów nie ma tam dla mnie powrotu. Z przyjemnością wyrównam kiedyś rachunki z USA.

Na ułamek sekundy w jej twarzy i tonie głosu błysnęła wrogość. Po chwili znów była wesołą turystką.

— Do zobaczenia, pani Betterton, życzę miłego spotkania z mężem.

— Nie wiem nawet, gdzie jestem, to znaczy w jakiej części świata — odparła Hilary bezradnie.

— Och, drobiazg. Nie ma już potrzeby ukrywania tego. To odległe miejsce w górach Atlas. Już blisko...

Pani Baker oddaliła się i zaczęła żegnać z pozostałymi współpasażerami. Wreszcie pomachawszy im ostatni raz, ruszyła na pas startowy, gdzie przy zatankowanym samolocie czekał pilot. Hilary poczuła zimny dreszcz. Oto znika ostatnie ogniwo łączące ich ze światem zewnętrznym. Stojący obok Peters zdawał się odgadywać jej reakcję.

— Już nie ma powrotu — rzekł cicho. — Przynajmniej dla nas.

— Czy nadal ma pani odwagę? — zapytał doktor Barron. — A może chce pani pobiec za swoją amerykańską przyjaciółką, wsiąść w samolot i wrócić do świata, który pani opuściła?

— A gdybym nawet chciała, to co?

Francuz wzruszył ramionami.

— Nie wiem.

— Mam ją zawołać? — zapytał Andy Peters.

— Oczywiście, że nie — odparła Hilary ostro.

Helga Needheim odezwała się pogardliwie:

— Nie ma tu miejsca dla słabeuszy.

— Pani Betterton nie jest słabeuszem — zaproponował doktor Barron. — Po prostu zadaje pytania, jak każda inteligentna osoba. — Zaakcentował słowo „inteligentna”, jakby umyślnie robiąc aluzję do Niemki.

Ta jednakże nie zwróciła uwagi na jego ton. Gardziła wszystkimi Francuzami, a o sobie miała

bardzo wysokie mniemanie.

— Kiedy wreszcie osiągnęło się wolność, czyż można nawet myśleć o powrocie? — wtrącił się Ericsson swym piskliwym, nerwowym głosem.

— Ale jeżeli nie ma możliwości powrotu, czy można mówić o wolności? — odpowiedziała pytaniem Hilary.

Podszedł do nich służący.

— Proszę za mną — powiedział. — Samochody są gotowe do drogi.

Wyszli przez drugie wyjście z budynku. Na zewnątrz stały dwa cadillaki z szoferami w liberiach. Hilary poprosiła, by pozwolono jej usiąść przy kierowcy. Wyjaśniła, że kołyszący ruch dużego samochodu czasami wywołuje u niej mdłości. Bez trudu uzyskała zgodę. Podczas jazdy gawędziła z szoferem na niezobowiązujące tematy, jak pogoda czy doskonałość samochodu. Mówiła płynnie po francusku, a kierowca odpowiadał z sympatią. Zachowywał się naturalnie i rzeczowo.

— Jak długo będziemy jechać? — zapytała.

— Z lotniska do szpitala? Około dwóch godzin, *madame*.

Słowa te sprawiły Hilary przykrą niespodziankę. Zauważyła, że Helga Needheim przebrała się na lotnisku w biały fartuch. Pasowało to do niej.

— Proszę mi opowiedzieć o tym szpitalu — poprosiła szofera.

— Ach; *madame*, jest fantastyczny — odpowiedział z entuzjazmem. — Ma najnowocześniejsze wyposażenie na świecie. Przyjeżdża go zwiedzać wielu lekarzy i zawsze są zachwyceni. Robi się tu coś naprawdę ważnego dla ludzkości.

— Na pewno — odparła Hilary. — Na pewno tak.

— Ci nieszczęśnicy — ciągnął szofer. — Dawniej wysyłano ich na bezludną wyspę, by tam wyginęli. Ale tutaj, dzięki nowej metodzie doktora Koliniego, duży procent zostaje uleczony.

— Raczej odległe miejsce jak na szpital — zauważyła Hilary.

— Ach, *madame*, w ich sytuacji tak musiało być. Nalegały na to władze. Ale mają tu dobre powietrze, naprawdę wspaniałe. Widzi pani? — Wskazał ręką przed siebie. — Tam właśnie zmierzamy.

Zbliżali się do rozgałęzionego łańcucha gór. Po jednej stronie na zboczu rozciągał się kompleks połyskujących białą budynków.

— To wielkie osiągnięcie — powiedział szofer — wzniesienie tu tych budowli. Wydano olbrzymie pieniądze. Wiele zawdzięczamy filantropom z różnych stron świata. Oni nie są tacy jak

rządy, nie załatwiają wszystkiego jak najtańszym kosztem. Tu pieniądze płynęły jak woda. Ponoć nasz patron jest jednym z najbogatszych ludzi na świecie. Wybudował tu rzeczywiście wspaniały obiekt, w którym niesie się ulgę cierpiącym.

Jechali krętą drogą wśród wzgórz, aż znaleźli się przed bramą zamkniętą na żelazną sztabę.

— Musi tu pani wysiąść, *madame* — powiedział szofer. — Nie wolno mi wjechać za bramę. Garaże są o kilometr stąd.

Pasażerowie opuścili pojazdy. Przy wrotach wisiał sznur od dzwonka, ale zanim którekolwiek z nich zdołało go dotknąć, brama otworzyła się powoli. Pojawiła się przed nimi biało ubrana postać o uśmiechniętej czarnej twarzy i zgiąwszy się w ukłonie, poprosiła ich do środka. Część dziedzińca odgradzona była metalową siatką. Spacerowali tam jacyś ludzie. Kiedy odwrócili się ku przybyszom, Hilary wyrwał się okrzyk:

— Oni są trędowaci! Trędowaci!

Całym jej ciałem wstrząsnął dreszcz przerażenia.

Rozdział XI

Wrota kolonii trędowatych zatrzęsły się z metalicznym trzaskiem. Dźwięk ten zabrzmiał w uszach wciąż oszołomionej Hilary jak coś przeraźliwie ostatecznego. *Ty, który wchodzisz, pożegnaj się z nadzieją...** zdawał się mówić. „To koniec — myślała — prawdziwy koniec. Wszystkie drogi ucieczki bezpowrotnie odcięte”.

Była sama wśród wrogów, najpóźniej za kilka minut rozpoznają ją i wszystko przepadnie. Podświadomie wiedziała o tym przez cały czas, ale przecucie to zagłuszał jakiś nieokreślony optymizm i wiara, że istnienie ludzkie nie może się tak po prostu urwać. W Casablance zapytała Jessopa, co będzie, kiedy znajdzie się twarzą w twarz z Tomaszem Bettertonem, a on odparł poważnie, że wtedy jej sytuacja stanie się rzeczywiście groźna. Dodał wprawdzie, że wówczas może będzie już w stanie ją ochronić, ale teraz Hilary musiała te nadzieje spisać na straty.

Jeśli zaufaną agentką Jessopa była „panna Hetherington”, to wyprowadzono ją w pole. W Marakeszu najwyraźniej poniosła klęskę. Zresztą nawet gdyby tu była, cóż mogłaby zdziałać?

Grupka podróżników dotarła do miejsca, z którego nie było powrotu. Hilary przegrała swoją grę ze śmiercią. Widziała teraz trafność diagnozy Jessopa. Nie chciała już umierać. Pragnęła żyć. Smak życia powrócił do niej z pełną siłą. Wspominała Nigela i grób Brendy ze smutkiem i żalem, ale nie odczuwała już tej zimnej rozpaczki, która pchała ją w ramiona śmierci. Myślała: „Znów żyję pełnią życia, jestem zdrowa, uleczona... a jednak wpadłam w pułapkę jak ten szczur. Gdybym tylko znalazła jakieś wyjście...”

Nie poddała się od razu. Rozważała rozmaite możliwości. Musiała jednak, aczkolwiek niechętnie, spojrzeć prawdzie w oczy po konfrontacji z Bettertonem naprawdę nie będzie odwrotu...

Wystarczy, że Betterton powie: „Ależ to nie jest moja żona...” — koniec! Będą ją świdrować oczami; zrozumieją... Szpieg w ich szeregach...

Bo cóż jeszcze mogła zrobić? Może powinna wykonać pierwszy ruch. Na przykład, nie dopuściwszy Bettertona do głosu, krzyknąć: „Kim jesteś? To nie mój mąż!” Gdyby zdołała wystarczająco dobrze odegrać oburzenie, szok, przerażenie, może potrafiłaby obudzić w nich wątpliwości? Wątpliwości, czy Betterton jest Bettertonem, czy może innym naukowcem wysłanym na jego miejsce. Czyli po prostu szpiegiem. Ale jeśli w to uwierzą, z Bettertonem może być źle! „Chociaż — myślała dalej, wprawiając w ruch zmęczone trybiki mózgu — jeżeli Betterton okazał się zdrajcą swego kraju, czy nie powinno z nim »być źle«? Jakie to trudne — myślała — oceniać czyjąś lojalność, w ogóle osądzać coś lub kogoś... W każdym razie na pewno warto zasiać wątpliwości”.

Czuła zawrót głowy i starała się skoncentrować na najbliższym otoczeniu. Myśli nadal miotają się szaleńczo jak schwywane w pułapkę zwierzę. W tym samym czasie, zupełnie poza świadomością, odgrywała rolę zdumionej pasażerki.

Grupkę podróżnych powitał wysoki przystojny mężczyzna, który sprawiał wrażenie poligloty, gdyż do każdego przemawiał w jego języku.

— *Enchante de faire votre connaissance, mon cher docteur** — powiedział do Barrona, po czym zwrócił się do Hilary: — Ach, pani Betterton, jakże się cieszę, że panią widzę. Obawiam się, że była to długa i męcząca podróż. Pani mąż miewa się dobrze i oczywiście oczekuje pani z niecierpliwością. — Obdarzył ją uprzejmym uśmiechem, który, jak zauważyła Hilary, nie odbijał się w jego wyblakłych zimnych oczach. — Na pewno — dodał — nie może się pani doczekać spotkania z nim.

Zawrót głowy nasilił się. Poczwała, że otaczający ją ludzie zbliżają się i oddalają jak morskie fale. Stojący za nią Andy Peters położył jej uspokajająco dłoń na ramieniu:

— Pewnie pan jeszcze nie wie — rzekł do witającego ich gospodarza — że pani Betterton przeżyła katastrofę lotniczą w Casablance i miała wstrząs mózgu. Ta podróż nie wyszła jej na dobre. Tak samo jak nerwowe oczekiwanie na spotkanie z mężem. Myślę, że musi się natychmiast położyć w ciemnym pokoju.

Hilary czuła w jego głosie troskę, czuła też podtrzymujące ją silne ramię. Zachwiała się mocniej. To będzie proste, niewiarygodnie proste, ugną się pod nią kolana, osunie się na ziemię, zemdleje. Położą ją w ciemnym pokoju i w ten sposób opóźni się nieco nieuniknione rozpoznanie... Ale przecież Betterton i tak do niej przyjdzie; każdy mąż by tak zrobił. Wejdzie do ciemnego pokoju, pochyli się nad łóżkiem i zanim jeszcze jego oczy przywykną do półmroku, na pierwszy dźwięk jej głosu zrozumie, że to nie Oliwia.

Hilary odzyskała odwagę. Wyprostowała się, na jej policzki wróciły rumieńce. Podniosła głowę.

Jeżeli to koniec, przynajmniej zachowa klasę! Pójdzie do Bettertona, a kiedy się jej wyprze, spróbuje ostatniego kłamstwa. Pewnym i nieustraszonym głosem powie: „Nie, oczywiście nie jestem pańską żoną. Pańska żona, jakże mi przykro, nie żyje. Byłam z nią w szpitalu. Kiedy umierała, obiecałam, że dotrę do pana i przekażę panu jej ostatnie słowa. Chciałam dotrzymać tej obietnicy. Sympatyzuję z tym, co pan robi... z tym, co wszyscy robicie. Zgadzam się z pańskimi poglądami politycznymi. Chcę pomóc...”

Słabe... bardzo słabe... I jak uzasadnić różne kłopotliwe szczegóły, na przykład podrobiony paszport, sfalszowana akredytywa? No tak, ale ludzie czasami uciekają się do najbardziej zuchwałych kłamstw i udaje im się, działają z tupetem, jeżeli mają tupet i odpowiednio silną osobowość. W każdym razie zginie walcząc.

Łagodnie uwolniła się z uścisku Petersa.

— Och, nie. Muszę zobaczyć się z Tomem — powiedziała. — Muszę iść do niego... natychmiast... proszę.

Wysoki mężczyzna szczerze ją poparł, chociaż jego wodniste oczy nie straciły nic ze swej czujności.

— Oczywiście, oczywiście, pani Betterton. Rozumiem, co pani czuje. Ach, oto i panna Jennson.

Podeszła do nich szczupła dziewczyna w okularach.

— Panno Jennson, przedstawiam panią Betterton, *Fraulein* Needheim, doktora Barrona, pana Petersa i doktora Ericssona. Proszę zaprowadzić ich do rejestracji, dobrze? Niech im pani poda coś do picia. Ja zaraz przyjdę, tylko zaprowadzę panią Betterton do męża. — Zwrócił się ponownie do Hilary. — Proszę za mną, pani Betterton.

Ruszył przodem. Przy zakręcie korytarza Hilary po raz ostatni obejrzała się za siebie. Andy Peters nadal się jej przyglądał. Miał minę nieco zagadkową i dość nieszczęśliwą. Przez moment myślała, że ma zamiar pójść za nią. Widocznie zdał sobie sprawę, że coś jest nie w porządku, ale nie jest pewien co.

Następna myśl przyprawiła ją o dreszcz: „Może widzę go po raz ostatni?” Zanim skręciła za przewodnikiem, pomachała Andy’emu na pożegnanie.

— Tedy, pani Betterton. — Wysoki mężczyzna zabawiał ją rozmową: — Obawiam się, że z początku nasze budynki będą dla pani kłopotliwe tyle korytarzy i wszystkie do siebie podobne!

„To jest jak sen — myślała Hilary — labirynt sterylnie czystych białych korytarzy, wśród których można krążyć w nieskończoność, skręcać, zawracać, iść naprzód i nigdy nie dotrzeć do wyjścia”.

— Nie przyszło mi do głowy, że to będzie... szpital — powiedziała.

— Oczywiście, że nie. Niczego nie mogła sobie pani wyobrazić, prawda? — W jego głosie dźwięczała lekka nutka satysfakcji. — Musiała pani, jak to mówią, „uciekać na oślep”. Przy okazji: nazywam się Van Heidem. Paul Van Heidem.

— Wszystko tu takie dziwne... i przerażające — ciągnęła Hilary. — Trędowaci...

— Tak, tak. Malownicze otoczenie — i nagle taka niespodzianka. Nowi przeżywają szok. Ale przywyknie pani do trędowatych, o tak, z czasem pani przywyknie. — Zachichotał. — Osobiście zawsze uważałem to za bardzo dobry dowcip. — Nagle zmienił temat: — Jeszcze tylko jedna kondygnacja schodów. .. alez proszę się nie spieszyć. Spokojnie. Już blisko.

Blisko, blisko. Tyle stopni do śmierci... W górę... W górę... Stopnie wysokie, wyższe niż w Europie. Teraz jeszcze jeden sterylny korytarz i oto Van Heidem zatrzymał się przed drzwiami. Zapukał, po czym je otworzył.

— No, Betterton, jesteśmy wreszcie. Twoja żona!

Odsunął się na bok z szerokim gestem.

Hilary weszła do pokoju. Nie cofać się. Nie kulić w sobie. Broda do przodu. Śmiało ku przeznaczeniu.

Mężczyzna stojący bokiem do okna był wstrząsająco przystojny. Zauważyła to z miłym zaskoczeniem. Nie tak wyobrażała sobie Tomasza Bettertona. Z pewnością fotografia, jaką jej pokazano, nie przypominała go w najmniejszym stopniu...

Może na jej decyzję wpłynęło właśnie to zawstydzające uczucie przyjemności. Postanowiła zrealizować swój pierwszy desperacki wybieg.

Ruszyła gwałtownie do przodu i zaraz cofnęła się. W jej głosie dźwięczało przerażenie i zdumienie.

— Ależ... to nie jest Tom. To nie mój mąż... — Nieźle, naprawdę nieźle. Dramatycznie, ale bez przesady. Spojrzała pytająco na Van Heidema.

Obaj panowie zaśmiali się cicho, z ledwie dostrzegalną nutą triumfu.

— Dobra robota, Van Heidem, co? — zawołał naukowiec. — Nawet własna żona mnie nie rozpoznała! — Podbiegł i objął ją ciasno ramionami. — Oliwio, kochanie. Oczywiście, że mnie znasz. To ja, Tom, nawet jeśli mam inną buźkę! — Przycisnął swą twarz do jej twarzy. Jego usta znalazły się tuż przy jej uchu. Usłyszała cichy szept: — Graj. Na miłość boską. Niebezpieczeństwo. — Uwolnił ją na chwilę z uścisku, po czym przytulił raz jeszcze. — Kochanie! Wydaje mi się, że minęły lata, całe lata. Ale wreszcie jesteś ze mną!

Na plecach czuła ostrzegawczy ucisk jego palców, jakby przekazywały jej jakąś pilną wiadomość. Po chwili wypuścił ją z objęć, odsunął nieco od siebie i zajrzał w oczy.

— Nie mogę wprost uwierzyć — mówił, śmiejąc się wzruszony. — Czy nadal mnie nie poznajesz, kochanie? — Patrzył jej uporczywie w oczy, wciąż ostrzegając i żądając czegoś.

Nic nie rozumiała, nie była w stanie. Ale przecież stał się cud, więc podjęła swoją rolę.

— Tom! — zawołała tonem, za który udzieliła sobie pochwały. — Och, Tom... ale jak...

— Operacja plastyczna! Jest tu Hertz z Wiednia. To fenomenalny chirurg. Chyba nie żałujesz starego złamanego nosa? — Pocałował ją raz jeszcze, tym razem lekko, a potem zwrócił się do Van Heidema z przeproszającym uśmiechem. — Wybacz, Van Heidem, stęsknionym małżonkom.

— Ależ oczywiście. — Holender uśmiechnął się życzliwie.

— Tyle czasu — zaczęła Hilary — i ja... — zachwiała się lekko — ja... czy mogę usiąść?

Tom Betterton z pośpiechem podsunął jej krzesło.

— Oczywiście, kochanie. Jesteś już przy mnie. Ta przerażająca podróż. I katastrofa samolotu. Mój Boże, ocalałaś cudem!

„A więc mają kontakt ze światem. Wiedzą o katastrofie w Casablance”.

— Od tej pory mam straszną wate w glowie — usmiechnęła się przepaszajaco. — Zapominam o róznych rzeczach, mylę je, do tego męczą mnie okropne bóle glowy. Nareszcie przyjeżdżam tu — i zamiast ciebie widzę obcego człowieka! Jestem po prostu kłębkiem nerwów, kochanie. Mam nadzieję, że nie będziesz miał ze mną kłopotów?

— Kłopotów z tobą? Coś ty. Musisz po prostu trochę odpocząć. Tu jest cały... tu jest mnóstwo czasu.

Van Heidem przesunął się do drzwi.

— Zostawiam was teraz — powiedział. — Później zaprowadź panią do rejestracji. Pewnie chcecie być trochę sami.

Wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Betterton natychmiast opadł na kolana i ukrył twarz na ramieniu Hilary:

— Kochanie, kochanie! — Raz jeszcze poczuła ostrzegawczy nacisk palców. Dobiegł ją ledwie dosłyszalny szept, nagłący i uporczywy. — Graj. Może tu być mikrofon. Niczego nie jestem pewien.

No tak, oczywiście. Niczego nie można być pewnym. Strach, niepokój, niepewność, niebezpieczeństwo, wszędzie niebezpieczeństwo. Czowała je nawet w powietrzu.

Tom Betterton przysiadł na piętach.

— Jak cudownie znowu cię widzieć — rzekł miękko. — A jednak wydajesz mi się snem, kimś niezupełnie realnym. Czy czujesz coś podobnego?

— Tak, rzeczywiście, sen... być nareszcie tu, z tobą... To naprawdę nierealne, Tom.

Położyła mu ręce na ramionach i przyglądała się z lekkim uśmiechem na ustach. „Może jest tu nie tylko mikrofon, ale i jakiś otwór do podglądania?”

Spokojnie zastanawiała się, kim był człowiek, którego miała przed sobą. Oto przystojny mężczyzna po trzydziestce, nerwowy, wystraszony do kresu wytrzymałości. Kiedyś przybył tu pełen wielkich nadziei, teraz stał się strzępem człowieka.

Po pokonaniu pierwszej przeszkody, Hilary grała swą rolę z dziwnym ożywieniem. Musi być Oliwią. Działać jak ona, czuć jak ona. Prawdziwe życie wydawało się tak nierzeczywiste, że udawanie przychodziło jej z łatwością. Osoba o nazwisku Hilary Craven zginęła w katastrofie samolotu. Od tej chwili ma o niej w ogóle zapomnieć.

Przypomniała sobie natomiast to, czego się tak pilnie uczyła.

— Całe wieki nie widziałeś Firbanka — powiedziała. — Whiskers... pamiętasz Whiskers? Miała kociaki, zaraz po twoim wyjeździe. Wydarzyło się tyle głupich codziennych spraw, o których w ogóle nie masz pojęcia. To takie dziwne!

— Wiem. Wszystko dlatego, że zerwałem ze starym życiem i rozpocząłem nowe.

— A tutaj jest ci dobrze? Jesteś szczęśliwy? Typowe pytanie, każda żona by je zadała.

— Tu jest cudownie. — Tom Betterton rozłożył ramiona i odrzucił głowę w tył. Z uśmiechniętej, zadowolonej twarzy patrzyły na nią nieszczęśliwe, przerażone oczy. — Wszelkie udogodnienia. Żadnych ograniczeń finansowych. Doskonałe warunki pracy. I ta organizacja! Wprost niewiarygodna.

— Och, tego jestem pewna. Moja podróż... Czy dostałeś się tu w taki sam sposób?

— O tym się nie mówi. Nie chcę cię pouczać, kochanie. Ale widzisz... Wszystkiego się z czasem dowiesz.

— A trędowaci? Czy to naprawdę kolonia trędowatych?

— Tak. Absolutnie prawdziwa. Jest tam zespół lekarzy, którzy prowadzą badania i oczywiście leczą ich. Ale są zupełnie odizolowani. Nie musisz się tym martwić. To po prostu sprytny kamuflaż.

— Rozumiem — odparła Hilary, rozglądając się dookoła. — Czy to nasze mieszkanie?

— Tak. Salonik, łazienka, a za nią sypialnia. Chodź, pokażę ci.

Poszła za nim przez doskonale wyposażoną łazienkę do dużej sypialni ze zsuniętymi łóżkami. Były tam wielkie, wbudowane w ścianę szary, toaletka i półki z książkami przy łóżkach. Z rozbawieniem zajrzała do szafy.

— Nie mam pojęcia, co tu powiesić — zauważyła. — Mam tylko to, co na sobie.

— Drobiazg. Dostaniesz, co tylko zechcesz. Mamy tu departament mody, są tam najnowsze modele, galanteria, kosmetyki i tak dalej. Wszystko pierwsza klasa. Jednostka jest w pełni samowystarczalna. Po prostu nie ma po co wychodzić na zewnątrz.

Powiedział to lekkim tonem, ale czułe ucho Hilary wychwyciło kryjącą się w nim rozpacz.

Nie ma po co wychodzić na zewnątrz. Nie uda ci się stąd wyjść. Już nigdy. Ty, który wchodzisz, pożegnaj się z nadzieją. Złota klatka! „Czy po to — zastanawiała się — ci tak różniący się od siebie ludzie porzucili swe kraje, środowiska, wszystko to, czemu winni są lojalność? Doktor Barron, Andy Peters, młody Ericsson o marzycielskiej twarzy, nieznośna Helga Needheim? Czy wiedzieli, na co się decydują? Czy to im da satysfakcję? Czy tego właśnie pragnęli? Lepiej nie zadawać zbyt wielu pytań, bo ktoś może podsłuchiwać”.

Czy rzeczywiście podsłuchują i obserwują? Tom Betterton jest o tym absolutnie przekonany. Ale czy ma rację? A może to nerwy, histeria? Tom Betterton jest bliski załamania...

„Tak — myślała ponuro — i ciebie to czeka, moja droga, już za kilka miesięcy... Ciekawe, co dzieje się z ludźmi, którzy muszą tak żyć?”

— Chcesz się położyć i odpocząć? — zapytał Betterton.

— Nie... — zawahała się. — Nie, raczej nie.

— Więc może lepiej chodźmy do rejestracji.

— Co to za rejestracja?

— Każdy, kto tu przyjeżdża, przechodzi przez rejestrację. Zapisują wszystko. Zdrowie, zęby, ciśnienie i grupę krwi, reakcje, awersje, alergie, uzdolnienia.

— Całkiem jak w wojsku, czy też może chodzi o sprawy czysto medyczne?

— Jedno i drugie — odparł Betterton. — Organizacja jest naprawdę doskonała.

— Słyszałam już o tym — zgodziła się Hilary — że za żelazną kurtyną wszystko jest idealnie zaplanowane.

Zmusiła się do entuzjazmu w głosie. Przecież Oliwia Betterton prawdopodobnie sympatyzowała z partią, chociaż nie była oficjalnie jej członkiem. Może z rozkazu?

Betterton wykręcił się od odpowiedzi.

— Jeszcze wiele musisz zrozumieć. — Potem dodał szybko: — Tylko lepiej nie próbuj poznać wszystkiego od razu.

Pocałował ją jeszcze raz i zdziwiło ją, że pocałunek pozornie czuły i prawie namiętny, był w rzeczywistości zimny jak lód.

— Nie wypadaj z roli — szepnął jej do ucha, a na głos powiedział: — Chodźmy do rejestracji.

Rozdział XII

W rejestracji zastali kobietę, która wyglądała jak surowa niańka. Włosy miała zwinięte w obrzydliwy kok, a na nosie binokle nadające jej kompetentny wygląd. Na widok Bettertonów, wchodzących do jej urządzonego po spartańsku gabinetu, skinęła z zadowoleniem głową.

— Ach — zwróciła się do Toma. — Przyprował pan żonę. Bardzo dobrze.

Mówiła płynnie po angielsku, ale z tak nienaturalną precyzją, że nie mógł to być jej własny język. Wkrótce okazało się, że jest Szwajcarką. Wskazała Hilary krzesło, wyjęła z szuflady stos formularzy i zaczęła je szybko wypełniać. Tom Betterton wyglądał na zakłopotanego.

— No więc, teraz, Oliwio, zostawiam cię.

— Słusznie, doktorze Betterton — pochwaliła go urzędniczka. — Najlepiej załatwić wszystkie formalności od razu.

Betterton wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Pani Robot, jak ją w myślach nazwała Hilary, pisała dalej.

— Teraz proszę — przeszła od razu do rzeczy. — Nazwisko, wiek, miejsce urodzenia, imiona rodziców, przebyte choroby, upodobania, hobby, wykonywane zawody, stopnie naukowe. Ulubione potrawy i napoje.

Lista ciągnęła się nieomal w nieskończoność. Hilary odpowiadała prawie automatycznie. Cieszyła się teraz, że Jessop tak starannie ją przygotował. Opanowała tę wiedzę na tyle dobrze, że teraz odpowiadała bez namysłu. Wreszcie pani Robot oznajmiła:

— Dobrze, to wszystko w tym departamencie. Teraz zaprowadzę panią do doktor Schwartz na badanie medyczne.

— Ojej, czy naprawdę muszę? — oponowała Hilary. — Przecież to całkiem bez sensu!

— Och, przywiązujemy dużą wagę do dokładności. Lubimy mieć kompletne kartoteki. Doktor Schwartz się pani spodoba. Potem pójdzie pani do doktora Rubeca.

Doktor Schwartz była rzetelna i miła. Zbadała Hilary dokładnie, po czym powiedziała:

— Skończone. Teraz do doktora Rubeca.

— Kto to? — zapytała Hilary. — Kolejny lekarz?

— Psycholog.

— Nie chcę do psychologa. Nie lubię psychologów.

— Ależ, pani Betterton, proszę się nie denerwować. Przecież nie podda pani żadnej terapii. Chodzi tylko o test na inteligencję i określenie typu osobowości.

Doktor Rubec okazał się wysokim melancholijnym Szwajcarem koło czterdziestki. Powitał Hilary, spojrzął na kartę dostarczoną mu przez doktor Schwartz i skinął głową, najwyraźniej zadowolony.

— Cieszę się, że stan pani zdrowia jest dobry — powiedział. — Słyszałem, że niedawno przeżyła pani katastrofę lotniczą.

— Tak — powiedziała Hilary. — Spędziłam cztery czy pięć dni w szpitalu w Casablance.

— Za krótko — skrzywił się doktor Rubec. — Powinna pani zostać tam dłużej.

— Chciałam wyjść jak najszybciej, by móc dalej jechać.

— To oczywiście rozumiałe, ale w wypadku wstrząsu mózgu ważne jest, żeby dużo leżeć. Teraz czuje się pani zupełnie dobrze, ale w przyszłości taka nieostrożność może mieć poważne skutki. Widzę, że pani nerwy nie są zupełnie w porządku. Zapewne częściowo z powodu podekscytowania podróżą, a bez wątplenia również z powodu wstrząsu. Czy miewa pani bóle głowy?

— Tak. Bardzo silne. Czasami mam też zawroty głowy i zapominam o różnych rzeczach.

Hilary czuła za słuszne podkreślenie tego szczególnego punktu. Doktor Rubec pokiwał głową ze zrozumieniem.

— Tak, tak, tak. Ale proszę się nie niepokoić. Wszystko to przejdzie. Teraz będzie pani musiała poddać się testom na skojarzenia. Dowiem się z nich, jakiego typu ma pani psychikę.

Hilary czuła lekkie zdenerwowanie, ale wszystko poszło gładko. Test okazał się rutynowy. Doktor Rubec wypełniał różne pozycje na długim formularzu.

— To dla mnie przyjemność — powiedział w końcu — obcować z kimś — proszę nie zrozumieć źle tego, co powiem, *madame* — kto nie jest geniuszem!

Hilary roześmiała się.

— Och, z pewnością nie jestem geniuszem.

— Na szczęście — rzekł doktor Rubec. — Zapewniam, że dzięki temu będzie pani miała dużo spokojniejsze życie. — Westchnął. — Tutaj, jak się pani domyśla, mam do czynienia głównie z wybitnymi umysłami. Tacy ludzie są zazwyczaj bardzo wrażliwi, łatwo tracą równowagę i ulegają różnym emocjom. Człowiek nauki, *madame*, nie jest chłodnym, opanowanym indywiduum, jak się to przedstawia w książkach. Właściwie — ciągnął zamyślony — pod względem równowagi emocjonalnej niewielka jest różnica pomiędzy sławnym sportowcem, primadonną opery i fizykiem nuklearnym.

— Chyba ma pan rację — odparła Hilary, przypominając sobie, że Oliwia Betterton spędziła kilka lat w środowisku naukowców. — Tak, czasami naprawdę są wybuchowi.

Doktor Rubec podniósł w górę ręce wyrazistym gestem.

— Nie uwierzy pani — zaczął — jakie emocje tu szaleją! Kłótnie, zazdrości, wzajemne obrażanie się! Musimy sobie z tym jakoś radzić. Ale pani, *madame* — uśmiechnął się — należy do zdecydowanej mniejszości. Uprzywilejowanej, jeżeli mogę wyrazić własną opinię.

— Niezupełnie pana rozumiem. Co to za mniejszość?

— Żony — odparł doktor Rubec. — Nie mamy ich tu wiele. Tylko nieliczne otrzymały pozwolenie. Są wolne od burz mózgowych mężów i ich kolegów.

— Co one tu robią? — zapytała Hilary i dodała przepaszająco: — Widzi pan, wszystko jest dla mnie takie nowe. Nic jeszcze nie rozumiem.

— Oczywiście, że nie. Oczywiście, to zupełnie normalne. Są tu różne rodzaje zajęć, możliwość rozwijania zainteresowań, rozrywki, rozmaite kursy. Naprawdę szeroki wybór. Mam nadzieję, że spodoba się pani takie życie.

— Tak jak panu?

Pytanie było bezczelne i Hilary przez chwilę zastanawiała się, czy mądrze postąpiła zadając je. Ale doktor Rubec wyglądał na rozbawionego.

— Ma pani rację, *madame* — powiedział. — Uważam, że życie tutaj jest spokojne i wyjątkowo interesujące.

— Nigdy nie żałował pan Szwajcarii?

— Nie, nie tęsknię za ojczyzną. Częściowo dlatego, że źle mi się układało w domu. Miałem żonę i kilkoro dzieci, a nie jestem stworzony do życia rodzinnego. Tu żyje mi się o wiele przyjemniej. Mam znakomitą okazję do studiowania pewnych aspektów ludzkiego umysłu, które mnie interesują i o których piszę książkę. Nie mam obowiązków domowych. Nikt mnie nie niepokoi, nie przeszkadza. To mi bardzo odpowiada.

— Dokąd mam teraz iść? — zapytała Hilary, podając mu rękę na pożegnanie.

— *Mademoiselle* La Roche zabierze panią do departamentu odzieży. Rezultat, jestem pewien — skłonił się — będzie godny podziwu.

Po oschłych robotach w spódnicach, spotykanych do tej pory, *mademoiselle* La Roche sprawiła Hilary miłą niespodziankę. Była ona *vendouse** w jednym z paryskich domów mody *haute couture* i zachowywała się jak prawdziwa kobieta.

— Jakże się cieszę, że mogę panią poznać, *madame* — szczebiotała. — Mam nadzieję, że przyjmie

pani moją pomoc. Na pewno jest pani zmęczona podróżą, więc proponuję, by teraz ograniczyć się tylko do kilku niezbędnych rzeczy. Jutro albo nawet w przyszłym tygodniu może pani obejrzeć wszystko, co mamy na składzie. Zawsze uważałam, że wybieranie odzieży w pośpiechu jest męczące. Niszczy całą przyjemność *la toilette*. Więc na razie, jeśli się pani zgadza, może tylko komplet bielizny, suknia wieczorowa i ewentualnie weźmiemy miarę.

— Brzmi to rozkosznie — odparła Hilary. — Nie umiem pani powiedzieć, jak dziwnie się czuję, mając jako cały dobytek szczoteczkę do zębów i gąbkę.

Mademoiselle La Roche roześmiała się radośnie. Wzięła szybko miarę i zaprowadziła Hilary do dużego pomieszczenia z szafami wbudowanymi w ścianę. Wisiały w nich wszelakiego typu stroje, wszystko z dobrych materiałów, doskonale uszyte i w różnych rozmiarach. Kiedy Hilary wybrała niezbędne elementy *la toilette*, przeszły do działu kosmetyków, gdzie dostała pudry, kremy i różne przybory toaletowe. Niosła je za nią jedna z pracownic, miejscowa dziewczyna o błyszczącej ciemnej twarzy, ubrana w nieskazitelną biel. Polecono jej zanieść torbę do apartamentu Hilary.

Wszystkie te działania sprawiały, że Hilary czuła się coraz bardziej jak we śnie.

— Mam nadzieję, że wkrótce znowu się zobaczymy — wdzięczyła się *mademoiselle* La Roche. — Z wielką przyjemnością pomogę pani wybierać stroje. *Entre nous* moja praca często przynosi mi rozczarowania. Te uczone panie bardzo mało interesują się *la toilette*. Właśnie jakieś pół godziny temu była tu pani współtowarzyszka podróży.

— Helga Needheim?

— Tak, właśnie ona. Jest rzeczywiście Szwabką, a oni nas nie lubią. Mogłaby nieźle wyglądać, gdyby trochę popracowała nad figurą i wybrała odpowiedni dla siebie, luźny krój odzieży. Ale nie! Nie interesują ją ubrania. Jest, jak mi się zdaje, lekarką. Jakąś tam specjalistką. Mam nadzieję, że pacjentom poświęca więcej uwagi niż swej *la toilette*. I tak żaden mężczyzna nie zaszczyci jej więcej niż jednym spojrzeniem.

Weszła panna Jennson, szczupła brunetka w okularach, którą spotkali zaraz po przyjeździe.

— Czy już pani skończyła? — zapytała Hilary.

— Tak, dziękuję.

— Więc proszę teraz pójść ze mną do wicedyrektora. Hilary powiedziała *mademoiselle* La Roche *au revoir* i poszła za niezmordowaną panną Jennson.

— Kto jest wicedyrektorem? — zapytała.

— Doktor Nielson.

Hilary pomyślała, że w tym miejscu każdy jest jakimś doktorem.

— Kim on właściwie jest? — pytała dalej. — Lekarzem, inżynierem?

— Och, nie, nie lekarzem. Jest szefem administracji. Do niego kieruje się wszystkie skargi. Zawsze rozmawia z nowo przybyłymi. Poza tym nie będzie go pani widywała zbyt często, chyba że wydarzy się coś ważnego.

— Rozumiem — odpowiedziała Hilary potulnie. Miała zabawne uczucie, że właśnie wskazano bez ogródek, gdzie jest jej miejsce.

Przez amfiladę dwóch pokojów, w których pracowały stenografistki, Hilary i jej przewodniczka dotarły do przybytku doktora Nielsona. Zza dużego dyrektorskiego biurka podniósł się z wielkowiejską galanterią wysoki, czerwony na twarzy mężczyzna. Hilary uznała, że pochodzi z oceanu, chociaż miał tylko nieznaczny amerykański akcent.

— Ach! — wykrzyknął, wychodząc naprzeciw Hilary, by uścisnąć jej rękę. — Mam przyjemność z... chwileczkę... no tak, z panią Betterton. Cieszę się, że mogę panią u nas powitać. Mam nadzieję, że będzie tu pani bardzo dobrze. Przykro mi z powodu tej katastrofy lotniczej, ale przecież mogło być gorzej. Tak, miała pani szczęście. Dużo szczęścia. Mąż oczekiwał pani tak niecierpliwie! Mam nadzieję, że teraz wreszcie się uspokoi.

— Dziękuję panu. — Hilary usiadła na krześle, które jej podsunął.

— Ma pani jakieś pytania? — Wychylił się ku niej, gotów ich wysłuchać.

Hilary roześmiała się lekko.

— Trudno mi na to odpowiedzieć — rzekła. — Prawdziwa odpowiedź jest oczywiście taka, że mam zbyt wiele pytań i nie wiem, od czego zacząć.

— Rozumiem, rozumiem. Mogę pani doradzić — ale to tylko rada, nic więcej — żeby nie pytać o nic. Po prostu przyzwyczajając się i patrzeć, co się będzie działo. To najlepszy sposób, naprawdę!

— Czuję, że tak niewiele wiem — odparła Hilary. — I wszystko jest takie... takie nieoczekiwane.

— Tak. Większość ludzi tak myśli. Chyba każdy sądzi, że zmierza do Moskwy. — Roześmiał się kordialnie. — Nasza pustynna siedziba jest dla większości niespodzianką.

— I dla mnie też.

— Cóż, wcześniej o niczym nie informujemy. Ludzie są czasem niedyskretni, a dyskrecja jest w tym przypadku niezwykle ważna. Ale przekona się pani, jak wygodnie się tu żyje. Jeżeli coś się pani nie spodoba albo jeżeli będzie pani miała jakieś szczególne życzenie... proszę przedstawić nam swoją prośbę i zobaczymy, co się da zrobić! Może coś z dziedziny sztuki? Malarstwo, rzeźba, muzyka? Mamy specjalny dział, który się tym zajmuje.

— Obawiam się, że nie mam żadnych talentów.

— Jest też mnóstwo okazji towarzyskich. Różne sporty, tenis, squash i inne. Po tygodniu, najwyżej dwóch, każdy czuje się jak u siebie, zwłaszcza żony. Mężowie mają swoją pracę i są bardzo zajęci,

więc żony siłą rzeczy są skazane na siebie. Zaprzyjaźniają się i potem już jakoś leci.

— Ale czy trzeba... cały czas tu być?

— Jak to cały czas? Chyba niezupełnie panią rozumiem?

— Chodzi mi o to, czy można stąd gdzieś pojechać? Doktor Nielson odpowiedział wymijająco:

— Ach, to zależy od pani męża. Tak, tak, przede wszystkim od niego. Są pewne możliwości. Różnego rodzaju. Ale lepiej się w to teraz nie zagłębiać. Proponuję, żebyśmy się spotkali znów za jakieś... powiedzmy, trzy tygodnie. Opowie mi pani, jak jej się tu żyje i w ogóle.

— Czy wcale nie można stąd wychodzić?

— Wychodzić?

— No za mury. Za bramę.

— Bardzo naturalne pytanie — pochwalił ją doktor Nielson, nagle znów pełen dobrej woli. — Tak, bardzo naturalne. Większość przybywających tu osób je zadaje. Ale przyjęliśmy zasadę, że nasz ośrodek to świat sam w sobie. Można powiedzieć, że właściwie nie ma po co wychodzić. Na zewnątrz jest tylko pustynia. Nie, nie, nie powiedziała pani nic złego. Większość ludzi czuje się tak zaraz po przybyciu. Lekka klaustrofobia, jak mówi doktor Rubec. Ale zapewniam panią, że mija. To kac, jeżeli mogę to tak ująć, po świecie, który się opuściło. Czy przyglądała się pani kiedyś mrówisku? Interesujący widok. Bardzo interesujący i bardzo pouczający. Setki małych czarnych mrówek biegających tam i z powrotem, tak gorliwie, z takim entuzjazmem, tak celowo. A jednak całość sprawia wrażenie chaosu. Taki właśnie jest ten zły stary świat, który pani opuściła. Tutaj nie ma pośpiechu, jest za to nieskończenie wiele czasu na dążenie do celu. Zapewniam panią — uśmiechnął się — że to raj na ziemi.

Rozdział XIII

— Jak w szkole — powiedziała Hilary.

Wróciła właśnie do swojego apartamentu. Ubrania i inne rzeczy, które wybrała, czekały już na nią w sypialni. Poukładała je w szafie po swojemu.

— Wiem — powiedział Betterton. — Też na początku miałem takie uczucie.

Nadal rozmawiali ostrożnie i nienaturalnie. Pamiętali o mikrofonie.

— Słuchaj, myślę, że wszystko jest w porządku. Myślę, że może wyobrażam sobie różne rzeczy. Ale mimo to...

Urwał na tym, ale Hilary zrozumiała nie dopowiedzianą część zdania: „ale mimo to lepiej zachować ostrożność”.

„Ta cała sytuacja — myślała — jest jak ze złego snu”. Oto dzieli sypialnię z zupełnie obcym człowiekiem, ale tak mocno odczuwa niepewność jutra i strach, że ta intymność nie wydaje się wcale krępująca, ani dla niego, ani dla niej. Przypomina to wspinaczkę górską, w czasie której śpi się w jednym szałasie z przewodnikami i innymi członkami ekspedycji. Betterton chwilę milczał, po czym rzekł:

— Po pewnym czasie można do tego przywyknąć. Po prostu zachowujmy się naturalnie. Zupełnie zwyczajnie. Mniej więcej tak jak w domu.

Dostrzegła mądrość tej uwagi. Uczucie nierealności trwało i potrwa jeszcze jakiś czas. Na razie nie mogła poruszać sprawy powodów opuszczenia Anglii przez Bettertona, jego nadziei i rozczarowania. Byli dwojgiem ludzi odgrywających swe role w świadomości ustawicznego, nie dającego się określić zagrożenia.

— Przeszłam przez cały szereg formalności — powiedziała Hilary. — Badania medyczne, psychologiczne i tak dalej.

— Jasne. Zawsze tak robią. Przypuszczam, że to naturalne.

— Czy spotkało cię to samo?

— Mniej więcej.

— Potem widziałam się z... wicedyrektorem, tak go nazywają, prawda?

— Tak. Kieruje tą placówką. Jest bardzo sprawnym administratorem.

— Ale nie jest szefem całości?

— Och, nie. Jest jeszcze dyrektor.

— Czy można... czy ja... się z nim spotkam?

— Prędzej czy później. Ale nie pojawia się tu często. Od czasu do czasu wygłasza przemówienia. Lubi pobudzać do działania.

Dostrzegła lekkie zmarszczenie brwi Bettertona i uznała, że lepiej zostawić ten temat. Mężczyzna spojrzął na zegarek.

— Obiad jest o ósmej. Dokładnie od ósmej do ósmej trzydzieści. Lepiej chodźmy na dół. Jesteś gotowa?

Zupełnie, jakby byli w hotelu.

Hilary przebrała się w nową suknię. Pastelowy, szarozielony kolor stanowił doskonałe tło dla jej rudych włosów. Do tego ładny naszyjnik ze sztucznych kamieni — i gotowe. Zeszli po schodach i po przebyciu kilku długich korytarzy znaleźli się w obszernej jadalni. Na spotkanie wyszła im panna Jennson.

— Załatwiłam dla was większy stolik, Tom — powiedziała do Bettertona. — Będą z wami siedzieć dwaj towarzysze podróży twojej żony i oczywiście Murchisonowie.

Podeszli do wskazanego stołu. W sali znajdowały się głównie niewielkie stoliki, przeznaczone dla czterech, ośmiu lub dziesięciu osób. Andy Peters i Ericsson podnieśli się, by ich powitać. Hilary przedstawiła im swojego „męża”. Gdy usiedli, zaraz podeszła druga para. Betterton przedstawił ich jako doktora Murchisona z żoną.

— Simon i ja pracujemy w tym samym laboratorium — wyjaśnił.

Simon Murchison był chudy, anemiczny i wyglądał na jakieś dwadzieścia sześć lat. Jego żona, przysadzista brunetka, mówiła z silnym zagranicznym akcentem. Hilary uznała ją za Włoszkę. Miała na imię Blanka. Przywitała się z Hilary uprzejmie, ale z pewną rezerwą, a może tak się tylko Hilary wydawało.

— Jutro — powiedziała — oprowadzę panią po całym terenie. Nie jest pani naukowcem, prawda?

— Nie, nie mam odpowiedniego wykształcenia — odparła Hilary i dodała: — Przed ślubem pracowałam jako sekretarka.

— Bianka jest prawniczką — oznajmił jej mąż. — Studiowała ekonomię polityczną i prawo handlowe. Niekiedy wygłasza wykłady, ale to nie wystarcza jej do zabicia czasu.

Bianka wzruszyła ramionami.

— Poradzę sobie — powiedziała. — Przecież przyjechałam, by być blisko ciebie. Myślę, że wiele rzeczy można by tu lepiej zorganizować. Właśnie zastanawiam się jak. Może pani Betterton zechce mi pomóc, skoro nie jest zaangażowana w prace naukowe.

Hilary pośpiesznie zgodziła się na ten plan. Andy Peters rozśmieszył wszystkich, odzywając się ponuro:

— Czuję się jak mały chłopiec oddany do internatu, który tęskni za domem. Z radością zabrałbym się do jakiejś roboty.

— To cudowne miejsce do pracy — rzekł Simon Murchison z entuzjazmem. — Żadnego odrywania się — i cała aparatura do dyspozycji!

— .Czym się pan zajmuje? — zapytał Andy Peters.

Trzej panowie zagłębili się w rozmowie na tematy zawodowe. Hilary nic z tego nie rozumiała. Zwróciła się do Ericssona, który siedział odchyłony do tyłu z roztargnionym wyrazem twarzy. — A pan? — zapytała. — Czy też tęskni pan za domem? Popatrzył na nią, jakby wrócił z bardzo daleka.

— Nie potrzebuję domu — powiedział. — Dom, więzy uczuciowe, rodzice, dzieci, wszystko to tylko przeszkadza. Człowiek nauki musi być wolny.

— I naprawdę czuje się pan tu wolny?

— Jeszcze nie wiem. Mam nadzieję, że tak będzie.

— Po obiedzie — odezwała się Bianka — mamy duży wybór rozrywek. Jest tu pokój do kart, gdzie można grać w brydża, kino, trzy razy w tygodniu przedstawienie teatralne i od czasu do czasu zabawy taneczne.

Ericsson zmarszczył brwi.

— Te wszystkie rzeczy są niepotrzebne — oznajmił. — Trwoni się na nie energię.

— Ale kobietom trudno się bez nich obyć — zaprotestowała Bianka.

Popatrzył na nią z zimną, bezosobową niechęcią. „On uważa, że kobiety są też niepotrzebne” — pomyślała Hilary.

— Położę się wcześniej — powiedziała, ziewając ostentacyjnie. — Nie mam dziś ochoty ani na film, ani na brydża.

— Oczywiście, kochanie — przytaknął Tom Betterton pośpiesznie. — Musisz się teraz położyć i dobrze wypocząć. Pamiętaj, że miałaś bardzo meczącą podróż. — Kiedy wstali od stołu, dodał: — Powietrze nocą jest wprost cudowne. Po kolacji zwykle spacerujemy po dachu; jest tam prawdziwy ogród. Potem rozchodzimy się do różnych zajęć lub do pokoi. Może przejdziemy się trochę przed snem?

Pojechali na górę windą obsługiwaną przez okazałych tubylców w białych szatach. Mieli ciemniejszy odcień skóry i masywniejszą budowę ciała niż Berberowie. Hilary zadziwiło nieoczekiwane piękno ogrodu. Urządzenie go musiało pochłonąć majątek. Przywieziono i wciągnięto na górę tony ziemi. Rezultat przypominał znane arabskie baśnie. Rosły tam wysokie palmy i inne tropikalne rośliny, otaczające małą sadzawkę. Kafelki, którymi wyłożono ścieżki, miały barwne wzory perskich kwiatów.

— Niewiarygodne — szepnęła Hilary. — Tutaj, w środku pustyni, baśń z tysiąca i jednej nocy!

— Zgadzam się z panią — przyznał Murchison. — Zupełnie jakby jakiś dżin to wyczarował. Cóż, przypuszczam, że nawet z pustynią da się zrobić wszystko, jeśli się ma dużo wody i pieniędzy.

— Skąd pochodzi woda?

— Doprowadza się ją rurami ze źródła w górach. To *mison d'ętre** naszej społeczności.

Po ogrodzie przechadzały się grupki ludzi, ale powoli ich liczba malała.

Murchisonowie pożegnali się. Chcieli obejrzeć jakiś balet.

Na dachu pozostało już niewiele osób. Betterton poprowadził Hilary do wolnego miejsca przy balustradzie. W górze nad nimi świeciły gwiazdy. Powietrze stało się teraz chłodne i orzeźwiający. Byli wreszcie sami. Hilary usiadła na niskim murku, a Betterton stanął przed nią.

— Teraz powiedz — przemówił nerwowym szeptem. — Kim, do diabła, jesteś?

Przez chwilę patrzyła na niego w milczeniu. Zanim mu odpowie, musi się czegoś dowiedzieć.

— Dlaczego rozpoznałeś mnie jako swoją żonę? — zapytała.

Popatrzyli na siebie. Żadne z nich nie chciało pierwsze odpowiedzieć. „To pojedynek woli” — myślała Hilary. Ale bez względu na to, jaki był Tomasz Betterton przed wyjazdem z Anglii, teraz jego wola została złamana. Hilary przyjechała tu ze świeżą wiarą w możliwość odbudowania swego życia. Betterton żył według narzuconego mu programu. Ona była silniejsza.

W końcu odwrócił wzrok i mruknął posepnie:

— To był impuls. Prawdopodobnie jestem cholernym głupcem. Wyobraziłem sobie, że przysłano mi cię na ratunek.

— Więc chcesz się stąd wydostać?

— Na Boga, jak możesz pytać?

— Jak się tu dostałeś z Paryża?

Tom Betterton zaśmiał się smutno.

— Nie zostałem porwany ani nic z tych rzeczy. Przyjechałem z własnej woli i o własnych siłach. Pełen gorliwości i entuzjazmu.

— Wiedziałeś, że znajdziesz się tutaj?

— Nie miałem pojęcia, że jadę do Afryki, jeżeli o to ci chodzi. Złapano mnie na klasyczną przynętę. Pokój na ziemi, wymiana naukowych sekretów pomiędzy naukowcami całego świata, ukrócenie kapitalistów i podżegaczy wojennych — cały ten zwyczajowy żargon! Ten gość Peters dał się złapać na to samo.

— A kiedy przyjechałeś, okazało się, że jest inaczej?

Raz jeszcze roześmiał się gorzko.

— Sama zobaczysz. Może rzeczywiście coś w tym jest. Ale nie tak to sobie wyobrażałem. To nie jest wolność. — Zrezygnowany, usiadł obok niej. — Załamałem się. Czułem, że cały czas jestem pod obserwacją. Wszystkie te środki ostrożności. Spowiadanie się z tego, co robię, kontrolowanie moich przyjaciół... Może to i konieczne, ale doprowadza człowieka do szaleństwa! Kiedy składają propozycję, cóż, po prostu się wierzy. Wygląda, że wszystko jest piękne. — Roześmiał się krótko. — A potem ląduje się tutaj!

— To znaczy, że znalazłeś się w tej samej sytuacji, od której próbowałeś uciec? — zaczęła Hilary z namysłem. — Obserwują cię i śledzą w ten sam sposób... czy może gorszy?

Betterton nerwowo odgarnął z czoła ciemne włosy.

— Nie wiem — powiedział. — Uczciwie przyznaję, że nie wiem. Nie mam pewności. Może wszystko sobie wymyśliłem? Wcale nie wiem, czy mnie obserwują. Właściwie po co? Mają mnie tu... w więzieniu.

— Więc zupełnie nie dotrzymali obietnic?

— Dziwna rzecz. Właściwie dotrzymali. Warunki do pracy są idealne. Mamy wszystkie aparaty i przyrządy. Można pracować dowolnie długo w dowolnym czasie. Mamy komfort i wszelkie udogodnienia. Jedzenie, odzież, apartamenty... Oraz świadomość, że jesteśmy więźniami.

— Rozumiem. Kiedy dzisiaj zatrzasnęły się za nami wrota, też czułam się okropnie. — Hilary wzdrygnęła się.

— No dobrze — opanował się Betterton. — Odpowiedziałem na twoje pytanie. Teraz ty odpowiedz na moje. Co tu robisz, udając Oliwię?

— Oliwia... — urwała, szukając słów.

— Tak? Co z Oliwią? Co się z nią dzieje? Co próbujesz mi powiedzieć?

Popatrzyła ze współczuciem na jego nerwową, wymizerowaną twarz.

— Cały czas umierałam ze strachu na myśl, że muszę ci powiedzieć.

— Czy to znaczy... że coś się jej stało?

— Tak. Strasznie mi przykro. Twoja żona nie żyje. W drodze do ciebie miała katastrofę samolotową. Zabrano ją do szpitala, gdzie zmarła w dwa dni później.

Patrzył prosto przed siebie. Wyglądało to tak, jakby postanowił nie okazywać żadnych emocji. Odezwał się cicho:

— Więc Oliwia nie żyje. Rozumiem...

Zapadła długa cisza. Potem odwrócił się do niej.

— Dobrze. Domyślam się reszty. Zająłeś jej miejsce. Dlaczego? Tym razem Hilary miała przygotowaną odpowiedź. Tom Betterton wierzył, że przysłano mu ją na ratunek, a to nieprawda. Była szpiegiem. Ma zdobyć informacje, a nie pomagać temu człowiekowi w ucieczce z miejsca, do którego udał się na własne życzenie. Co więcej, nie dysponowała żadnymi odpowiednimi środkami i była więźniem jak on.

Czuła, że nie może mu się na razie zwierzyć, że to zbyt niebezpieczne. W każdej chwili mógł się kompletnie załamać. W tych okolicznościach szaleństwem było oczekiwać, że dochowa sekretu.

— Byłam przy twojej żonie w momencie jej śmierci — powiedziała. — Obiecałam, że zajmę jej miejsce i spróbuję do ciebie dotrzeć. Chciała, bym dostarczyła ci wiadomość. Zmarszczył brwi.

— Ale na pewno...

Pośpieszyła z wyjaśnieniami, zanim zdołał się zorientować w słabych punktach bajeczki.

— Nie jest to aż tak nieprawdopodobne, jak ci się wydaje. Widzisz, sympatyzuję z twoimi ideami. Naukowe sekrety dla wszystkich nacji, nowy światowy ład, popieram to całym sercem. W dodatku moje włosy... Myślałam, że jeżeli oczekują rudej kobiety w odpowiednim wieku, może mi się udać. W każdym razie uważałam, że warto spróbować.

— Tak — zatrzymał wzrok na jej głowie. — Masz dokładnie takie same włosy jak Oliwia.

— Poza tym twojej żonie tak bardzo zależało, żeby ci przekazać tę wiadomość...

— Ach, tak, wiadomość. Jaką wiadomość?

— Mam ci powiedzieć, żebyś był ostrożny, bardzo ostrożny. Że jesteś w niebezpieczeństwie... z powodu kogoś o imieniu Borys.

— Borys? Borys Glydr?

— Tak. Znasz go?

Potrząsnął głową.

— Osobiście — nie. Ale znam go ze słyszenia. To krewny mojej pierwszej żony.

— Dlaczego jest niebezpieczny?

— Co?

Był wyraźnie nieobecny duchem. Hilary powtórzyła pytanie.

— Och. — Wrócił do rzeczywistości. — Nie wiem, dlaczego miałby zagrażać akurat mnie, ale z tego, co wiem, rzeczywiście niebezpieczny z niego gość.

— W jakim sensie?

— To jeden z tych na pół zbikowanych idealistów, którzy wymordowaliby bez zmruczenia oka połowę ludzi na świecie, gdyby z jakichś powodów uznali to za słuszne.

— Znam ten rodzaj ludzi.

Czuła, że zna... czuła bardzo wyraźnie. Ale dlaczego?

— Czy Oliwia się z nim widziała? Co jej powiedział?

— Nie wiem. To wszystko, co mówiła. O niebezpieczeństwie... Ach, tak, powiedziała jeszcze: „Nie mogłam w to uwierzyć”.

— W co?

— Nie wiem. — Zawahała się na chwilę, a potem dodała: — Widzisz... ona umierała.

Skurcz przebiegł mu po twarzy.

— Wiem, wiem... Przywyknę z czasem do tej myśli. W tej chwili nie dociera to do mnie. Jestem zaskoczony informacją o Borysie. Jak może mi tu zagrozić? Jeżeli rzeczywiście widział się z Oliwią, to musiał być w Londynie?

— Tak. Był w Londynie.

— Więc, nic nie rozumiem... Zresztą jakie to ma znaczenie? Co, do diabła, w ogóle ma jakieś znaczenie? Siedzimy po szyję w tym cholernym ośrodku, otoczeni przez bezduszne roboty...

— Myślę o nich tak samo.

— I nie możemy się wydostać. — Uderzył pięścią w mur. — Nie możemy!

— Ależ możemy — zaprotestowała Hilary.

Odwrócił się do niej z wyrazem zaskoczenia na twarzy.

— Co masz na myśli, do licha?

— Znajdziemy jakiś sposób — odparła.

— Drogie dziewczę. — Roześmiał się ironicznie. — Nie masz zielonego pojęcia, z kim chcesz zadrzeć.

— Podczas wojny ludzie uciekali z najbardziej nieprawdopodobnych miejsc — rzekła z uporem. Nie zamierzała poddać się rozpacz. — Wykopywali tunele albo radzili sobie jakoś inaczej.

— Chcesz się przekopać przez litą skałę? I dokąd? Otacza nas pustynia.

— Więc zostaje „jakoś inaczej”.

Popatrzył na nią. Zmusiła się do uśmiechu.

— Co za wyjątkowa z ciebie dziewczyna! Wyglądasz na bardzo pewną siebie. — Zachmurzył się ponownie. — Czas — powiedział. — Czas... To coś, czemu nie umiem sprostać.

— Dlaczego?

— Nie wiem, czy będziesz w stanie zrozumieć... Po prostu nie potrafię tu pracować.

— Co to znaczy?

— Jak ci to powiedzieć? Nie mogę pracować. Nie mogę myśleć. W mojej specjalności konieczny jest wysoki stopień koncentracji, twórczej koncentracji. Odkąd się tu znalazłem, straciłem bodźce. Nadaję się tylko do zwyczajnej harówki, do tego, co może robić byle kto. Tylko że nie po to mnie tu sprowadzili. Chcą oryginalnych odkryć, a ja nie jestem w stanie ich dokonywać. Im bardziej się tym denerwuję, im bardziej się boję, tym trudniej mi coś z siebie wykrzesać. To sprawia, że tracę grunt pod nogami, rozumiesz?

Tak, teraz rozumiała. Przypomniała sobie uwagi doktora Rubeca na temat primadonn i naukowców.

— Jeżeli nie spełnię ich żądań, to mnie zlikwidują.

— Och, nie!

— Och, tak. Nie bawią się w sentymenty. Do tej pory ratowali mnie chirurdzy. Operacje plastyczne wykonuje się po kawałku, wiesz? I oczywiście od człowieka, który ciągle poddawany jest różnym zabiegom, nie można wymagać, by się koncentrował. Ale z tym już koniec.

— Ale po co to zrobili? O co tu chodzi?

— O bezpieczeństwo. Moje bezpieczeństwo. Robi się takie rzeczy, kiedy jest się „ściganym przez

prawo”.

— Zatem jesteś „ścigany”?

— Tak, nie wiedziałaś? Och, przypuszczam, że nie ogłaszali tego w gazetach. Może nawet Oliwią nie wiedziała. Ale szukają mnie z całą pewnością.

— Myślisz, że za... to się nazywa „zdrada”, prawda? Za to, że sprzedałeś sekrety atomowe?

Unikał jej wzroku.

— Niczego nie sprzedałem. Udostępniłem im to, co wiedziałem, udostępniłem za darmo. Możesz mi wierzyć, że dobrowolnie. To istota całego przedsięwzięcia: dzielenie się wynikami badań. Och, czy potrafisz to zrozumieć?

Potrafiła. Zrozumiała, że tak właśnie postąpił Andy Peters. Miała przed oczami Ericssona, fanatyka, który ogarnięty amokiem zdradzał swój kraj, jednak trudno jej było wyobrazić sobie w tej roli Tomasza Bettertona. Nagle zdała sobie sprawę, że chodzi właśnie o tę różnicę. Różnicę między tryskającym energią, pełnym zapału uczonym sprzed kilku miesięcy, a nerwowym, załamanym, straszliwie przerażonym wrakiem człowieka, jaki miała przed sobą.

Betterton rozejrzał się niespokojnie dookoła i powiedział:

— Wszyscy już poszli. Lepiej...

Wstała.

— Tak. Ale to w porządku, wiesz? Myślę, że w naszej sytuacji to zupełnie naturalne.

— Będziemy musieli brnąć dalej — rzekł zażenowany. — To znaczy, że musisz udawać moją żonę.

— Oczywiście.

— I musisz dzielić sypialnię. Ale wszystko będzie dobrze. Nie musisz się obawiać, że...

Przełknął ślinę zażenowany.

„Jaki przystojny — pomyślała Hilary, patrząc na jego profil — i jak mało mnie to obchodzi...”

— Myślę, że nie mamy się czym martwić — rzekła wesoło. — Najważniejsze, żeby jednak wydostać się stąd i przeżyć.

Rozdział XIV

W jednym z pokoi hotelu „Mamounia” w Marakeszu człowiek nazwiskiem Jessop rozmawiał z panią Hetherington. Różniła się ona znacznie od osoby znanej Hilary z Casablanki i Fezu, mimo tego samego wyglądu, ubioru, a nawet tej samej przygnębiającej fryzury. Zmienił się jej sposób bycia. Była teraz kobietą energiczną, kompetentną i wydawała się dużo młodsza.

Poza tą parą udział w rozmowie brał jeszcze krępy brunet o inteligentnych oczach. Bębnił lekko palcami o stół, nucąc pod nosem francuską piosenkę.

— ... i jesteś pewna — kończył właśnie pytanie Jessop — że z nikim więcej w Fezie nie rozmawiała?

Janet Hetherington kiwnęła głową.

— Była tam ta Calvin Baker, którą wcześniej spotkałyśmy w Casablance. Muszę wyznać, że ciągle o niej myślę. Zboczyła ze swojej trasy, aby wyświadczyć uprzejmość Oliwii Betterton, a także i mnie. Ale Amerykanie naprawdę są uczynni, często w hotelach wdają się w rozmowy z innymi gośćmi i chętnie umawiają się na wspólne wycieczki.

— Tak — odparł Jessop — to wszystko jest trochę zbyt ostentacyjne jak na mój gust.

— A poza tym — ciągnęła Janet Hatherington — ona też była w samolocie.

— Sądysz więc, że katastrofa została zaplanowana. — Odwrócił się do bruneta. — Co ty na to, Leblanc?

Leblanc przestał nucić i bębnić palcami o stół.

— *Ça se peut** — powiedział. — To mógł być sabotaż. Nigdy się tego nie dowiemy. Samolot rozbił się i spłonął, a wszyscy zginęli.

— Co wiesz o pilocie?

— Alcadi? Młody, dość dobry. Nic więcej. Źle opłacany. — Dwa ostatnie słowa dodał po niewielkiej pauzie.

— I w związku z tym szukający okazji do zarobku — upewnił się Jessop. — Ale chyba nie kandydat na samobójcę.

— Znaleziono siedem ciał — rzekł Leblanc. — Zwęglonych i nie do rozpoznania, ale z całą pewnością siedem. Musimy spojrzeć prawdzie w oczy.

Jessop odwrócił się ponownie do Janet Hetherington.

— Mówiłaś coś?

— W Fezie pani Betterton zamieniła parę słów z pewną francuską rodziną. Był tam jeszcze bogaty szwedzki biznesmen z olśniewającą blondynką. I ten magnat naftowy, pan Arystydes.

— Ach — rzekł Leblanc — to legendarna postać. Zawsze się zastanawiałem, co się czuje, kiedy się ma tyle pieniędzy? Jeśli chodzi o mnie — dodał szczerze — trzymałbym konie wyścigowe, miałbym setki kobiet i korzystał ze wszystkiego, co świat ma do zaoferowania. A stary Arystydes zamyka się w hiszpańskim zamku — bo ma własny zamek w Hiszpanii, *mon cher* — i podobno kolekcjonuje chińską porcelanę z okresu Sung. Cóż, trzeba pamiętać — dodał zaraz — że ma siedemdziesiąt lat. W tym wieku pewnie liczy się już tylko chińska porcelana.

— Według Chińczyków — rzekł Jessop — lata między sześćdziesiątką a siedemdziesiątką są najbogatsze. Podobno właśnie wtedy najbardziej docenia się piękno i radość życia.

— Pas moi! — zawołał Leblanc.

— W Fezie byli też Niemcy — wróciła do tematu Janet Hetherington — ale o ile wiem, żaden nie rozmawiał z Oliwią Betterton.

— Mógł to być kelner lub służący — zauważył Jessop.

— To jest zawsze możliwe.

— I wybrała się sama do starego miasta, tak?

— Z przewodnikiem. Może wtedy ktoś się z nią skontaktował?

— W każdym razie nagle zdecydowała się jechać do Marakeszu?

— Nie tak nagle — skorygowała go. — Miała wcześniejszą rezerwację.

— Ach, chodziło mi o panią Calvin Baker. Raczej niespodziewanie zgodziła się towarzyszyć Oliwii. — Chodził tam i z powrotem po pokoju. — Poleciała do Marakeszu, po czym samolot rozbił się i spłonął. Wygląda, że nazwisko „Oliwia Betterton” przynosi pecha w podróży lotniczej każdej kobiecie, która je akurat nosi. Najpierw katastrofa w Casablance, a teraz tutaj. Przypadek czy spisek? Gdyby ktoś chciał się pozbyć Oliwii, mógł uciec się do łatwiejszego sposobu.

— Nigdy nie wiadomo — zauważył Leblanc. — Zrozum, *mon cher*. Czasem ktoś dochodzi do takiego stanu, że życie ludzkie przestaje się dla niego liczyć. Jeżeli taki ktoś uzna, że prościej jest podłożyć w samolocie bombę niż w ciemnym zaułku czekać na ofiarę z nożem, wtedy podkłada bombę i już. Tego, że przy okazji ginie sześć innych osób, nie bierze w ogóle pod uwagę.

— Oczywiście — odparł Jessop. — Wiem, że się ze mną nie zgodzicie, ale nadal uważam, że jest trzecie rozwiązanie. Katastrofa została sfingowana.

Leblanc popatrzył na niego z zainteresowaniem.

— To możliwe. Mogli wylądować i dopiero później podpalić samolot. Ale nie uciekniesz od faktów, *mon cher*. W samolocie byli ludzie. Znalaziono zwęglone zwłoki.

— Wiem — odparł Jessop — w tym sęk. Och, nie wątpię, że moje pomysły są fantastyczne. Przecież nasuwa się nam oczywisty, zbyt oczywisty wniosek, żeby dać sobie spokój. Tak czuję. Dosłownie wszystko za tym przemawia. Napisać na marginesie raportu „Niech odpoczywają w pokoju” i koniec. Nie ma śladu, którym moglibyśmy pójść. — Odwrócił się do Leblanca. — Czy wszcząłeś śledztwo?

— Już dwa dni temu — odparł Leblanc. — Prowadzą je najlepsi ludzie. To wyjątkowe pustkowie. Samolot zboczył z kursu.

— Co też jest nie bez znaczenia — mruknął Jessop.

— Przeszukujemy najbliższe wioski, osady, ślady kół samochodów. Tak samo jak wy zdajemy sobie sprawę z wagi tego dochodzenia. Francja również straciła paru znakomitych młodych naukowców. Uważam, *mon cher*, że łatwiej jest kontrolować humorzastego śpiewaka operowego niż naukowca. Ci młodzi geniusze są narwani, ciągle się buntują, a przede wszystkim są niebezpiecznie łatwowierni. Myślą, że co ich tam czeka? Same rozkosze, dążenie do prawdy i powszechne szczęście? Niestety, biedne dzieci srodze się zawiodą.

— Przejrzyjmy jeszcze raz listę pasażerów — zaproponował Jessop.

Francuz sięgnął do depeesz. Zagłębili się wspólnie w lekturę.

— Pani Calvin Baker, Amerykanka. Pani Betterton, Angielka. Torquil Ericsson, Norweg. Przy okazji, wiesz coś o nim?

— Nic szczególnego — odparł Leblanc. — Młody, nie więcej niż dwadzieścia siedem, osiem lat.

— Znam to nazwisko — rzekł Jessop, marszcząc brwi. — Myślę. .. jestem prawie pewien... że czytał swoją pracę w Królewskim Towarzystwie.

— Potem *religieuse** — Leblanc wrócił do listy. — Siostra Maria jakaś tam. Andrew Peters, również Amerykanin. Doktor Barron. To sławne nazwisko, *le docteur* Barron. Genialny człowiek. Specjalista od infekcji wirusowych.

— Broń biologiczna — rzekł Jessop. — Pasuje. Wszystko pasuje.

— Człowiek źle opłacany i niezadowolony — dorzucił Leblanc.

— *Ilu dotrze do St. Ives?* — mruknął pod nosem Jessop.

Francuz rzucił mu szybkie spojrzenie. Jessop uśmiechnął się przeproszająco.

— To tylko stary dziecinny wierszyk. Zamiast „St. Ives” można postawić znak zapytania. Podróż donikąd.

Zadzwoił telefon na biurku i Leblanc podniósł słuchawkę.

— *Allo? Qu'est— ce qu'ily a?* Ach, tak, przyślij ich na górę. Odwrócił się do Jessopa z nagle ożywioną twarzą.

— Zgłosił się jeden z moich ludzi — oznajmił. — Znaleźli coś. *Mon cher collegue*, możliwe, na razie nie powiem nic więcej, ale możliwe, że twój optymizm zwyciężył.

Po chwili do pokoju weszło dwóch mężczyzn. Pierwszy był podobny do Leblanca: krępy brunet o inteligentnej twarzy. Zdradzał wyraźne ożywienie, zachowując przy tym służbowy dystans. Nosił europejskie ubranie, bardzo poplamione i pokryte kurzem; widocznie miał za sobą długą drogę. Towarzyszył mu tubylec w białej tradycyjnej szacie. Odznaczał się pełnym godności spokojem, typowym dla kogoś, kto mieszka z dala od cywilizacji. Był uprzejmy, ale nie służalczy. Rozglądał się po pokoju z lekkim zainteresowaniem, podczas gdy jego towarzysz wyjaśniał coś szybko po francusku.

— Wyznaczyliśmy nagrodę, wiadomość się rozeszła — mówił — i ten facet z rodziną i wieloma przyjaciółmi odwalili kawał roboty. Zabrałem go z sobą, bo może panowie zechcą sami zobaczyć, co znalazł, i zadać mu parę pytań.

Leblanc zwrócił się do Berbera w jego języku:

— Dobrze się spisaleś, ojczulku. Masz oczy jastrzębia. Pokaż nam, co odkryłeś.

Mężczyzna wyjął coś spomiędzy fałd szaty i położył przed Francuzem. Była to dość duża różowoszara sztuczna perła.

Jessop wyciągnął po nią rękę. Z kieszeni wyjął drugą identyczną i porównał je. Potem podszedł do okna i przyjrzał im się przez szkło powiększające.

— Tak — powiedział — jest znak. — W jego głosie dźwięczał triumf. — Dzielna, dzielna dziewczyna! Udało jej się!

Leblanc rozmawiał z Marokańczykiem po arabsku. Wreszcie odwrócił się do Jessopa.

— Muszę cię przeprosić, *mon cher collegue* — powiedział. — Tę perłę znaleziono w odległości prawie pół kilometra od spalonego samolotu.

— Co dowodzi — dodał Jessop — że Oliwia Betterton ocalała. Więc chociaż z Fezu wyruszyło samolotem siedmioro ludzi, a we wraku znaleziono siedem zwęglonych ciał, z całą pewnością jej wśród nich nie było.

— Rozszerzymy teraz poszukiwania — rzekł Leblanc do obu mężczyzn. — Dostaniecie zgodnie z obietnicą wysoką nagrodę. Każemy w całej okolicy szukać tych pereł. Ci ludzie mają sokoli wzrok, a wieść o nagrodzie rozejdzie się błyskawicznie. Myślę... myślę, *mon cher collegue*, że wkrótce będą jakieś rezultaty! Żeby tylko nie zorientowali się, co ona robi.

Jessop potrząsnął głową.

— To taka naturalna okoliczność — powiedział. — Zwyczajny sznur sztucznych pereł, jakie nosi wiele kobiet, nagle pęka, więc się je na oczach wszystkich zbiera i upycha do kieszeni. A w kieszeni jest mała dziurka... Poza tym, dlaczego by ją mieli podejrzewać? Jest Oliwią Betterton i niecierpliwie czeka na spotkanie z mężem.

— Musimy spojrzeć na całą sprawę inaczej — rzekł Leblanc i sięgnął po listę pasażerów. — Oliwia Betterton. Doktor Barron — stawiał kolejno ptaszki przy nazwiskach. — Ci jadą... tam gdzie jadą. Teraz Amerykanka, pani Calvin Baker. Tej trzeba by się przyjrzeć. Torquil Ericsson, jak mówiłeś, miał odczyt w Królewskim Towarzystwie. Amerykanin Peters ma w paszporcie zawód — chemik. *Religieuse*... cóż, to mogło być dobre przebranie. Faktem jest, że ci ludzie, zebrani z różnych stron świata, znaleźli się w ten szczególny dzień na pokładzie tego samego samolotu. Po czym odkryto spalony wrak, a w nim odpowiednią liczbę zwęglonych zwłok. Jak im się to udało? *Enfin, c'est colossal!**

— Tak — przyznał Jessop. — To bardzo przekonujące posunięcie. Ale teraz wiemy, że ci ludzie ruszyli w dalszą podróż i wiemy skąd. Co robimy? Jedziemy tam?

— Oczywiście — rzekł Leblanc. — Przejmujemy dowodzenie. Jeśli się nie mylę, jesteśmy na tropie, pewnie .wkrótce trafimy na nowe ślady.

— Jeżeli wszystko dokładnie obliczymy — zgodził się Jessop — muszą być jakieś rezultaty.

Obliczenia dotyczyły różnych spraw. Brano pod uwagę szybkość samochodu, przypuszczalne miejsca tankowania i noclegów. Wśród wielu fałszywych śladów zdarzały się i efekty pozytywne.

— *Voila, mon capitaine!* Przeszukiwanie toalet, tak jak pan zarządził. W ciemnym kącie latryny w domu niejakiego Abdula Mohammeda odkryto perlę oblepioną gumą do żucia. Przesłuchaliśmy właściciela i jego synów. Początkowo zaprzeczali, ale w końcu wyznali prawdę. Spędziło u nich noc sześć osób podróżujących ciężarówką należąca do niemieckiej ekipy archeologicznej. Zapłacili im za trzymanie języka za zębami, gdyż, jak twierdzili, prowadzili nielegalne wykopaliska. Dzieci z wioski El Kaif znalazły jeszcze dwie perły, znamy więc kierunek. Jest jeszcze coś, *monsieur le capitaine*. Jak pan przewidział, ktoś zobaczył „rękę Fatimy”. Ten typ może panu o niej opowiedzieć.

„Ten typ” był Berberem wyglądającym na absolutnego dzikusa.

— Pasłem moje stada — powiedział — w nocy. Usłyszałem samochód. Przejechał koło mnie i wtedy zobaczyłem znak. Po jednej stronie odcisnięta była „dłoń Fatimy”. Świeciła w ciemności.

— Pokrycie rękawiczki fosforem czasem jest bardzo skuteczne — mruknął Leblanc. — Gratuluję ci, *mon cher*, tego pomysłu.

— Jest skuteczne — przyznał Jessop — ale i niebezpieczne. Mogą go zauważyć również uciekinierzy.

Leblanc wzruszył ramionami.

— Nie widać go w świetle dziennym.

— Nie, ale gdyby zatrzymali się i wysiedli z samochodu w ciemności...

— Nawet wtedy. To znaczy arabski zabobon. Ten znak widuje się często na tutejszych pojazdach. Pomyślą, że jakiś podróżny muzułmanin namalował go świecąca farbą.

— Prawda, ale musimy być czujni. Bo jeżeli nasi wrogowie zauważyli go, to mogą zostawiać nam takie ślady specjalnie, żeby nas zmylić.

— Zgadzam się z tobą. Naprawdę cały czas musimy się pilnować.

Następnego ranka Leblanc otrzymał trzy kolejne sztuczne perły zlepione w trójkąt kawałkami gumy do żucia.

— To oznacza — rzekł Jessop — że dalsza podróż odbywa się samolotem.

Popatrzył pytająco na Leblanca.

— Masz rację — przyznał Francuz. — Znaleziono je na starym lotnisku wojskowym, w bezludnym i opuszczonym miejscu. Były tam ślady lądowania samolotu. — Wzruszył ramionami. — Nieznanego samolotu. Raz jeszcze wyruszyli w nieznane. A my znów znajdujemy się w punkcie wyjścia i nie wiemy, gdzie szukać kolejnych śladów...

Rozdział XV

„To niewiarygodne” — powtarzała Hilary w myślach. Niewiarygodne, że spędziła tu już dziesięć dni! Najbardziej przerażał ją fakt, że tak łatwo jej przyszło przystosowanie się do tych warunków. Przypomniała sobie, że widziała kiedyś we Francji osobliwe średniowieczne urządzenie do tortur. Była to żelazna klatka, tak ciasna, że więzień nie mógł ani leżeć, ani stać, ani siedzieć. Przewodnik opowiadał szczegółowo, że ostatni jej lokator żył w niej przez osiemnaście lat, po czym zwolniono go. Na wolności przeżył jeszcze dwadzieścia lat i umarł jako stary człowiek. „Umiejętność przystosowania się — myślała Hilary — wyróżnia ludzi ze świata zwierząt. Człowiek może egzystować w każdym klimacie, w każdych warunkach, przyjmować każdy rodzaj pożywienia. Żyć jak niewolnik lub istota wolna”.

Zaraz po przyjeździe ogarnął ją paniczny lęk, okropne uczucie uwięzienia i wyobcowania. To, że więzienie było zamaskowane przez luksus, powiększało tylko jej przerażenie. Ale teraz, zaledwie po tygodniu, zaczynała bezwiednie traktować te warunki jak coś naturalnego. Dziwna egzystencja ze snu. Właściwie nic nie wyglądało realnie, ale miała wrażenie, że zapadła w ten sen dawno i jeszcze długo się zeń nie ocknie. Może nigdy... „Zostanę tu już na wieki — myślała — życie jest tutaj, na zewnątrz nie ma nic”.

Ta niebezpieczna akceptacja, jak sądziła, brała się częściowo z faktu, że była kobietą. Kobiety mają z natury zdolności przystosowawcze. W tym tkwi ich siła, a jednocześnie słabość. Badają grunt wokół siebie, stopniowo akceptują warunki i jak przystało na realistki, starają się żyć w nich jak najwygodniej. Interesowały ją bardzo reakcje ludzi, którzy z nią przyjechali. Prawie nie widywała Helgi Needheim. Kiedy czasami spotykały się w jadalni, Niemka ledwie raczyła kiwnąć głową — i nic poza tym. Z tego, co Hilary widziała, Helga Needheim była szczęśliwa i zadowolona. Widocznie to miejsce odpowiadało jej wcześniejszym wyobrażeniom. Była typem kobiety całkowicie zaabsorbowanej pracą, poza tym podtrzymywała ją na duchu wrodzona buta. Doskonałość własna i innych uczonych była pierwszym punktem życiowego credo Helgi. Nie wierzyła w braterstwo, erę pokoju, wolność umysłów i dusz. Uważała, że przyszłość niesie z sobą ograniczenia, ale i wszechmoc. Władza ma należeć do superrasy, za której przedstawicielkę się uznawała, inni staną się niewolnikami, których będzie się dobrze traktować, jeżeli oczywiście będą posłuszni. Helga nie liczyła się raczej z faktem, że większość naukowców myślała inaczej, że ich poglądy były bardziej komunistyczne niż faszystowskie. Sądziła, że póki dobrze pracują, są potrzebni, a poglądy można przecież zmienić.

Doktor Barron był od niej inteligentniejszy. Czasem Hilary udawało się zamienić z nim parę słów. Pochłaniała go praca, jednakże wspaniałe warunki nie powstrzymały dociekliwego galijskiego umysłu od zastanawiania się nad miejscem, w którym się znalazł.

— Niezupełnie tego oczekiwałem — mówił. — Szczerze pani wyznam *entre nous*, że nie przepadam za atmosferą więzienia. Bo to z całą pewnością jest więzienie, chociaż o grubo złoconych kratkach.

— Nie ma tu wolności, której pan szukał? — zapytała. Posłał jej szybki, smutny uśmiech.

— Ach, nie — odrzekł. — Myli się pani. Nie szukałem wolności. Jestem człowiekiem cywilizowanym, który wie, że coś takiego w ogóle nie istnieje. Tylko młode, niedojrzałe narody umieszczają na swoich sztandarach słowo „wolność”. Zawsze muszą istnieć struktury bezpieczeństwa. A istotą cywilizacji jest umiarkowany sposób życia. Złoty środek. Zawsze się do tego wraca. Nie. Będę z panią szczery. Chodziło mi o pieniądze. Teraz z kolei uśmiechnęła się Hilary. Uniosła brwi.

— Ale na co tu panu pieniądze?

— Na kosztowne wyposażenie laboratorium — odparł doktor Barron. — Nie muszę płacić za nie z własnej kieszeni, mogę służyć nauce, a zarazem zaspokajać własną intelektualną ciekawość. Lubię swoją pracę, to prawda, ale nie pracuję dla zbawienia ludzkości. Zauważyłem, że ci, którzy tak twierdzą, nie odznaczają się niczym szczególnym. Nie, ja szukam czysto intelektualnej radości. Poza tym, zanim opuściłem Francję, wypłacono mi sporą sumę pieniędzy. Spoczywa bezpiecznie w banku, oczywiście zdeponowana na inne nazwisko. Kiedy to wszystko się skończy, wydam ją według własnego uznania.

— Kiedy się skończy? — powtórzyła Hilary. — Dlaczego miałoby się skończyć?

— Trzeba patrzeć realnie — odparł doktor Barron. — Nic nie jest stałe; nic nie trwa wiecznie. Doszedłem do wniosku, że tym miejscem kieruje szaleniec. Szaleńcy, pozwoli pani sobie powiedzieć, potrafią działać bardzo logicznie. Kiedy się ma pieniądze i postępuje logicznie, można długi czas żyć w iluzji, nawet jeśli się jest obłąkanym. Ale w końcu... — Wzruszył ramionami. — W końcu to runie. Ponieważ to, co się tu dzieje, nie jest rozsądne! A to, co nierozsądne, zawsze się rozpada. Choć tymczasem — ponownie wzruszył ramionami — wspaniale mi służy.

Torquil Ericsson, który, jak sądziła Hilary, powinien być bardzo zawiedziony, wyglądał na zadowolonego. Mniej praktyczny niż Francuz, żył we własnym świecie, który dla Hilary był tak obcy, że nie potrafiła go zrozumieć. Dawał mu on jednak jakąś namiastkę szczęścia, wciągał w matematyczne kalkulacje i nie kończące się rozważanie różnych możliwości. Dziwna bezosobowa bezwzględność jego charakteru przerażała Hilary. „Ten człowiek — myślała — opętany ideą, byłby w stanie posłać na śmierć trzy czwarte populacji po to, by pozostała jedna czwarta mogła uczestniczyć w niepraktycznej utopii, istniejącej tylko w jego wyobraźni”.

O wiele bardziej odpowiadał jej Amerykanin, Andy Peters. „Pewnie dlatego — myślała — że choć bardzo zdolny, nie należy do geniuszy”. Wiedziała od innych, że uważany jest za świetnego, dokładnego w pracy chemika, ale nie za wynalazcę. Peters, podobnie jak ona, od początku nie znosił atmosfery ośrodka i bał się jej.

— Nie wiedziałem, dokąd jadę, taka jest prawda — mówił. — Myślałem, że wiem, ale myliłem się. Partia nie ma z tym miejscem nic wspólnego. Nie podlegamy Moskwie. To indywidualne popisy... może jakiegoś faszysty.

— Czy nie za dużo tych etykietek? — zapytała Hilary.

Rozwazał to przez moment.

— Może masz rację. Kiedy się głębiej zastanowić, te wszystkie słowa niewiele znaczą. Ale wiem jedno. Chcę się stąd wydostać i zrobię to.

— Nie będzie ci łatwo — zauważyła, ścisząc głos.

Odbywali poobiedni spacer po dachu, koło fontanny. W ciemnościach, przy wygwieżdżonym niebie mogli poddać się złudzeniu, że otaczają ich pałacowe ogrody jakiegoś sułtana. Funkcjonalne betonowe budynki były niewidoczne.

— Tak — potwierdził Peters. — Nie będzie łatwo. Ale nie ma nic niemożliwego.

— Cieszę się, że to mówisz. Och, tak bardzo się cieszę!

Popatrzył na nią ze współczuciem.

— Zależli ci za skórę? — zapytał.

— Owszem, do pewnego stopnia. Ale nie tego się obawiam.

— Nie? A czego?

— Boję się, że przywyknę — odpowiedziała.

— Tak. — Zamyślił się. — Wiem, co masz na myśli. Poddają nas tu czemuś w rodzaju masowej terapii. Myślę, że masz rację.

— Chyba byłoby o wiele naturalniej, gdyby ci ludzie się buntowali.

— Tak, tak. Myślałem o tym samym. Właściwie zastanawiałem się kiedyś, czy nie odbywa się tu jakieś hokus–pokus.

— Hokus–pokus? Co przez to rozumiesz?

— Szczerze mówiąc, narkotyki.

— Narkotyki?

— Tak. To możliwe. Coś w jedzeniu czy picciu, coś, co wywołuje, jak by to powiedzieć, uległość?

— A istnieje taki środek?

— Cóż, to nie moja działka. Ale przecież podaje się ludziom różne rzeczy na uspokojenie, aby uzyskać od nich zgodę na operację i tym podobne. Natomiast czy jest coś, co podawane stale przez dłuższy czas nie traci skuteczności? Tego nie wiem. Raczej skłaniam się ku twierdzeniu, że osiągają ten efekt w sposób psychologiczny. Myślę, że niektórzy z organizatorów znają się na hipnozie i

psychologii. Działając na naszą podświadomość, permanentnie nam sugerują, że jest nam dobrze i że zmierzamy do konkretnego celu, cokolwiek to jest. Wszystko razem wywołuje właśnie ten ostateczny efekt. Ludzie znający się na rzeczy potrafią w ten sposób bardzo wiele osiągnąć.

— Nie wolno do tego dopuścić — zawołała Hilary z przejęciem. — Ani przez chwilę nie wolno nam przyznać, że tu jest dobrze.

— Jak się czuje twój mąż?

— Tom? Ja... och, nie wiem. To takie trudne... — Niespodziewanie umilkła.

Nie potrafiła rozmawiać z tym człowiekiem o iluzji, w której żyła. Od dziesięciu dni dzieliła mieszkanie z obcym człowiekiem. Sypiali w jednym pokoju. W nocy słyszała na sąsiednim łóżku jego oddech. Oboje zaakceptowali taki stan rzeczy jako nieunikniony. Była oszustką, szpiegiem, gotowym grać każdą rolę i przybierać każdą osobowość. Prawdę mówiąc, nie rozumiała Bettertona. Uważała, że stanowi straszliwy przykład tego, co paraliżująca atmosfera ośrodka może zrobić w ciągu kilku miesięcy z genialnego młodego człowieka. W każdym razie nie było w nim łagodnej akceptacji przeznaczenia. Nie znajdował przyjemności w pracy i coraz bardziej martwił się swoją niezdolnością do koncentracji. Parę razy wracał do tego, co powiedział jej pierwszego wieczoru.

„Nie mogę myśleć. Czuję się, jakby wszystko we mnie wyschło”.

Tak. Tomasz Betterton, prawdziwy geniusz, potrzebował wolności bardziej niż ktokolwiek inny. Nic nie mogło mu zrekompensować utraty swobody. Był w stanie tworzyć tylko w warunkach wolności doskonałej.

„Ten człowiek — myślała — jest bliski poważnego załamania nerwowego”. Ją samą traktował z dziwną obojętnością. Nie działała na niego jako kobieta, nawet się nie zaprzyjaźnili. Wątpliwe też, czy w ogóle przejął się śmiercią żony. Cały czas obsesyjnie myśli tylko o jednym: o swoim uwięzieniu. Raz po raz powtarza:— „Muszę stąd uciec. Muszę. Muszę. Nie wiedziałem. Nie miałem pojęcia, że tak będzie. Jak się stąd wydostać? Jak? Muszę. Po prostu muszę”.

Dokładnie to samo mówi Peters, a jednak jak bardzo się różnią! Peters przemawia z młodzieńczą werwą rozgniewanego i pozbawionego złudzeń mężczyzny. Jest pewny swego i gotów rzucić wyzwanie mózgom strażników. Natomiast buntownicze okrzyki Toma Bettertona wyrzuca z siebie człowiek u kresu wytrzymałości, niemal opętany potrzebą ucieczki. Ale nagle przyszło Hilary do głowy, że za pół roku Peters może stać się taki sam. Naturalny bunt i rozsądna ufność we własne siły mogą się zakończyć oszalałym miotaniem szczura w pułapce.

Tak bardzo chciałyby porozmawiać o tym ze swoim towarzyszem! Gdyby tylko mogła mu powiedzieć: „Tomasz Betterton nie jest moim mężem. Nic o nim nie wiem. Nie wiem, jaki był przed przyjazdem tutaj, i dlatego błędzę w ciemnościach. Nie potrafię mu pomóc, nie wiem, co robić i mówić”. Niestety, musiała uważać na każde słowo.

— Tom wydaje mi się zupełnie obcy. Nie mówi mi o niczym. Czasem myślę, że to uwięzienie, poczucie niewoli, doprowadza go do szaleństwa.

— Możliwe — odparł Peters sucho. — Czasem tak bywa.

— Ale, słuchaj, mówiłeś o ucieczce z takim przekonaniem... Jak możemy stąd uciec? Czy widzisz choćby najmniejszą szansę?

— Nie twierdziłem, że to nastąpi jutro lub pojutrze, Oliwio.

Musimy wszystko dokładnie zaplanować. Ludzie uciekali z najlepiej strzeżonych więzień. Wielu Amerykanów, i nie tylko Amerykanów, napisało książki o ucieczkach z niemieckich fortec.

— To co innego.

— Ale chodzi o to samo. Jeśli można wejść, można i wyjść. Oczywiście podkop nie wchodzi w rachubę, podobnie jak wiele innych sposobów. Ale powtarzam: gdzie jest droga „do”, musi być i „z”. Można próbować różnych metod: podstępu, kamuflażu, oszustwa, wreszcie kogoś przekupić, aż się uda. Trzeba to tylko dobrze przemyśleć. Powiem ci jedno. Ja się stąd wydostanę. Masz na to moje słowo.

— Wierzę, że ci się uda — przyznała, a potem spytała: — A co ze mną?

— Cóż, z tobą to inna sprawa.

W jego głosie zabrzmiało zażenowanie. Przez chwilę zastanawiała się, dlaczego. Potem uświadomiła sobie, że przecież z jego punktu widzenia osiągnęła swój cel. Przybyła tu, by połączyć się z człowiekiem, którego kochała, więc jej wola ucieczki nie powinna być aż tak wielka. Mało brakowało, a uległaby pokusie, by wyznać Petersowi prawdę, ale instynkt ją w porę powstrzymał.

Pożegnała się z nim i zeszła na dół.

Rozdział XVI

— Dobry wieczór, pani Betterton.

— Dobry wieczór, panno Jennson.

— Szczupłej dziewczynie oczy błyszczały podnieceniem zza grubych szkieł.

— Dziś wieczorem odbędzie się zgromadzenie — powiedziała. — Przemówi do nas sam dyrektor!

Aż zachryła z emocji.

— To dobrze — odezwał się stojący w pobliżu Andy Peters. — Chętnie sobie na niego popatrzę.

Panna Jennson spojrzała na niego surowo:

— Dyrektor — powiedziała z naganą w głosie — to nadzwyczajny człowiek.

Odeszła jednym z nie kończących się korytarzy, a Andy Peters zagwizdał cicho.

— Czyżby nie brzmiało to jak *Heil Hitler*?

— O tak, z pewnością!

— Najgorzej, że się w ogóle nie wie, o co tu chodzi. Kiedy pełen młodzieńczego zapału dla idei braterstwa ludzkości opuszczałem Stany, nie miałem pojęcia, że znajdę się w zasięgu władzy kolejnego dyktatora zrodzonego na niebiosach... — Rozłożył ręce.

— Jeszcze tego nie wiemy — upomniała go Hilary.

— Czuję to w powietrzu — rzekł Peters.

— Och — zawołała Hilary. — Jakże się cieszę, że tu jesteś! — Zarumieniła się, gdy popatrzył na nią dziwnym wzrokiem. — Jesteś taki miły i zwyczajny — wyznała w przypiływie szczerości.

Wyglądał na rozbawionego.

— Tam, skąd pochodzę — powiedział — słowo „zwyczajny” nie ma znaczenia, które mu przypisujesz. Oznacza po prostu kogoś przeciętnego.

— Przecież wiesz, że nie o to chodzi. Mam na myśli, że jesteś... jak każdy. Ojej, to też zabrzmiało niegrzecznie.

— Normalny, tak? Masz dość geniuszy?

— Owszem. A ty się zmieniłeś od przyjazdu tutaj. Straciłeś ten gorzki ton, tę... nienawiść.

Natychmiast się zachmurzył.

— Nie licz na to — powiedział. — Mam ją pod skórą. Wciąż potrafię nienawidzić. Są rzeczy, wierz mi, które zasługują na nienawiść.

Zgromadzenie, jak je określiła panna Jennson, odbyło się po kolacji. Wszyscy mieszkańcy ośrodka zebrali się w obszernej sali wykładowej.

Nie brali w tym udziału ci, których można było nazwać personelem technicznym: asystenci z laboratoriów, zespół baletowy, służba i grupa urodziwych prostytutek, sprowadzonych tu dla tych mężczyzn, którzy nie mieli na miejscu żon ani nie nawiązali stosunków z koleżankami z pracy.

Siedząca obok Bettertona Hilary z zaciekawieniem oczekiwała wejścia legendarnego dyrektora. Kiedy wypytywała o niego Toma, udzielał bardzo mglistych odpowiedzi, z których niewiele dowiedziała się o osobowości człowieka kierującego ośrodkiem.

— Nie wygląda może imponująco — powiedział — ale wywiera na nas poważny wpływ. Właściwie widziałem go tylko dwa razy. Nieczęsto się pokazuje. Jest nadzwyczajny, to się czuje, ale uczciwie mówiąc, nie wiem, dlaczego.

Na podstawie nabożnej czci, z jaką panna Jennson i kilka innych kobiet mówiło o dyrektorz, w wyobraźni Hilary wytworzył się obraz złotowłosego olbrzyma z brodą, odzianego w białą szatę, podobnego do któregoś z greckich bogów.

Na widok wchodzącego na podium tęgiego bruneta w średnim wieku, którego obecni uczcili powstaniem z miejsc — niemal ją zamurowało. W jego wyglądzie nie było nic dystyngowanego; równie dobrze mógł być prowincjonalnym biznesmenem. Nie potrafiłaby też określić jego narodowości. Przemówił w trzech językach, przechodząc z jednego na drugi i ani razu się nie powtarzając. Posługiwał się z taką samą wprawą francuskim, niemieckim i angielskim.

— Przede wszystkim niech mi będzie wolno powitać naszych nowych kolegów, którzy niedawno powiększyli nasze grono.

Do każdej z nowo przybyłych osób skierował kilka uprzejmych słów.

Następnie zaczął mówić o celach i podstawach działalności ośrodka.

Hilary próbowała później przypomnieć sobie jego słowa, ale nie była w stanie. Być może dlatego, że w gruncie rzeczy były one banalne i zwyczajne. Ale kiedy się ich słuchało, odnosiło się zupełnie inne wrażenie.

Przypomniała sobie, co opowiadała jej przyjaciółka mieszkająca przed wojną w Niemczech. Jak to kiedyś z czystej ciekawości poszła posłuchać „tego absurdałnego Hitlera” i jak dała się ponieść gwałtownej emocji do tego stopnia, że sama nie wiedziała, kiedy zaczęła wznosić histeryczne okrzyki. Każde słowo wydawało się jej niezwykle mądre i natchnione, ale kiedy później zaczęła je

sobie odtwarzać w pamięci, okazały się bardzo przeciętne.

Właśnie coś takiego miało miejsce i teraz. Hilary mimo woli czuła, jak narasta w niej uniesienie. Dyrektor używał prostych słów. Mówił o roli młodzieży. Że do niej należy przyszłość ludzkości.

— Skumulowane bogactwo, autorytety, wpływowe rodziny — to przeszłość. Dzisiaj cała siła spoczywa w rękach młodych. Mózgi — oto prawdziwa potęga. Mózgi chemików, fizyków, lekarzy... Właśnie w laboratoriach zrodziła się niszczycielska broń o niespotykanej dotąd mocy. Posiadając ją, można zawołać: „Podдай się lub giń!” Nie powinna należeć do tego czy innego narodu. Musi pozostać pod kontrolą tych, którzy ją stworzyli. Ten ośrodek jest ogniwem skupiającym potęgę całego świata. Przybywacie do nas z rozmaitych stron globu, niosąc z sobą waszą twórczość naukową, waszą wiedzę. Przynosicie też młodość! Nie ma tu nikogo po czterdziestym piątym roku życia. .. Gdy nadejdzie odpowiedni dzień, stworzymy trust. Trust Mózgów Ludzi Nauki. Przejmiemy kontrolę nad światem. Będziemy wydawać rozkazy kapitalistom, królom, armiom, przedsiębiorcom przemysłowym. Ofiarujemy światu *pax scientifica*.

I jeszcze więcej, więcej, w kółko te same przyprawiające o zawrót głowy frazesy, jednak nie one były tu ważne, tylko moc, dzięki której mówca panował nad słuchaczami. Nawet ci, którzy z początku odnosili się doń chłodno czy krytycznie, teraz dali się ponieść tej nieokreślonej ekscytacji, o której tak niewiele jeszcze wiadomo.

Kiedy dyrektor zakończył przemówienie gromkim okrzykiem: „Odwaga i zwycięstwo! Dobranoc!”, Hilary opuściła salę z błędnym wzrokiem, w stanie jakiegoś dzikiego uniesienia, które rozpoznała również na twarzach innych. Szczególnie wyraźnie widziała je u Ericssona. Jego wodniste oczy błyszczały, głowa odchylała się w tył jak w ekstazie.

Na ramieniu poczuła rękę Andy’ego Petersa. Szepnął jej do ucha:

— Chodźmy na dach. Przyda się trochę powietrza.

W milczeniu poszli do windy i wkrótce znaleźli się wśród palm pod gwiaździstym niebem. Peters wziął głęboki oddech.

— Tak — powiedział — tego nam potrzeba. Wiatru, który rozwieje obłoki chwały!

Hilary westchnęła głęboko. Czuła się nadal nierealnie. Potrzęsnał nią po przyjacielsku.

— Otrząśnij się z tego, Oliwio.

— Obłoki chwały... — powtórzyła. — Wiesz, to naprawdę było coś takiego.

— Otrząśnij się, mówię ci. Bądź kobietą! Zejdź na ziemię, do rzeczywistości. Kiedy miną objawy zatrucia gazem chwały, zdasz sobie sprawę, że to ta sama stara śpiewka, co zawsze.

— Ale to wspaniałe... wspaniała idea.

— Niech ją szlag trafi... Patrz na fakty. Młodzież, mózgi! *Glory, glory, Hallelujah!* Co to za

młodzież, jakie mózgi? Helga Needheim — bezlitosna egoistka. Torquil Ericsson — niepraktyczny marzyciel. Doktor Barron, który sprzedałby do rzeźni własną babkę za wyposażenie swojego laboratorium. A ja? Zwyczajny facet, jak sama mówiłaś, dobry do probówek i mikroskopu, ale bez pojęcia, jeśli chodzi o sprawne zarządzanie nawet biurem, a co dopiero światem. A twój mąż... tak, powiem to wreszcie: kłębek nerwów, który potrafi myśleć tylko o tym, co mu zrobią, jak się do niego dobiorą. Mówię o znanych osobach, ale tu wszyscy są tacy sami, w każdym razie ci, z którymi się zetknąłem. Kilku to prawdziwi geniusze, znakomici w swoich specjalnościach, ale żeby zaraz rządzić światem? Do diabła, nie rozśmieszaj mnie! Szkodliwy stek bzdur, oto czego wysłuchaliśmy.

Hilary usiadła na betonowym parapecie. Przesunęła dłonią po czole.

— Wiesz — powiedziała — myślę, że masz rację... Ale obłoki chwały nadal się nade mną unoszą. Jak on to robi? Czy sam w to wierzy? Chyba musi.

— Myślę, że to zawsze się sprowadza do tego samego. Jakiś szaleniec uważa się za Boga — rzekł ponuro Peters.

— Pewnie tak — powiedziała Hilary powoli. — Ale jakoś dziwnie mi to nie wystarcza.

— Tak bywa, moja droga. Historia się powtarza. I to bierze. Sam dziś o mały włos się nie złapałem. Podziałało i na ciebie. Gdybym nie zaciągnął cię tutaj... — Nagle zmienił ton. — Chyba nie powinienem tego robić. Co powie Betterton? Może sobie coś pomyśleć.

— Raczej nie. Wątpię, czy w ogóle zauważy. Popatrzyl na nią pytająco.

— Przykro mi, Oliwio. To musi być dla ciebie istne piekło patrzeć jak on się stacza.

— Musimy się stąd wydostać. Musimy. Musimy! — zawołała porywczo.

— Wydostaniemy się.

— Mówiłeś to już wcześniej... ale nie zrobiliśmy żadnych postępów.

— Ależ zrobiliśmy. Nie siedziałem beczynnym.

Popatrzyła na niego zaskoczona.

— Nie mam jeszcze precyzyjnego planu, ale rozpocząłem już działania wywrotowe. Jest tu wiele niezadowolonia, dużo więcej, niż myśli boski *Herr* dyrektor. Na przykład pomiędzy niższą klasą tej społeczności. Jedzenie, pieniądze, luksus, kobiety... to jeszcze nie wszystko. Wydostanę cię stąd, Oliwio.

— I Toma też?

Spochmurniał.

— Posłuchaj, Oliwio, i uwierz w to, co ci powiem. Dla Toma będzie najlepiej, jak zostanie tutaj.

On jest — zawahał się — bezpieczniejszy tutaj niż gdziekolwiek indziej.

— Bezpieczniejszy? Co za dziwne słowo!

— Bezpieczniejszy — powtórzył Peters. — Wiem, co mówię.

Hilary zmarszczyła brwi.

— Nie bardzo rozumiem, co masz na myśli. Uważasz, że Tom zaczyna tracić zmysły?

— Nie. Jest tak samo zdrowy jak ty i ja.

— Więc dlaczego mówisz, że tutaj będzie bezpieczniejszy?

— Klatka, rozumiesz, to naprawdę bezpieczne miejsce — rzekł powoli.

— Och, nie — zawołała Hilary. — Tylko nie mów, że ty też zaczynasz w to wierzyć. Nie mów, że ta zbiorowa hipnoza czy sugestia, czy cokolwiek to jest, działa i na ciebie. Bezpieczny, uległy, zadowolony! Musimy się buntować! Musimy pragnąć wolności!

— Tak, wiem — zaczął Peters powoli. — Ale...

— Tom, w każdym razie, rozpaczliwie chce się stąd wyrwać.

— Tom może nie wiedzieć, co jest dla niego dobre.

Nagle Hilary przypomniała sobie, co dawał jej do zrozumienia Betterton. Jeśli przekazał komuś tajne informacje, będzie ścigany za zdradę tajemnicy państwowej. Peters pewnie do tego robi aluzje. Jednak w tej kwestii Hilary nie miała wątpliwości. Lepiej odsiedzieć wyrok w więzieniu niż pozostać tutaj.

— Tom musi pójść z nami — powtórzyła z uporem. Zaskoczyła ją nagła gorycz w jego głosie:

— Jak chcesz. Ostrzegłem cię. Chciałbym wiedzieć, co, do diabła, sprawia, że tak bardzo zależy ci na tym facecie.

Patrzyła na niego skonsternowana. Odpowiedź natrętnie cisnęła się jej na usta, ale powstrzymała się. Uświadomiła sobie, że chciała powiedzieć: „Nie zależy mi na nim. Nic dla mnie nie znaczy. Był mężem innej kobiety, wobec której mam zobowiązania.” Chciała powiedzieć: „Ty głuptasie, jeżeli na kimkolwiek mi zależy, to na tobie...”

— Dobrze się bawiłaś ze swoim Amerykańcem? — powitał ją Tom Betterton, kiedy weszła do sypialni. Leżał na łóżku i palił papierosa.

Hilary zarumieniła się lekko.

— Przyjechaliśmy tu razem — odparła — i chyba zgadzamy się z sobą w pewnych sprawach.

Roześmiał się.

— Och! Nie winię cię. — Po raz pierwszy spojrział na nią innym okiem. — Jesteś ładna, Oliwio. — Od samego początku Hilary wymogła na nim, by zawsze nazywał ją imieniem żony. — Tak — powtórzył, prześlizgując się po niej wzrokiem z góry na dół. — Jesteś cholernie ładna. Już to kiedyś zauważyłem. A jednak te rzeczy już mnie nie biorą.

— Może to dobrze — rzekła Hilary sucho.

— Jestem zupełnie normalnym mężczyzną, moja droga, albo raczej: byłem. Bóg wie, jaki jestem teraz.

Hilary usiadła obok niego.

— Co się właściwie z tobą dzieje, Tom?

— Mówiłem ci. Nie mogę się skoncentrować. Jako naukowiec rozpadłem się na kawałki. To miejsce...

— Ale inni... Większość z nich nie odczuwa tego tak jak ty.

— Ponieważ są cholernym, gruboskórnym motłochem.

— Nie wszyscy — ucięła Hilary. — Gdybyś tylko miał tu przyjaciela, prawdziwego przyjaciela!

— Cóż, jest Murchison. Chociaż to nudziarz. I ostatnio dużo spędzam czasu z Torquilem Ericssonem.

— Naprawdę? — Z jakiegoś powodu zaskoczyło ją to.

— Tak. Mój Boże, on jest genialny. Chciałbym mieć jego umysł.

— To dziwny człowiek — powiedziała Hilary. — Zawsze mnie przerażał.

— Przerażał? Torquil? Jest łagodny jak baranek. Ma w sobie coś z dziecka. Nie ma pojęcia o świecie.

— Cóż, ja się go jednak boję — upierała się Hilary.

— Ciebie też chyba zawodzą nerwy.

— Jeszcze nie. Ale podejrzewam, że prędzej czy później to nastąpi. Tom, nie zaprzyjaźniaj się za bardzo z Ericssonem.

— Dlaczego? — zdumiał się.

— Nie wiem. Możesz to nazwać przecuciem.

Rozdział XVII

Leblanc wzruszył ramionami.

— Opuścili Afrykę, to pewne.

— Wcale nie.

— Wszystko na to wskazuje. — Francuz potrząsnął głową. — Przecież wiemy, dokąd zmierzali, czyż nie?

— Jeśli zmierzali tam, dokąd myślimy, to dlaczego wyruszyli z Afryki? Łatwiej byłoby z Europy, obojętnie skąd.

— Prawda. Ale jest też druga strona medalu. Nikt się tego po nich nie spodziewał.

— A jednak nie wydaje mi się, żeby szło tylko o to — nie ustępował Jessop. — Poza tym z tego lotniska mógł korzystać tylko mały samolot. Zanim się znalazł nad Morzem Śródziemnym, musiał gdzieś zatankować paliwo. I tam właśnie powinniśmy znaleźć ślad.

— *Mon cher*, zarządziliśmy szczegółowe śledztwo. Szukaliśmy wszędzie...

— Ludzie z licznikami Geigera muszą wreszcie na coś natrafić. W końcu nie ma tak wiele tych samolotów. Wystarczy ślad radioaktywności — i już będzie wiadomo, że to ten, którego szukamy.

— Jeżeli twoja agentka była w stanie użyć aerozolu. Niestety! Zawsze jest tyle tych „jeżeli”...

— Znajdziemy ich — upierał się Jessop. — Tak sobie myślę...

— No?

— Założyliśmy, że udadzą się na północ, przez Morze Śródziemne. A jeśli poleciecieli na południe?

— I wrócili po własnych śladach? Ale dokąd? Są tam góry, Atlas Wysoki, i dalej tylko piaski pustyni.

— *Sidi*, przysięgnij, że będzie, jak obiecałeś. Stacja benzynowa w Ameryce, w Chicago, czy to pewne?

— Pewne, Mohammedzie, pod warunkiem, że się stąd wydostaniemy.

— Sukces zależy od woli Allacha.

— Więc miejmy nadzieję, że Allach chce, żebyś miał stację benzynową w Chicago. Dlaczego akurat w Chicago?

— *Sidi*, brat mojej żony wyjechał do Ameryki i ma pompę z benzyną w Chicago. Czy mam siedzieć na tym pustkowiu do końca moich dni? Są wprawdzie pieniądze i pełno jedzenia, i dużo dywanów, i kobiety, ale tu nie jest nowocześnie. To nie Ameryka.

Peters przyjrzał się uważnie szlachetnej czarnej twarzy. Mohammed w białej szacie był naprawdę godny podziwu. Jakie dziwne pragnienia rodzą się w ludzkich sercach!

— Nie wiem, czy dobrze robisz — rzekł z westchnieniem — ale niech ci będzie. Oczywiście, jeśli nas nakryją...

Czarna twarz błysnęła w uśmiechu pięknymi białymi zębami.

— To będzie oznaczać śmierć. Dla mnie na pewno. Dla ciebie, *sidi*, prawdopodobnie nie, ponieważ cię cenią.

— Dość łatwo szafują tu śmiercią, prawda?

Mohammed pogardliwie wzruszył ramionami.

— Czym jest śmierć? To też wola Allacha!

— Wiesz, co masz robić?

— Tak, *sidi*. Po zapadnięciu zmroku mam cię zabrać na dach. I zanieść ci do pokoju ubranie służącego. Potem czekać na następne polecenia.

— Dobrze. Teraz wypuść mnie z windy. Ktoś może zauważyć, że jeździmy tam i z powrotem. Jeszcze sobie coś pomyśli.

Na wieczornym dancingu Andy Peters tańczył z panną Jennson. Obejmował ją mocno, szepcząc przy tym coś do ucha. Kiedy z wolna wirowali w pobliżu Hilary, spojrzął na nią ukradkiem i bezczelnie puścił oko.

Hilary zagryzła wargę, by się nie roześmiać, i odwróciła wzrok.

Jej oczy spoczęły na Bettertonie, który stał po drugiej stronie sali i rozmawiał z Torquilem Ericssonem. Zmarszczyła brwi.

— Zatańczysz ze mną, Oliwio? — zapytał Murchison, ujmując ją pod łokieć.

— Oczywiście, Simonie.

— Wybacz, ale nie przepadam za tańcem — ostrzegł ją. Hilary skoncentrowała się na stawianiu stóp tak, aby nie mógł ich stratować.

— Traktuję to jak ćwiczenie gimnastyczne — rzekł Murchison posapując. Poczynał sobie dość energicznie.

— Masz fajną sukienkę, Oliwio.

Rozmowa z nim zawsze przywodziła na myśl stare powieści.

— Miło, że ci się podoba — odparła Hilary.

— To z departamentu mody?

Tłumiąc pokusę zapytania: „A istnieje inna możliwość?”, Hilary odrzekła po prostu:

— Tak.

— Muszę przyznać — sapał Murchison, pląsając wytrwale po parkiecie — że bardzo tu o nas dbają. Mówiłem już o tym Biance. Nie trzeba się martwić o pieniądze, podatki, naprawy, jedzenie. Wszystko za nas robią. Myślę, że to cudowne życie dla kobiet.

— Czy Bianka też tak uważa?

— Cóż, z początku była niespokojna, ale teraz wstąpiła do kilku komitetów i zorganizowała parę imprez: dyskusje, wykłady. Narzeka, że nie bierzesz w nich udziału.

— Chyba nie nadaję się do czegoś takiego, Simonie. Nigdy nie byłam specjalnie towarzyska.

— Tak, ale wy, dziewczęta, musicie się w coś bawić. Może źle się wyraziłem, nie dosłownie „bawić”, ale...

— Zajmować się czymś? — podsunęła Hilary.

— Tak. Nowoczesne kobiety zawsze chcą sobie poostrzyć o coś pazurki. Zdaję sobie sprawę, że zarówno ty, jak i Bianka zdobyłyście się na wielkie poświęcenie, przybywając tutaj. Nie jesteście naukowcami, dzięki Bogu! Ach, te uczone damy! Mam ich po dziurki w nosie! Mówiłem Biance: „Daj Oliwii trochę czasu, niech się przyzwyczai.” Czasem musi to potrwąć. Z początku ma się coś w

rodzaju klaustrofobii. Ale to mija, mija...

— Więc sądzisz, że do wszystkiego można przywyknąć?

— Cóż, niektórzy odczuwają to silniej niż inni. Tom, na przykład, przechodzi to chyba wyjątkowo ciężko. Gdzie też się ten chłopak dziś podziewa? O tak, rozumiem, gada tam z Torquilem. Są nierozłączni.

— Nie podoba mi się to. Przecież nie mają z sobą nic wspólnego.

— Młody Torquil jest zafascynowany twoim mężem. Nie odstępuje go na krok.

— Zauważyłam. Zastanawiam się, dlaczego?

— Cóż, ma zawsze w zanadrzu jakieś dziwaczne teorie, o których lubi opowiadać. Ja nie jestem w stanie śledzić toku jego rozumowania; jak wiesz, jego angielski nie jest najlepszy. Ale Tom słucha i zdaje się go rozumieć.

Taniec się skończył. Do Hilary podszedł Andy Peters i poprosił ją do następnego.

— Widziałem, jak cierpisz za sprawę — powiedział. — Czy bardzo cię podeptał?

— Och, umykałam mu, jak mogłam.

— Zauważyłaś, że działałam?

— Z tą Jennson?

— Tak. Myślę, że mogę przyznać bez przesadnej skromności, że zrobiłem wyłom, poważny wyłom w jej linii obrony. Te kanciaste, krótkowzroczne dziewczyny natychmiast reagują na odrobinę zainteresowania.

— Odniosłam wrażenie, że nagle ci odbiło.

— Bo tak miało wyglądać. Ta dziewczyna, Oliwio, jeśli nią właściwie pokierować, może być bardzo przydatna. Wie o wszystkim, co się tu dzieje. Na przykład jutro spodziewają się grupy różnych grubych ryb. Lekarze, dygnitarze rządowi i kilku bogatych sponsorów.

— Andy, czy myślisz, że będzie szansa...

— Nie. Założę się, że o to zadbają. Więc żadnych złudnych nadziei. Ale dzięki temu poznamy procedurę działania w takich wypadkach. A następnym razem... może coś zrobimy. Dopóki ta Jennson będzie mi jadła z ręki, wycisnę z niej wiele cennych informacji.

— Ile ci goście wiedzą?

— O nas — to znaczy o ośrodku — na pewno nic. Mają przeprowadzić inspekcję kolonii

trędownych i laboratoriów medycznych. To miejsce umyślnie zbudowano na kształt labiryntu, żeby nikt nie mógł określić jego rozmiarów. Sądzę, że są tu jakieś przegrody, które zamykają się i odcinają naszą część.

— To brzmi tak niewiarygodnie!

— Wiem. Odczuwa się to jak sen. Jedną z oznak tej nierealności jest brak jakichkolwiek dzieci. I dzięki Bogu! Masz szczęście, że nie masz dziecka. — Wyczuł, jak nagle zeszywniała. — Hej, przepraszam, chyba strzeliłem gafę! — Poprowadził ją w kierunku krzesel. — Bardzo przepraszam — powtórzył.

— Sprawilem ci przykrość, prawda?

— Już nic... to naprawdę nie twoja wina. Miałam dziecko, umarło mi, i tyle.

— Miałaś dziecko...? — Patrzył na nią zaskoczony. — Myślałem, że poślubiłaś Bettertona sześć miesięcy temu? Zarumieniła się i odparła:

— Tak, oczywiście. Ale przedtem byłam już mężatką. Rozwiodłam się z pierwszym mężem.

— Rozumiem. To najgorsza rzecz związana z tym miejscem. Nie wie się nic o ludziach, z którymi się mieszka. Jacy byli przed przyjazdem tutaj. Zawsze można powiedzieć coś niewłaściwego. Czasem ze zdziwieniem dochodzę do wniosku, że właściwie nic o tobie nie wiem.

— Ani ja o tobie. Jak się wychowywałaś i gdzie, co z twoją rodziną...

— Wychowałem się w atmosferze ściśle naukowej. Można by rzec, że karmiono mnie z probówek. Nikomu nic lepszego nie wpadło do głowy. Jednak nie ja byłem cudownym dzieckiem w tej rodzinie. Był nim ktoś inny.

— Kto?

— Dziewczyna. Była genialna. Mogła zostać nową Marią Curie. Mogła odkryć nowe horyzonty.

— Ona... co się z nią stało?

— Zabito ją — odrzekł krótko.

Hilary zrozumiała, że chodzi o jedną z tragedii wojennych.

— Kochałeś ją?— zapytała łagodnie.

— Bardziej niż kogokolwiek. — Nagle drgnął. — Do diaska, mamy dość kłopotów tu i teraz. Spójrz na naszego norweskiego przyjaciela. Wygląda, jakby go całego, poza oczami, wyciosano z drewna. I ten jego cudaczny sztywny ukłon! Istny pajac na sznurku!

— To dlatego, że jest taki wysoki i szczupły.

— Bez przesady. Jest mojego wzrostu, metr osiemdziesiąt, nie więcej.

— Wzrost jest mylący.

— Tak samo jak rysopis w paszportach. Weź Ericssona. Wzrost metr osiemdziesiąt, włosy jasne, oczy niebieskie, twarz pociągła, postawa sztywna, nos średni, usta zwyczajne. Nawet jeżeli dodasz to, czego nie podaje paszport, że mówi poprawnie, ale pedantycznie, nadal nie będziesz miała pojęcia, jak naprawdę wygląda Torquil. Co się stało?

— Nic.

Przyglądała się Ericssonowi. Rysopis Borysa Glydra! Słowo w słowo to, co słyszała od Jessopa. Czy dlatego zawsze obawiała się Torquila Ericssona? Czy to możliwe, by...

Odwróciła się gwałtownie do Petersa.

— Chyba to naprawdę Ericsson? Czy mógłby to być ktoś inny?

Peters popatrzył na nią ze zdziwieniem.

— Ktoś inny? Kto?

— Czy nie... tak tylko myślę, czy nie podszył się pod Ericssona?

Peters myślał przez chwilę.

— Chyba nie. To raczej nie wchodzi w rachubę. Musiałby być naukowcem, a zresztą Ericsson jest bardzo znany.

— Ależ nikt z tu obecnych nie widział go wcześniej! Albo może to Ericsson, a zarazem ktoś inny?

— Myślisz, że Ericsson mógłby prowadzić podwójne życie? Możliwe. Ale mało prawdopodobne.

— No tak — przyznała Hilary. — Istotnie, mało prawdopodobne.

Oczywiście, że Ericsson to nie Borys Glydr. Ale dlaczego Oliwia Betterton tak bardzo nalegała, żeby ostrzec przed nim Toma? Może wiedziała, że Borys jest już w drodze? Może człowiek, który podawał się w Londynie za Glydra, wcale nim nie był? Może był Torquilem Ericssonem? Rysopis się zgadza. Od chwili przyjazdu nie odstępował Toma. Ericsson na pewno jest niebezpieczny. Nie wiadomo, co ukrywa za tymi wodnistymi, sennym? oczyma...

Zadrżała.

— Oliwio, co się stało? O co chodzi?

— O nic. Patrz. Wicedyrektor zamierza coś ogłosić.

Doktor Nielson uniósł dłoń i poprosił o ciszę. Potem przemówił przez mikrofon.

— Przyjaciele i koledzy. Jutro musicie pozostać w „skrzydle bezpieczeństwa”. O jedenastej odbędzie się apel. Ogłaszam alarm na dwadzieścia cztery godziny. Przepraszam za tę niedogodność. Ogłoszenie już wisi na tablicy.

Uśmiechnął się na zakończenie. Znowu zabrzmiała muzyka.

— Muszę zająć się tą Jennson — rzekł Peters. — Widzę, że wypatruje mnie zza filaru. Chcę się dowiedzieć czegoś więcej o tym „skrzydle bezpieczeństwa”.

Odszedł. Hilary siedziała zamyślona. Czy jest przewrażliwioną idiotką? Torquil Ericsson? Borys Glydr?

Apel odbył się w wielkiej sali wykładowej. Obecni byli wszyscy mieszkańcy. Sprawdzono listę, po czym ustawiono ich w długą kolumnę i wyprowadzono.

Droga wiodła jak zwykle przez labirynt krętych korytarzy. Idąca obok Petersa Hilary wiedziała, że ukrył w dłoni mały kompas i próbuje dyskretnie określić kierunek.

— Niewiele to pomoże — szepnął ponuro. — W każdym razie nie w tym momencie. Ale może... kiedyś.

Zatrzymano ich przy drzwiach w końcu korytarza. Peters wyjął papierośnicę, ale Van Heidem zaraz podniósł głos.

— Proszę nie palić. Mówiliśmy o tym przecież.

— Przepraszam.

Peters zatrzymał się z papierośnicą w ręku. Potem ruszyli znowu.

— Jak stado baranów — szepnęła Hilary z niesmakiem.

— Rozchmurz się — mruknął Peters. — Bee, bee, w stadzie czarną owcę mamy, co szatańskie knuje plany.

Rzuciła mu wdzięczne spojrzenie i uśmiechnęła się.

— Damska sypialnia na prawo — oznajmiła panna Jennson. Powiodła swoje owieczki we wskazanym kierunku. Mężczyźni skręcili na lewo.

Sypialnia okazała się olbrzymią salą, przywodzącą na myśl szpital. Pod ścianami stały łóżka pooddzielane plastikowymi zasłonami, które zapewniały minimum odosobnienia. Przy łóżku każdy miał szafkę.

— Wyposażenie jest dość proste — rzekła panna Jennson — ale nie prymitywne. Na prawo mamy

łazienkę, za drzwiami w końcu sali — wspólny salon.

Salon, w którym się trochę później zebrali, był skromnie umeblowany i przypominał poczekalnię lotniska. Po jednej stronie znajdował się bar i bufet z przekąskami, po drugiej rząd półek z książkami.

Dzień upłynął zupełnie miło. Na małym, przenośnym ekranie wyświetlono dwa filmy.

Oświetlenie imitowało światło dzienne, dzięki czemu brak okien nie był uciążliwy. Wieczorem zapalono inny komplet żarówek, które dawały miękkie i dyskretne światło, odpowiednie do tej pory.

— Sprytne — pochwalił Peters. — Pomaga to zwalczyć uczucie pogrzebania żywcem.

Jakże byli bezradni! Gdzieś w pobliżu znajdowali się ludzie ze świata zewnętrznego. I żadnej możliwości nawiązania kontaktu, zaapelowania o pomoc! Jak zwykle wszystko zaplanowano z bezduszną perfekcją.

Peters siedział z panną Jennson. Hilary zaproponowała Murchisonom partię brydża. Tomasz Betterton odmówił. Powiedział, że nie może się skoncentrować. Jako czwarty zgłosił się doktor Barron.

Hilary ze zdziwieniem stwierdziła, że gra sprawia jej przyjemność. O jedenastej trzydzieści, kiedy zakończyli trzeciego robra, okazało się, że ona i doktor Barron wygrali.

— To było dobre — rzekła. Spojrzała na zegarek. — Jest dość późno. Myślę, że goście już pojechali. Czy może zostaną tu na noc?

— Naprawdę nie wiem — odpowiedział Simon Murchison. — Myślę, że najbardziej zainteresowani lekarze mogą zostać. W każdym razie wszyscy wyjadą jutro do południa.

— I wszystko wróci do normy?

— Tak. Do następnego razu. Takie rzeczy naprawdę są denerwujące. Przerwywają nam pracę.

— Ale są dobrze zaaranżowane — zauważyła Blanka z aprobatą.

Razem z Hilary wstały i powiedziały panom „dobranoc”. Hilary przepuściła Blankę przed sobą w drzwiach do ciemnej sypialni. Nagle poczuła, że ktoś delikatnie dotknął jej ramienia. Odwróciła się gwałtownie i zobaczyła jednego z wysokich ciemnoskórych służących. Przemówił cicho po francusku, tonem nie dopuszczającym sprzeciwu:

— *S'il vous plait, madame* *.

— Idziemy? Dokąd?

— Zechce pani udać się za mną,

Przez chwilę wahała się.

Bianka zniknęła już w sypialni. W salonie rozmawiało jeszcze kilka osób.

Raz jeszcze poczuła na ramieniu łagodną, lecz stanowczą dłoń.

— Proszę za mną, *madame*.

Postąpił kilka kroków, po czym obejrzał się, przynaglając ją skinieniem. Niezbyt przekonana, Hilary podążyła jednak za przewodnikiem.

Zauważyła, że ten akurat człowiek był ubrany w bogatszy strój niż większość miejscowej służby. Jego szata była bogato haftowana złotymi nićmi.

Wyprowadził ją przez małe drzwi w rogu salonu; raz jeszcze zagłębili się w nieunikniony labirynt korytarzy. Wydawało się jej, że to inna droga niż ta, którą uprzednio dotarli do „skrzydła bezpieczeństwa”, ale nie miała pewności, bo wszystkie były do siebie niezwykle podobne. Raz spróbowała o coś zapytać, ale przewodnik potrząsnął niecierpliwie głową i przyspieszył kroku.

Wreszcie zatrzymał się przy końcu korytarza i nacisnął guzik w ścianie. Płyta odsunęła się, ukazując małą windę. Gestem polecił jej wejść do środka i ruszyli na górę.

— Dokąd mnie prowadzisz? — zapytała Hilary ostro. Ciemne oczy patrzyły na nią z szacunkiem, ale i czymś w rodzaju nagany.

— Do Mistrza, *madame*. To wielki zaszczyt.

— Masz na myśli dyrektora?

— Mistrza.

Winda zatrzymała się. Przewodnik rozsunął drzwi i wskazał, by wyszła. Potem przeszli kolejny korytarz i dotarli do drzwi. Kiedy służący zapukał, otworzyły się od wewnątrz.

Znowu miała przed sobą białą, haftowaną złotem szatę i czarną twarz, pozbawioną wyrazu.

Nowy przewodnik powiódł Hilary przez wyłożony czerwonym dywanem przedpokój i uniósł zasłonę w odległym rogu. Nieoczekiwanie znalazła się w orientalnym wnętrzu. Były tam niskie sofy, stoliki do kawy i piękne kilimy na ścianach. Na niskim tapczanie siedziała postać, na której widok Hilary niemal wrosła w ziemię. Mała woskowożółta twarzyczka i uśmiechnięte, okolone tysiącem zmarszczek oczy należały do pana Arystydesa.

Rozdział XVIII

— *Asseyez-vous, chère madame* — powiedział pan Arystydes, wskazując jej miejsce małą, podobną od małpiej łapki dłonią. Hilary jak zahipnotyzowana podeszła do drugiego tapczanu naprzeciwko niego i usiadła. Zachichotał z cicha.

— Jest pani zaskoczona — stwierdził. — Nie tego pani oczekiwała, prawda?

— Rzeczywiście nie — odparła Hilary. — Nigdy nie myślałam. . Nawet nie przyszło mi do głowy...

Ale jej zdumienie już opadło.

Gdy tylko rozpoznała pana Arystydesa, nierealny świat, w którym żyła przez ostatnie tygodnie, zatrzęsł się w posadach i rozpadł na kawałki. Wiedziała już, dlaczego ośrodek wydawał się jej nieprawdziwy. Po prostu był nieprawdziwy, a to, co udawał, nigdy nie istniało. Złotousty mówca *Herr* dyrektor był również nierealny, ot, zwykła marionetka, potrzebna do mydlenia oczu. Prawda natomiast znajdowała się tutaj, w tym orientalnym pokoju. Mały staruszek siedzący przed nią i śmiejący się cicho w kułak. Z panem Arystydesem w roli głównej wszystko nabierało sensu, twardego, praktycznego sensu.

— Teraz rozumiem — rzekła Hilary. — To wszystko należy do pana, tak?

— Tak jest, *madame*.

— A ten... tak zwany dyrektor?

— Jest bardzo dobry — rzekł pan Arystydes z uznaniem. — Płacę mu olbrzymią pensję. Prowadził wcześniej spotkania religijne. — Przez jakiś czas palił w zadumie. Hilary również się nie odzywała. — Tam koło pani jest rachatlukum. I inne słodyczne, jeśli pani woli. — Znowu na chwilę zapadła cisza, po czym mówił dalej: — Jestem filantropem, *madame*. Jak pani wie, jestem bogaty. Bardzo bogaty, najbogatszy na świecie. Taki majątek nakłada zobowiązania wobec ludzkości. Ufundowałem w tym bezludnym miejscu kolonię dla trędowatych i wielki ośrodek badawczy zajmujący się problemami leczenia trądu. Niektóre jego odmiany są uleczalne, inne — jak dotąd nie, ale badania trwają cały czas i osiągamy pozytywne rezultaty. Trąd wcale nie jest specjalnie zaraźliwy. Nawet w połowie nie tak jak ospa, tyfus czy dżuma, a jednak na samo słowo „leprozorium” ludzie wzdrygają się z przerażenia i omijają takie miejsca szerokim łukiem. Jest to odwieczny strach, opisany już w Biblii, strach stary jak ludzkość. Wstręt do trędowatego. Wykorzystałem go przy zakładaniu tego ośrodka.

— Założył go pan?

— Tak. Mamy tu także departament onkologiczny, zajmujemy się gruźlicą i wirusologią — dla

potrzeb leczniczych, *bien entendu** żadnej tam broni biologicznej. Wszystko dla ludzi, wszystko za zgodą rządu i wszystko ku mojej sławie. Od czasu do czasu, jak na przykład dzisiaj, goszczą tu znani interniści, chirurdzy i chemicy, by zapoznać się z naszymi osiągnięciami. Budynki są tak chytrze skonstruowane, że część z nich jest niewidoczna nawet z powietrza. Najtajniejsze laboratoria kryją się w tunelach, wykutych w litej skale. W każdym razie ja jestem poza wszelkimi podejrzeniami. — Uśmiechnął się i dodał z prostotą: — Jestem tak bardzo bogaty!

— Ale dlaczego? — żądała odpowiedzi Hilary. — Skąd ta żądza destrukcji?

— Nie zależy mi na destrukcji, *madame*. Myli się pani.

— W takim razie... po prostu nie rozumiem.

— Jestem człowiekiem interesu — wyjaśnił pan Arystydes — i kolekcjonerem. Kiedy bogactwo zaczyna człowieka przytłaczać, to jedyna rzecz, którą się można zajmować. Kolekcjonowałem już wiele rzeczy. Obrazy — mam najwspanialszą kolekcję w Europie. Różne rodzaje ceramiki. Zajmowałem się filatelistyką — moja kolekcja znaczków jest bardzo sławna. Kiedy zbiór staje się w pełni reprezentatywny, pora zająć się czymś kolejnym. Jestem stary, *madame*. Niewiele rzeczy zostało mi do zbierania. Więc w końcu postanowiłem kolekcjonować... mózgi.

— Mózgi? — zdziwiła się Hilary. Łagodnie pokiwał głową.

— Tak, to najciekawsze ze wszystkiego. Krok po kroku zgromadziłem tu najtęższe umysły z całego świata. Sprowadzam młodych, obiecujących ludzi z osiągnięciami. Któregoś dnia zmęczone narody świata obudzą się i zdadzą sobie sprawę z faktu, że ich naukowcy są starzy i wypompowani z pomysłów, a młode mózgi, lekarze, chemicy, fizycy, chirurdzy, są tutaj, w zasięgu mojej władzy. I jeżeli zechcą zatrudnić któregoś z nich, będą musieli go ode mnie kupić!

— To znaczy... — Hilary pochyliła się do przodu, wpatrując się w swego rozmówcę. — To znaczy, że chodzi o gigantyczną operację finansową?

Pan Arystydes raz jeszcze kiwnął głową.

— Tak — powiedział. — Oczywiście. Inaczej nie miałoby to sensu, prawda?

Hilary westchnęła głęboko.

— Nie — odparła. — Tak właśnie czułam.

— Ostatecznie — ciągnął pan Arystydes nieomal przepraszająco — to moja profesja. Jestem finansistą.

— I nie ma w tym żadnego podłoża politycznego? Nie dąży pan do władzy nad światem?

Podniósł rękę, jakby odpychając od siebie nawet myśl o czymś takim.

— Nie chcę być Bogiem — powiedział. — Jestem wierzący. To zawodowa choroba dyktatorów:

sięganie po rolę Boga. Jak dotąd unikałem jej. — Zastanowił się przez chwilę. — Chociaż jeszcze i na mnie może przyjść pora. Tak, może... Ale na szczęście nie teraz.

— Jak udaje się panu sprowadzać tych ludzi?

— Kupuję ich, *madame*. Na wolnym rynku, tak jak każdy inny towar. Czasami za pieniądze, częściej za idee. Młodzi ludzie są marzycielami. Mają ideały, wierzą w różne rzeczy. Czasem kupuję ich za bezpieczeństwo dotyczy to tych, którzy naruszyli prawo.

— To wszystko wyjaśnia — rzekła Hilary. — Wyjaśnia to, co zdumiewało mnie w czasie podróży.

— Ach! Więc coś panią zdumiewało w czasie podróży?

— Tak. Różnice celów. Andy Peters wygląda na absolutnego lewicowca. Ericsson fanatycznie wierzy w nadczłowieka. Helga Needheim jest faszystką z gatunku tych najbardziej butnych i prymitywnych. Doktor Barron... — zawahała się.

— Tak, jemu chodzi o pieniądze — dokończył pan Arystydes. — Doktor Barron jest cywilizowany i cyniczny. Nie ma złudzeń, ale szczerze kocha swoją pracę. Żąda nieograniczonych funduszy na kontynuowanie badań. — Po chwili dodał: — Jest pani inteligentna. Zauważyłem to już w Fezie.

Znowu zachichotał cichutko.

— Nie miała pani pojęcia, że pojechałem do Fezu wyłącznie po to, by panią obserwować, czy też raczej po to tam panią sprowadziłem.

— Rozumiem — rzekła Hilary.

— Z przyjemnością myślałem, że zmierza pani tutaj. Ponieważ, jeśli mnie pani rozumie, nie mam tu zbyt wielu inteligentnych rozmówców. — Machnął lekceważąco ręką. — Ci uczeni, biolodzy, chemicy, nie są interesujący. Może i są genialni w tym, co robią, ale nie umieją prowadzić ciekawych rozmów.

— Ich żony — ciągnął w zamyśleniu — też są przeważnie bardzo nudne. Wcale ich nie zachęcamy do przyjazdu. Pozwalam na to tylko z jednego powodu.

— Jakiego?

— Czasami mąż nie jest w stanie prawidłowo wykonywać swojej pracy, bo myśli za dużo o żonie — odparł sucho pan Arystydes. — Tak było w przypadku pani męża. Tomasz Betterton jest sławnym na całym świecie młodym geniuszem, ale od chwili przyjazdu tutaj zajmował się tylko drugorzędnymi sprawami. Tak, Betterton rozczarował mnie.

— A nie zauważył pan więcej takich przypadków? Ci ludzie są tu więźniami. Z pewnością buntują się, w każdym razie na początku.

— Tak — zgodził się Arystydes. — To naturalne i nieuniknione. Proszę jednak popatrzeć na ptaka

w klatce. Jeśli ma stosunkowo dużo miejsca i wszystko, czego potrzebuje: partnerkę, nasiona, wodę, gałązki, to zapomina, że kiedykolwiek był wolny.

Hilary zadrżała.

— Przeraza mnie pan — powiedziała. — Naprawdę mnie pan przeraza.

— Z czasem zrozumie pani wiele rzeczy, *madame*. Zapewniam panią, że chociaż ci panowie, przybywający tu z różnych powodów, są zawiedzeni i zbuntowani, to w końcu będą wszyscy chodzić na dwóch łapkach.

— Tego nie może pan być pewien.

— Na tym świecie nie można być pewnym niczego. Zgoda. Ale mam dziewięćdziesiąt pięć procent pewności.

Hilary popatrzyła na niego z przerażeniem w oczach.

— Okropność — powiedziała. — Ma pan tu bank mózgow.

— Dokładnie. Dobrze to pani ujęła, *madame*.

— I z tych zasobów zamierza pan kiedyś dostarczać naukowców temu, kto najlepiej zapłaci?

— To w przybliżeniu główna zasada.

— Ale nie może pan tak po prostu wysyłać uczonych jak towar!

— Dlaczego nie?

— Bo kiedy któryś znajdzie się w wolnym świecie, może odmówić pracy dla nowego właściciela. Będzie znowu wolny.

— Do pewnego stopnia ma pani rację. Ale może być pewne, powiedzmy, uwarunkowanie.

— Uwarunkowanie... Co pan przez to rozumie?

— Słyszała pani o leukotomii? Hilary zmarszczyła brwi.

— To operacja mózgu, prawda?

— Tak. Wynaleziono ją jako lekarstwo na melancholię. Nie używam terminologii medycznej, ale takiej, którą pani może zrozumieć. Po operacji pacjent nie ma już myśli samobójczych ani poczucia winy. Jest wolny od trosk, nieświadomy i w większości przypadków posłuszny.

— Ale taka operacja nie udaje się w stu procentach, prawda?

— W przeszłości nie. Tutaj jednak zrobiliśmy duże postępy. Mam trzech chirurgów: Rosjanina,

Francuza i Austriaka. Poprzez liczne operacje, polegające na przeszczepach i delikatnych manipulacjach w mózgu, zbliżają się stopniowo do wywołania u pacjenta stanu uległości i do przejęcia kontroli nad jego wolą. Nie naruszają przy tym jego władz umysłowych. Być może w końcu uzyskamy taki efekt, że człowiek zachowa całą sprawność intelektu, a jednocześnie stanie się absolutnie posłuszny i będzie postępował tak, jak mu się zasugeruje.

— Ależ to straszne! — krzyknęła Hilary. — Straszne!

Poprawił ją spokojnie:

— To pożyteczne. Na swój sposób nawet zbawienne. Pacjent będzie szczęśliwy, zadowolony, bez obaw, pragnień i niepokoików.

— Nie wierzę, że do tego dojdzie — rzekła Hilary wyzywająco.

— *Chère madame*, proszę mi wybaczyć, ale za mało pani wie, żeby o tym mówić.

— Chodzi mi o to — odparła Hilary — że nie wierzę w zadowolone, podatne na sugestie zwierzę, które byłoby jednocześnie zdolne do prawdziwie twórczej pracy.

Arystydes wzruszył ramionami.

— Może. Jest pani inteligentna. Może ma pani rację. Czas pokaże. Eksperymenty trwają.

— Eksperymenty! Na ludziach?

— Ależ oczywiście. To jedyna praktyczna metoda.

— Ale... na jakich ludziach?

— Zawsze są tacy, którzy trafiają tu przez pomyłkę — odparł pan Arystydes. — Ci, którzy nie umieją się dostosować do tutejszego życia, nie chcą współpracować, stają się dobrym materiałem doświadczalnym.

Hilary wbiła paznokcie w poduszkę tapczanu. Czowała, jak bardzo przerażają nieludzkie rozumowanie tego uśmiechniętego staruszka o żółtej twarzy. Wszystko, co mówił, było tak rozsądne, logiczne i rzeczowe, że tylko pogłębiało w niej odrazę. Miała przed sobą nie majaczącego szaleńca, ale człowieka, dla którego inni ludzie byli tylko materiałem do eksperymentów.

— Czyż nie ma pan Boga w sercu? — zapytała.

— Oczywiście, że wierzę w Boga. — Pan Arystydes uniósł brwi. Ton jego głosu zdradzał nieomal szok. — Już to pani mówiłem. Jestem człowiekiem religijnym. Bóg pobłogosławił mnie nadzwyczaj hojnie. Dał mi pieniądze i możliwości.

— Czyta pan Biblię?

— Oczywiście, *madame*.

— Pamięta pan, jak Mojżesz i Aaron powiedzieli do faraona: „Pozwól moim ludziom odejść”?

Uśmiechnął się.

— Więc jestem faraonem? A pani Mojżeszem i Aaronem w jednej osobie? To chciała mi pani powiedzieć? Mam pozwolić odejść im wszystkim czy komuś szczególnie?

— Chciałabym powiedzieć: wszystkim.

— Ale jest pani świadoma, *chère madame*, że byłaby to strata czasu. Więc zamiast tego: czy nie chodzi pani głównie o męża?

— Nie przedstawia dla pana żadnej wartości. Z pewnością do tej pory zdążył pan to zauważyć.

— Może ma pani rację. Tak, jestem bardzo rozczarowany Tomaszem Bettertonem. Miałem nadzieję, że pani obecność przywróci mu geniusz, bo bez wątpienia posiadał go. Jego sława w Ameryce była ustalona. A jednak pani przybycie nie pomogło wiele, właściwie nic. Mówię to na podstawie raportów od specjalistów. Od naukowców, którzy pracują razem z nim. — Wzruszył ramionami. — Odwała sumienną, ale nic nie warta robotę. Nic więcej.

— Nie każdy ptak śpiewa w więzieniu — rzekła Hilary. — Może są naukowcy, którzy nie potrafią twórczo myśleć w takich okolicznościach. Musi pan przyznać, że to wiele tłumaczy.

— Owszem. Nie przeczę.

— Więc niech pan uzna mojego męża za swoją porażkę i pozwoli mu wrócić do świata.

— Niestety, to niemożliwe, *madame*. Nie jestem jeszcze przygotowany na rozgłoszenie wiadomości o tym miejscu.

— Przysięgnie, że zachowa sekret. Nigdy nie piśnie ani słowa.

— Przysięgnie — tak. Ale nie dotrzyma przysięgi.

— Dotrzyma! Och, naprawdę dotrzyma!

— Oto przemawia żona! W takiej sprawie nie można brać pod uwagę zdania żon. Oczywiście... — Odchylił się w tył, stykając końce pożąłkłych palców. — Oczywiście, gdyby na przykład zostawił zakładnika... To mogłoby zamknąć mu usta.

— Kogo pan ma na myśli?

— Panią, *madame*... Jeśli Tomasz Betterton wyjedzie, pani musi zostać. Co pani na to? Zgodziłaby się?

Hilary patrzyła w mrok poza nim. Pan Arystydes nie mógł wiedzieć, jakie obrazy pojawiły się przed jej oczyma. Była znowu w szpitalu przy łóżku umierającej kobiety. Słuchała Jessopa i zapamiętywała jego instrukcje. Jeżeli istnieje szansa, by Tomasz Betterton wyszedł na wolność, podczas gdy ona tu zostanie, czy nie będzie to najlepszy sposób wypełnienia misji? W przeciwieństwie do pana Arystydesa wie przecież, że nie będzie prawdziwą zakładniczką. Nic nie znaczy dla Bettertona. Żona, którą kochał, nie żyje.

Podniosła głowę i spojrzała małemu staruszkowi w oczy.

— Tak. Zgodziłabym się — odparła.

— Jest pani odważna, *madame*, lojalna i oddana. To cenne zalety. Co do reszty... — Uśmiechnął się. — Pomówimy o tym innym razem.

— Och, nie, nie! — Nagle ukryła twarz w dłoniach. Ramiona jej drżały. — Nie zniosę tego! Nie zniosę! To wszystko jest zbyt nieludzkie!

— Proszę się tak nie przejmować, *madame*. — Głos starego człowieka brzmiał czule i kojąco. — Cieszę się, że mogłem pani opowiedzieć o swoich celach i aspiracjach. Ciekaw byłem reakcji kogoś nie przygotowanego. Kogoś takiego jak pani: zrównoważonego, zdrowego na umyśle, inteligentnego. Jest pani przerażona i wstrząśnięta. Jednak myślę, że miałem rację, przedstawiając pani mój plan. Najpierw odrzuci pani tę ideę, potem ją przemyśli, oswoi się z nią i w końcu przywyknie do niej, wyda się pani czymś naturalnym, powszednim.

— Nigdy! — krzyknęła Hilary. — Nigdy! Nigdy!

— Ach — rzekł pan Arystydes. — Przemawia przez panią pasja i bunt, to typowe dla rudych. Moja druga żona — dodał — miała rude włosy. Była piękną kobietą i kochała mnie. Dziwne, prawda? Zawsze podziwiałem rude kobiety. Pani włosy są bardzo piękne. Ale podobają mi się też inne pani cechy. Pani duch, odwaga, fakt, że ma pani własne zdanie. — Westchnął. — Niestety! Kobiety jako takie nie bardzo mnie już interesują. Mam kilka młodych dziewcząt, które czasem mnie zadowolają, ale wolę stymulację umysłową. Proszę mi wierzyć, że pani towarzystwo bardzo mnie odświeżyło.

— A wziął pan pod uwagę, że wszystko powtórzę mężowi?

Pan Arystydes uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Czy wziąłem pod uwagę? A zrobi to pani?

— Nie wiem. Ja... och, nie wiem.

— Ach! — powtórzył Arystydes. — Jest pani mądra. Są pewne sprawy, które kobieta powinna zatrzymać dla siebie. Ale jest pani zmęczona i zmartwiona. Od czasu do czasu odwiedzam to miejsce i jeszcze będzie okazja, żeby podyskutować sobie na różne tematy.

— Proszę mi pozwolić wyjechać! Choćby jutro z panem! — Hilary wyciągnęła do niego rękę. — Och, proszę mnie wypuścić! Proszę! Proszę!

Potrząsnął łagodnie głową. Miał pobłażliwą minę, ale w oczach czaiła się pogarda.

— Teraz mówi pani jak dziecko — rzekł z naganą. — Jak mogę pozwolić pani odejść? Jak mogę pozwolić, by rozniosła pani tę historię po świecie?

— A gdybym przysięgła, że nie pisnę do nikogo ani słowa?

— Nie, naprawdę nie mogę pani uwierzyć — odparł Arystydes. — Musiałbym być głupcem.

— Nie chcę tu być. Nie chcę zostać w tym więzieniu. Chcę się wydostać!

— Ma pani przecież męża. Sama chciała się pani z nim połączyć.

— Ale nie wiedziałam, dokąd jadę. Nie miałam pojęcia.

— Nie — przyznał pan Arystydes. — Nie miała pani pojęcia. Ale zapewniam panią, że tu jest dużo przyjemniej niż za żelazną kurtyną. Ma pani tu wszystko! Luksus, wspaniały klimat, rozrywki...

Wstał i łagodnie poklepał ją po ramieniu.

— Zaaklimatyzuje się pani — rzekł konfidencyjnie. — O tak, rudy ptaszek przywyknie do życia w klatce. Za rok albo dwa będzie pani szczęśliwa! Chociaż prawdopodobnie — dodał w zadumie — mniej interesująca.

Rozdział XII

Następnej nocy Hilary coś obudziło. Uniosła się na łokciu nasłuchując.

— Tom, słyszysz?

— Tak. Samolot. Nisko leci. Nic szczególnego. Przelatują tędy od czasu do czasu.

— Zastanawiam się... — zaczęła, ale nie dokończyła zdania. Leżała w ciemności, myśląc raz po raz o dziwnej rozmowie z panem Arystydesem.

Starszy pan zdawał się ją lubić na swój kapryśny sposób.

Czy dałoby się to wykorzystać?

Czy mogłaby w końcu namówić go, by ją stąd zabrał?

Następnym razem, jeśli po nią pośle, spróbuje go wypytać o tę rudowłosą żonę. To nie ciało go nęci. Jego krew już zbyt wolno krąży w żyłach. Poza tym ma swoje „panienki”. Ale starzy ludzie lubią wspominać. Lubią, kiedy się ich wypytuje o dawne czasy...

Wuj George z Cheltenham...

Hilary uśmiechnęła się w ciemnościach na jego wspomnienie.

Czy wuj George i milioner Arystydes tak bardzo się różnią? Wuj George miał gospodynię: „Taka miła, bezpieczna kobietka, moja droga, niezbyt błyskotliwa ani seksowna, ani nic w tym rodzaju. Sympatyczna, zwyczajna i rozsądna”. Ale wuj George sprawił jednak rodzinie przykrość i ożenił się z tą miłą przeciętną osobą. Bo umiała słuchać...

Co to mówiła Tomowi? „Znajdę sposób ucieczki?” Zdziwiłaby się, gdyby tym sposobem okazał się Arystydes.

— Wiadomość — zawołał Leblanc. — Nareszcie wiadomość! Właśnie wszedł jego podwładny i po zasalutowaniu położył przed nim złożony papier. Francuz otworzył go, bardzo podekscytowany.

— To raport od jednego z pilotów, którzy przeprowadzali rekonesans. Badał wyznaczoną część terytorium Atlasu Wysokiego. Kiedy przelatywał nad pewnym miejscem, zauważył sygnał. Nadano go alfabetem Morse'a i powtórzono dwukrotnie. Oto on.

Położył papier przed Jessopem.

— COGLEPROSIESL.

Oddzielił ołówkiem dwie ostatnie litery.

— SL znaczy „Nie potwierdzam”.

— A COG ma zaczynać każdą wiadomość — dodał Jessop. — To nasz sygnał rozpoznawczy.

— Więc reszta to właściwa wiadomość. — Leblanc podkreślił ją.

— LEPROSIE, trąd. — Przyjrzał się temu słowu z powątpiewaniem.

— Trąd... — powtórzył Jessop.

— Co to może znaczyć?

— Czy macie tu jakieś większe kolonie trędowatych? Zresztą mogą być i małe.

Leblanc rozłożył wielką mapę. Wskazał coś grubym palcem, żółtym od nikotyny.

— Tutaj — zaznaczył — jest obszar, nad którym leciał ten pilot. Zobaczmy. Coś sobie przypominam...

Wyszedł na chwilę z pokoju.

— Mam — powiedział po powrocie. — Jest tam bardzo znany ośrodek badań medycznych, ufundowany przez znanych filantropów. Nawiasem mówiąc, to bardzo odludne miejsce. Dokonano tam już wielu cennych odkryć w dziedzinie leczenia trądu. Kolonia liczy około dwustu trędowatych. Jest również stacja badań onkologicznych i laboratoria przeciwgruźlicze. Wiem, że wszystko jest jak najbardziej autentyczne. Cały ośrodek ma świetną reputację. Patronuje mu sam prezydent republiki.

— Tak — rzekł Jessop z uznaniem. — Faktycznie brzmi to miłutko.

— To miejsce można w każdej chwili zwiedzić. Przyjeżdżają tam zainteresowani lekarze.

— I widzą tylko to, co powinni. Nie ma lepszego kamuflażu dla podejrzanego interesu niż atmosfera najwyższego szacunku.

— Możliwe — rzekł Leblanc powątpiewająco. — To dobre miejsce na przerwę w podróży. Kilku lekarzy z Europy środkowej potrafiłoby chyba zorganizować coś takiego. Mała grupa może się tam zaszyć na kilka tygodni, zanim nie ruszy dalej.

— Myślę, że to coś więcej — rzekł Jessop. — To może być... koniec podróży.

— Myślisz, że to coś na większą skalę?

— „Kolonja trędowatych” brzmi bardzo sugestywnie... Wydaje mi się, że w naszych czasach, stosując odpowiednie metody, trąd można leczyć w domu.

— W cywilizowanych społeczeństwach tak. Ale nie w tym kraju.

— Nie. Ale słowo „trąd” nadal kojarzy się ze średniowieczem, kiedy chorzy nosili dzwonki, aby ostrzegać przed sobą zdrowych. Zwyczajni ludzie nie jeżdżą do kolonii trędowatych. Ci, którzy je odwiedzają, to, jak mówiłeś, lekarze, zainteresowani prowadzonymi tam badaniami i może pracownicy socjalni, chcący sprawdzić warunki życiowe chorych. A właściwie do kogo należy to miejsce? Kim są ci filantropi?

— To łatwe do sprawdzenia. Chwileczkę.

Wyszedł i po chwili wrócił z urzędowym informatorem w ręku.

— To przedsięwzięcie prywatne. Ośrodek ufundowała grupa filantropów z Arystydesem na czele. Wiesz, to ten niesamowicie bogaty facet, znany z działalności charytatywnej. Założył szpitale w Paryżu i Sewilli. Wszystko wskazuje, że sam za tym stoi, a pozostali ofiarodawcy to figuranci.

— Więc to przedsięwzięcie Arystydesa! I właśnie Arystydes był w Fezie w tym samym czasie co Oliwią Betterton.

— Arystydes! — podjął nagle Leblanc. — *Mais... c'est colossal!*

— Tak.

— *C'est fantastique!*

— Owszem.

— *Enfin — c'est formidable!**

— Absolutnie.

— Ale czy zdajesz sobie sprawę, do jakiego stopnia? — Wstrząśnięty Leblanc wycelował palec w swego towarzysza. — Ten Arystydes miesza dosłownie we wszystkim. Pcha się wszędzie. Banki,

rząd, przemysł, zbrojenia, transport. Nigdy go nie widać ani nie słychać. Siedzi sobie w najlepszym w swoim zamku w Hiszpanii, pali cygara, bazgrze kilka słów na skrawku papieru, rzuca go na ziemię. Sekretarz czołga się na kolanach, by go podnieść, a kilka dni później ważny bankier w Paryżu strzela sobie w łeb! Tak to wygląda!

— Jak ty pięknie dramatyzujesz, Leblanc! A w gruncie rzeczy nie ma w tym nic zaskakującego. Prezydenci i ministrowie składają ważne oświadczenia, bankierzy siedzą za okazałymi biurkami i produkują obfite raporty, ale nikogo nie powinno dziwić, że za tymi wielkimi i wspaniałymi osobistościami stoi niepozorny człowieczek, który pociąga za sznurki. Dlatego bynajmniej nie jestem zaskoczony, że zniknięcia to sprawka Arystydesa. Więcej powiem — gdybyśmy trochę pomyśleli, wcześniej doszlibyśmy do tego wniosku. Cała sprawa ma czysto handlowy charakter. Nie ma nic wspólnego z polityką. Pytanie tylko — dodał — co z tym zrobimy?

Leblanc spochmurniał.

— Nie będzie łatwo. Gdybyśmy się mylili... wolę o tym nie myśleć! A nawet jeśli mamy rację, musimy to udowodnić. Powiedzmy, że wdrożymy śledztwo... mogą je odwołać ludzie na najwyższym szczeblu, rozumiesz? Nie, to nie będzie łatwe... Ale — podniósł stanowczym ruchem gruby paluch — zrobi się.

Rozdział XX

Cztery samochody pokonały górzystą drogę i zatrzymały się przed wielkimi wrotami osadzonymi w skale. W pierwszym jechał francuski minister i amerykański ambasador. W drugim brytyjski konsul, członek parlamentu i szef policji. W trzecim dwaj członkowie Komisji Królewskiej i dwaj wybitni dziennikarze. Każdej z tych osobistości towarzyszyła niezbędna asysta. Pasażerami czwartego pojazdu byli pewni panowie, nie znani szerokiemu ogółowi, ale wystarczająco doceniani we własnym środowisku, mianowicie kapitan Leblanc i Jessop. Właśnie nienagannie ubrani kierowcy otwierali drzwi i pomagali wysiąść wybitnym gościom.

— Mam nadzieję — mruknął minister lękliwie — że nie grozi nam żaden niepożądany kontakt.

— *Du tout, monsieur le ministre*. Przedsięwzięto odpowiednie środki ostrożności. Inspekcję przeprowadza się na dystans — pospieszył z uspokajającym wyjaśnieniem ktoś z asysty.

Minister, bojaźliwy starszy człowiek, dał się przekonać. Ambasador powiedział coś o lepszym zrozumieniu i metodach leczenia trądu w obecnych czasach.

Wielkie wrota otworzyły się. Stało za nimi kilku ludzi, którzy zgięli się w powitalnym ukłonie. Był wśród nich tęgi brunet — dyrektor, wysoki blondyn — wicedyrektor, dwóch znakomitych lekarzy i wybitny chemik. Powitanie w języku francuskim było długie i kwieciste.

— *A ce cher Arystydes?* — zapytał minister. — Mam szczerą nadzieję, że zły stan zdrowia nie przeszkodzi mu dotrzymać obietnicy i spotkać się z nami tutaj.

— Pan Arystydes przyleciał wczoraj z Hiszpanii — wyjaśnił wicedyrektor. — Oczekuje panów w środku. Wasza Ekscelencja pozwoli, że poprowadzę.

Grupa podążyła za ministrem, który, ponownie lekko zaniepokojony, zerkał na solidne ogrodzenie po prawej stronie. Trędowaci stali za nim w zwartych szeregach, w bezpiecznej odległości. Minister uspokoił się. Jego stosunek do trądu nadal trącił średniowieczem.

Pan Arystydes oczekiwał gości w bogato umeblowanym nowoczesnym holu. Znowu były ukłony, komplementy i prezentacje. Czarni służący w białych szatach i turbanach podawali aperitify.

— Co za wspaniały zakład — zagadnął Arystydesa jakiś młody dziennikarz.

Ten zrobił jeden ze swych orientalnych gestów.

— Jestem z niego dumny — powiedział. — Jest to, można powiedzieć, mój łabędzi śpiew. Ostatni dar dla ludzkości. Nie szczędziłem kosztów.

— To prawda — przyznał szczerze jeden z lekarzy należących do personelu. — To miejsce jest

marzeniem wszystkich medyków. W Stanach robiliśmy też wiele dobrego, ale to, co widziałem od chwili przybycia tutaj... No i mamy rezultaty! Tak, proszę pana, nasza praca na pewno przynosi efekty!

Jego entuzjazm był zaraźliwy.

— Nie pozostaje nic innego, jak tylko pochylić głowy przed tak wyjątkowym dziełem — powiedział ambasador, kłaniając się uprzejmie panu Arystydesowi.

— Bóg był dla mnie łaskawy — odparł skromnie adresat tych słów.

Gdy tak siedział zgarbiony w fotelu, wyglądał jak mała żółta ropucha. Członek parlamentu szepnął do starego i głuchawego członka Komisji Królewskiej, że przypadek Arystydesa to bardzo interesujący paradoks.

— Ten stary szubrawiec prawdopodobnie zrujnował miliony ludzi i zarobił tyle pieniędzy, że nie wie, co z nimi zrobić, więc w ten sposób je oddaje.

Stary sędzia, do którego skierowane były te słowa, skrzywił się.

— Ciekawe, jakież to wyniki wymagają aż takich wydatków. Większość najgenialniejszych odkryć dokonano zupełnie skromnym wyposażeniem.

— A teraz — zabrał głos Arystydes, kiedy już wymieniono uprzejmości i wypito drinki — proszę mi uczynić zaszczyt i wziąć udział w skromnym posiłku, który już na panów czeka. Doktor Van Heidem będzie pełnił honory domu. Ja sam jestem na diecie i jadam teraz bardzo niewiele. Później zaprosimy panów do zwiedzenia budynku.

Pod przewodnictwem jowialnego Van Heidema goście ochoczo przeszli do jadalni. Po dwugodzinnym locie i godzinnej jeździe apetyty dopisywały. Jedzenie było wyśmienite, co spotkało się ze specjalnymi wyrazami uznania ze strony ministra.

— Cieszymy się tu komfortowymi warunkami — rzekł Van Heidem. — Świeże owoce i warzywa dostarczają samolotem dwa razy w tygodniu, podobnie mięso i kurczęta. Oczywiście mamy specjalne chłodnie. Ciało też domaga się swego udziału w zdobyczach nauki.

Posiłek uzupełnił wyborowy zestaw win i kawa po turecku. Następnie goście udali się na inspekcję. Zająła ona dwie godziny i była bardzo gruntowna. Minister ucieszył się, gdy dobiegła końca. Widok lśniących laboratoriów, nie kończących się błyszczących białych korytarzy oślepił go, czuł się też oszołomiony masą pokazywanych mu szczegółów wyposażenia.

Chociaż zainteresowanie ministra było pobieżne, niektórzy z gości byli bardziej żądni informacji. Pytali o warunki mieszkaniowe personelu i różne inne sprawy. Doktor Van Heidem aż nazbyt chętnie pokazywał wszystko, co było do obejrzenia.

Kiedy grupa wracała do holu, Leblanc i Jessop, pierwszy towarzyszący ministrowi, drugi konsulowi brytyjskiemu, zostali trochę w tyle. Jessop wyjął staromodny, głośno tykający zegarek i

sprawdził czas.

— Żadnego śladu, nic — szepnął rozczarowany Leblanc.

— Ano nic — zgodził się Jessop.

— *Mon cher*, jeśli, jak wy mówicie, postawiliśmy na złego konia, będzie katastrofa! Całe tygodnie przygotowań! Jeżeli o mnie chodzi — to koniec mojej kariery.

— Jeszcze nic straconego — pocieszał go Jessop. — Nasi przyjaciele są tutaj, jestem tego pewien.

— Nie ma najmniejszego śladu.

— Oczywiście, że nie. Nie mogą sobie na to pozwolić. Na czas oficjalnych wizyt wszystko musi grać.

— Wiec skąd wziąć dowody? Powiadam ci, bez dowodów będzie kłapa. Nikt nam nie dowierza. Minister, amerykański ambasador, brytyjski konsul — wszyscy uważają, że taki człowiek jak Arystydes jest poza podejrzeniami.

— Uspokój się, Leblanc, uspokój się. Jeszcze nie przegraliśmy.

Leblanc wzruszył ramionami.

— Jesteś optymistą, mój przyjacielu — powiedział. Odwrócił się, żeby zamienić parę słów z młodym człowiekiem w nieskazitelnym garniturze, po czym zerknął podejrzliwie na Jessopa. — Dlaczego się uśmiechasz?

— Uśmiecham się do jednej ze zdobyczy nauki. Jeśli chodzi o ścisłość — do najnowszego modelu licznika Geigera.

— Nie jestem naukowcem.

— Ja też nie, ale ten bardzo czuły detektor radioaktywności mówi mi, że nasi przyjaciele tu są. Ten budynek celowo zbudowano w taki mylący sposób. Wszystkie korytarze i pomieszczenia są do siebie tak podobne, że bardzo trudno jest określić, gdzie się człowiek znajduje, a także odtworzyć plan. Nie pokazano nam sporej części.

— I wywnioskowałeś to tylko na podstawie wskaźników radioaktywności!

— Dokładnie.

— Znowu te perły?

— Tak. Nadal bawimy się w Jasia i Małgosię. Ale przecież tutaj nie mogła ich rozrzucić jak Małgosia okruszki chleba, więc nie widzimy ich. Wyczuwa je jednak nasz licznik.

— Ach, *mon Dieu*, Jessop, czy to wystarczy?

— Tak — odparł Jessop. — Obawiam się tylko... — urwał.

Leblanc dokończył za niego:

— ... że ci ludzie nie zechcą w to uwierzyć. Byli niechętnie nastawieni od samego początku. O tak, to problem. Nawet brytyjski konsul jest ostrożny. Wasz rząd ma zobowiązania wobec Arystydesa. Tak samo jak nasz. — Wzruszył ramionami. — Będzie niezmiernie trudno przekonać pana ministra.

— Nie ufam rządowi — rzekł Jessop. — Rządzący i dyplomaci mają związane ręce. Musieliśmy ich tu zabrać, żeby podeprzeć się ich autorytetem. Natomiast co do zaufania, liczę na kogoś innego.

— Na kogóż to, mój przyjacielu?

Poważną twarz Jessopa rozjaśnił szeroki uśmiech.

— Jest tu prasa — powiedział. — Dziennikarze mają nosa do nowin. Nie lubią być uciszani. Zawsze są gotowi uwierzyć we wszystko, co jest mało prawdopodobne. Poza tym liczę na tego głuchego staruszka.

— Aha, wiem, o kogo ci chodzi. O tego, który wygląda, jakby stał nad grobem.

— Tak, jemu zależy na prawdzie. Był niegdyś prezesem Sądu Najwyższego i chociaż dziś jest niedołączny, głuchy i półślepy to umysł ma nadal sprawny. Posiada także ten charakterystyczny dla komisarzy prawa zmysł, dzięki któremu natychmiast wyczuwa wszelki swąd, żeby nie wiem jak próbowano to ukryć. On na pewno zechce wysłuchać — i wysłucha — dowodów.

Dotarli znowu do holu. Podano drinki i herbatę. Minister okrągłymi zdaniami gratulował Arystydesowi. Amerykański ambasador dodał swoje wyrazy uznania. Wreszcie minister rozejrzał się dookoła i powiedział, kryjąc zdenerwowanie:

— A teraz, panowie, myślę, że czas już pożegnać naszego uprzejmego gospodarza. Widzieliśmy już wszystko, co było do zobaczenia... — Zrobił znaczącą pauzę. — Wszystko jest wspaniałe. Zakład pierwszej klasy! Jesteśmy winni panu Arystydesowi najwyższą wdzięczność i gratulujemy mu osiągnięć. Teraz się pożegnamy i odjedziemy, prawda?

Te konwencjonalne słowa wypowiedziano w konwencjonalny sposób. Spojrzenie, jakim minister ogarnął grupę gości, mogło oznaczać tylko czystą kurtuazję. W rzeczywistości słowa zawierały błagalną prośbę. Minister naprawdę mówił: „Widzieliście, panowie, że nic tu nie ma. Nic z tych rzeczy, które podejrzewaliście. To wielka ulga, że możemy z czystym sumieniem wyjechać”.

Ale ciszę, która następnie zapadła, przerwał pewien głos. Spokojny, pełen szacunku głos dobrze wychowanego Anglika nazwiskiem Jessop. Przemówił do ministra płynnym francuskim, aczkolwiek z lekkim brytyjskim akcentem.

— Za pozwoleniem, panie ministrze — powiedział — chciałbym prosić naszego gościnnego

gospodarza o pewną przysługę.

— Oczywiście, oczywiście, panie... aha... panie Jessop... proszę, słucham?

Jessop zwrócił się poważnie do doktora Van Heidema, pozornie unikając wzrokiem Arystydesa.

— Spotkaliśmy tu wielu pańskich ludzi — zaczął. — Oszłamiającą liczbę. Ale jest tu również mój stary przyjaciel, z którym chciałem zamienić słówko. Czy byłoby to możliwe jeszcze przed naszym wyjazdem?

— Pański przyjaciel? — zdziwił się Van Heidem.

— Cóż, właściwie dwoje przyjaciół — odparł Jessop. — Jest tu kobieta, pani Betterton, Oliwia Betterton. Wydaje mi się, że jej mąż tu pracuje. Tomasz Betterton. Kiedyś mieszkał w Harwell, a wcześniej w Ameryce. Bardzo chciałbym się z nimi zobaczyć.

Reakcja Van Heidema była perfekcyjna. Jego oczy rozszerzyły się z uprzejmym zdziwieniem. Zmarszczył brwi.

— Betterton... pani Betterton... Nie, obawiam się, że nie ma tu nikogo o takim nazwisku.

— Jest też Amerykanin — mówił dalej Jessop. — Andrew Peters. Chemik. Czy mam rację, panie ambasadorze? — Zwrócił się z szacunkiem do amerykańskiego dyplomaty.

Ambasador, bystry człowiek w średnim wieku o przenikliwych niebieskich oczach, był mężczyzną z charakterem i zdolnym dyplomatą. Przez chwilę patrzył Jessopowi w oczy, wreszcie przemówił:

— Tak, to prawda. Andrew Peters. Chciałbym się z nim zobaczyć.

Uprzejme zdziwienie Van Heidema wzrosło. Jessop dyskretnie zerknął na Arystydesa. Pożółkła twarzyczka nie zdradzała ani zaskoczenia, ani niepokoju. Była obojętna.

— Andrew Peters? Nie, obawiam się, Wasza Ekscelencjo, że ma pan błędne informacje. Nie ma tu nikogo o tym nazwisku. W ogóle go nigdy nie słyszałem.

— Ale o Tomasz Bettertonie chyba pan słyszał, prawda? — zapytał Jessop.

Van Heidem zawahał się na sekundę.

— Tomasz Betterton — powtórzył. — No tak, myślę... Jeden z dziennikarzy wpadł mu szybko w słowo:

— Tomasz Betterton, to przecież była bomba! Kiedy zaginął około pół roku temu, jego nazwisko nie schodziło z nagłówek gazet całej Europy. Policja szukała go wszędzie. Chce pan powiedzieć, że przez ten cały czas Betterton przebywał tutaj?

— Nie — odparł Van Heidem ostro. — Obawiam się, że ktoś pana wprowadził w błąd. Pewnie to

miał być dowcip. Widzieli panowie dzisiaj wszystkich pracowników ośrodka. I w ogóle wszystko.

— Chyba nie wszystko — rzekł Jessop spokojnie. — Jest tu także młody naukowiec, Ericsson. I doktor Louis Barron. I prawdopodobnie pani Calvin Baker.

— Ach! — Van Heidem sprawiał wrażenie, jakby go nagle oświeciło. — Ależ ci ludzie zginęli w Maroku w katastrofie samolotowej. Teraz sobie przypominam. W każdym razie na pewno Ericsson i doktor Louis Barron. O tak, Francja poniosła wielką stratę. Taki człowiek jak doktor Barron jest nie do zastąpienia. — Potrząsnął głową. — O pani Calvin Baker nigdy nie słyszałem, ale przypominam sobie, że była tam jakaś Angielka czy Amerykanka. Możliwe, że pani Betterton, o której pan wspomniał. Tak, to bardzo smutne. — Popatrzył badawczo na Jessopa. — Nie wiem, *monsieur*, dlaczego sądzi pan, że ci ludzie jechali tutaj. Może doktor Barron wspomniał kiedyś, że chce odwiedzić nasz ośrodek podczas pobytu w Afryce Północnej? Może stąd to nieporozumienie.

— Zatem twierdzi pan — odparł Jessop — że jestem w błędzie? Że nie ma tu żadnej z tych osób?

— Jak mogliby tu być, drogi panie, skoro zginęli w katastrofie lotniczej? Przecież znaleziono ciała.

— Znalezione zwłoki były zwęglone, co uniemożliwiało identyfikację — rzekł Jessop z naciskiem.

Nagle za nimi ktoś się poruszył. Słabiutki, lecz wyraźny starczy głos zapytał:

— Czy mam rozumieć, że nie było formalnej identyfikacji? — Lord Alverstoke pochylił się do przodu z dłonią przy uchu. Jego małe bystre oczka patrzyły przenikliwie na Jessopa spod krzaczastych brwi.

— Taka identyfikacja nie była możliwa, milordzie — odparł Jessop. — Mam powody, by wierzyć, że ci ludzie przeżyli wypadek.

— Wierzyć? — zapytał lord Alverstoke z irytacją w głosie.

— Powinienem być powiedzieć, że mam na to dowody.

— Dowody? Jakiego rodzaju, panie... ee... Jessop?

— W dniu opuszczenia Fezu pani Betterton miała na szyi naszyjnik ze sztucznych pereł. Jedną z tych pereł znaleźliśmy w odległości pół kilometra od wraku spalonego samolotu.

— Na jakiej podstawie pan twierdzi, że ta perła pochodziła właśnie z naszyjnika pani Betterton?

— Ponieważ każda z nich miała znak niewidoczny gołym okiem, ale rozpoznawalny pod silnym szkłem powiększającym.

— Kto je nazaczył?

— Ja, milordzie, w porozumieniu z obecnym tu moim kolegą, panem Leblankiem.

— Naznaczył pan perły... zatem musiał pan mieć powód?

— Tak. Miałem powód, by sądzić, że pani Betterton naprowadzi mnie na ślad swego męża, Tomasza Bettertona, na którego wydano nakaz aresztowania — mówił Jessop. — Na obszarze pomiędzy wrakiem spalonego samolotu a tym ośrodkiem odnaleźliśmy jeszcze dwie takie perły. Badając miejsca wokół nich, uzyskaliśmy rysopisy sześciorga ludzi w przybliżeniu odpowiadające tym, którzy rzekomo zginęli w katastrofie. Jedna z tych osób miała przy sobie rękawiczkę z fosforyzującą farbą. Ten znak znaleziono na samochodzie, którym podróżowali przez część drogi.

Lord Alverstoke skomentował to suchym, sędziowskim tonem.

— Nadzwyczajne.

Pan Arystydes poruszył się w swym ogromnym fotelu. Powieki mu zadrgały. Zdecydował się zadać pytanie.

— Gdzie znaleziono ostatnie ślady tej grupy ludzi?

— Na opuszczonym lotnisku. — Jessop podał dokładną lokalizację.

— To setki kilometrów stąd — rzekł pan Arystydes. — Jeśli nawet pańskie interesujące spekulacje są poprawne i wypadek z jakiegoś powodu był sfingowany, to ci pasażerowie odlecieli zapewne z tego opuszczonego lotniska w nieznanym kierunku. Naprawdę nie rozumiem, na czym opiera pan swoje przypuszczenia, że są tutaj. Dlaczego zresztą miałyby tak być?

— Jest kilka przesłanek. Jeden z samolotów zwiadowczych odebrał sygnał. Dotarł on do pana Leblanca. Była to poprzedzona kodem informacja, że ludzie ci znajdują się w ośrodku dla trędowatych.

— To wprost nadzwyczajne — rzekł pan Arystydes. — Ale nie mam wątpliwości, że to próba wprowadzenia pana w błąd. Tych ludzi tu nie ma. — Mówił cicho, lecz dobitnie. — Daję panu wolną rękę, może pan szukać, gdzie tylko zechce.

— Wątpię, czy cokolwiek znajdziemy — rzekł Jessop. — W każdym razie nie podczas powierzchniowych poszukiwań. — Potem dodał z rozmysłem: — Wiem, gdzie trzeba zacząć.

— Czyżby? Gdzie?

— W czwartym korytarzu, licząc od drugiego laboratorium, na końcu skrócić lewo.

Van Heidem poruszył się gwałtownie. Na podłogę spadły dwa kieliszki. Jessop popatrzył na niego i uśmiechnął się.

— Widzi pan, doktorze — powiedział — że jestem dobrze poinformowany.

Van Heidem zareagował ostro.

— To absurdalne! Absurdalnie bezsensowne! Twierdzi pan, że trzymamy tu ludzi wbrew ich woli. Zaprzeczam temu kategorycznie.

— A więc znaleźliśmy się w impasie — skrzywił się minister.

— To interesująca teoria — powiedział pan Arystydes spokojnie. — Ale tylko teoria. — Zerknął na zegarek. — Wybaczcie mi, panowie, ale chyba już czas na was. Macie przed sobą długą drogę do lotniska i na pewno podniosą alarm, jeśli wasz samolot się spóźni.

Zarówno Jessop, jak Leblanc zdawali sobie sprawę z faktu, że zbliża się moment odkrycia kart. Arystydes posługiwał się wszystkimi atutami swej niezwyklej osobowości. Prowokował ich. Gdyby nalegali, oznaczałoby to, że otwarcie występują przeciw niemu. Minister, zgodnie z otrzymanymi instrukcjami, był gotów do kapitulacji. Szef policji sekundował mu ze wszystkich sił. Ambasador Stanów Zjednoczonych, choć niezadowolony, musiał brać pod uwagę racje dyplomatyczne; Konsul brytyjski pewnie dostosuje się do pozostałych.

„Dziennikarze — zastanawiał się Arystydes. — Dziennikarze zasługiwali na uwagę! Mogli mieć wysoką cenę, ale można ich kupić. A jeżeli nie... cóż, są inne sposoby”.

„Co do Jessopa i Leblanca... oni wiedzą, to jasne, ale nic nie zrobią bez poparcia władz.” Arystydes podniósł wzrok i napotkał oczy człowieka równie starego jak on, twarde oczy prawnika. „Nie, tego człowieka się nie przekupi. Ale przecież...” — tu tok jego myśli przerwał dźwięk dobitnego, jakby nieco odległego głosu.

— Jestem zdania, że nie powinniśmy się przesadnie śpieszyć z odjazdem. Ten przypadek wymaga dalszych wyjaśnień. Padły poważne zarzuty, takich słów nie rzuca się na wiatr. Uczciwość wymaga, by dać panu możliwość obalenia oskarżeń.

— Obowiązek dowodu — rzekł pan Arystydes — spoczywa na panach. — Zrobił wdzięczny gest w kierunku grupy. — Spotkały mnie niedorzeczne, niczym nie uzasadnione oskarżenia.

— Nie takie znów niedorzeczne.

Van Heidem obrócił się i ku swojemu zdziwieniu zobaczył jednego ze swoich służących. Był to postawny mężczyzna w białej haftowanej szacie i białym turbanie, o czarnej, świecącej tłuszczem twarzy.

Całą grupę dosłownie замуrowało, kiedy z jego pełnych negroidalnych ust wydobył się głos zdradzający rdzennie amerykańskie pochodzenie.

— Możecie mieć dowody tu i teraz. Ci panowie zaprzeczyli, jakoby przebywali tu Andrew Peters, Torquil Ericsson, państwo Bettertonowie oraz doktor Louis Barron. Skłamali. Oni wszyscy tu są, a ja mówię w ich imieniu. — Podszedł do ambasadora. — Może pan mieć trudności z rozpoznaniem mnie — powiedział. — Jestem Andrew Peters.

Z ust Arystydesa wydobył się ledwie dosłyszalny syk. Potem starzec poprawił się w fotelu, zachowując niewzruszoną minę.

— Ukrywają tu cały tłum ludzi — ciągnął Peters. — Jest tu Schwartz z Monachium, Helga Needheim, są angielscy uczeni, Jeffreys i Davidson, Paul Wade ze Stanów, Włosi — Ricochetti i Bianco, a także Murchison. Są tu, w tym budynku. Jest tu system zamykanych przegród, których nie można dostrzec gołym okiem. Jest cała sieć sekretnych laboratoriów, wykutych wprost w skale.

— Na litość boską! — wyrwało się ambasadorowi. Przyjrzał się uważnie dystyngowanej sylwetce Afrykanina i zaczął się śmiać. — Nawet teraz nie bardzo pana poznaję.

— To zastrzyk z parafiny w wargi, no i jeszcze ten czarny barwnik...

— Jeśli jest pan Petersem, proszę podać swój numer identyfikacyjny w FBI.

— 813471.

— Dobrze — rzekł ambasador. — A inicjały drugiego nazwiska?

— B.A.P.G. Ambasador kiwnął głową.

— Ten człowiek to Peters — oznajmił i popatrzył na ministra. Minister odchrząknął z wahaniem.

— Twierdzi pan — zapytał Petersa — że ci ludzie są tu więzieni wbrew ich woli?

— Niektórzy są tu na własne życzenie, Ekscelencjo, inni nie.

— W takim razie — rzekł minister — musimy poczynić odpowiednie kroki... eee... tak, tak, z pewnością trzeba poczynić kroki.

Spojrzał na prefekta policji, który zaraz wystąpił naprzód.

— Jedną chwileczkę proszę — pan Arystydes podniósł rękę. — Wygląda na to — oznajmił spokojnie i stanowczo — że nadużyto mojego zaufania. — Jego zimne spojrzenie, wyrażające nieodwołalny rozkaz, powędrowało do Van Heidema i dyrektora. — Jeszcze nie jestem zorientowany, na co panowie sobie pozwolili w swym zapale do wiedzy. Moje wsparcie finansowe dotyczyło jedynie badań medycznych. Nie przykładalem ręki do tych praktyk. Radzę panu, *monsieur le directeur*, żeby natychmiast sprowadzić tu tych bezprawnie przetrzymywanych ludzi.

— Ale to niemożliwe. Ja... to będzie...

— Żadnych sprzeciwów — rozkazał Arystydes. — To koniec. — Powiódł po twarzach chłodnym okiem finansisty. — Chyba nie muszę panów przekonywać, *messieurs*, że jeśli działo się tu cokolwiek nielegalnego, to zupełnie nie miałem o tym pojęcia.

Był to rozkaz i przyjęto go do wiadomości, biorąc pod uwagę jego bogactwa, potęgę i wpływ. Nazwisko sławnego na cały świat pana Arystydesa nie mogło być łączone z tą wpadką. Jednak pomimo że wyszedł z całej sprawy bez szwanku, poniósł klęskę. Nie osiągnął celu. Nie stworzył banku mózgów, po którym się tyle spodziewał. A przecież nie przejął się porażką. Zdarzały mu się od

czasu do czasu. Zawsze miał do nich stosunek filozoficzny i zaraz przechodził do nowego *coup*.

Przyłożył dłoń do piersi orientalnym gestem.

— Umywam od tego ręce — oznajmił.

Prefekt policji zabrał się do dzieła. Wiedział już, czego się trzymać, i był gotów do działania w majestacie prawa.

— Proszę mi nie utrudniać — rozkazał. — Moim obowiązkiem jest przeprowadzić pełne dochodzenie.

Van Heidem z pobladłą twarzą wystąpił do przodu.

— Pań pozwoli — powiedział. — Pokażę panu resztę pomieszczeń.

Rozdział XXI

— Och, czuję się jak po koszmarnym śnie — westchnęła Hilary przeciągając się. Siedzieli na tarasie hotelu w Tangerze, gdzie przylecieli rannym samolotem. — Czy to się naprawdę wydarzyło? Aż trudno uwierzyć!

— Owszem, wydarzyło się — odparł Tom Betterton — ale zgadzam się z tobą, Oliwio, że to był koszmar. Ach, jak dobrze, że już po wszystkim!

Na tarasie pojawił się Jessop. Usiadł obok.

— Gdzie jest Andy Peters? — zapytała Hilary.

— Zaraz przyjdzie — rzekł Jessop. — Ma coś do załatwienia.

— Wiec Peters był jednym z twoich ludzi — rzekła Hilary. — To on robił te sztuczki z fosforem i łożowaną papierośnicą. Podobno był w niej radioaktywny materiał. Nic o tym nie wiedziałam.

— Nie — przyznał Jessop. — Nie wiedzieliście nic o sobie nawzajem. Szczerze mówiąc, on nie należy do moich ludzi. Reprezentuje Stany Zjednoczone.

— Pamiętasz, mówiłeś, że kiedy dotrę do Toma, będę prawdopodobnie miała obstawę? Chodziło o Andy'ego?

Jessop skinął głową.

— Mam nadzieję, że nie masz mi za złe — rzekł z jak najpoważniejszą miną. — Jednak nie zapewniłem ci upragnionego końca.

Hilary zdziwiła się.

— Jakiego końca?

— Bardziej sportowej formy samobójstwa.

— Ach, to. — Potrząsnęła niedowierzająco głową. — Wydaje mi się to tak samo nierealne jak cała reszta. Tak długo byłam Oliwią Betterton, że czuję się niepewnie w roli Hilary Craven.

— Ach — zawołał Jessop. — Oto mój przyjaciel Leblanc. Muszę z nim pomówić.

Zostawił ich i podszedł do Francuza.

— Zrobisz dla mnie coś jeszcze, Oliwio? Nadal cię tak nazywam... przyzwyczaiłem się — odezwał się Betterton.

— Tak, oczywiście. Co takiego?

— Przejdź się ze mną przez taras, a potem wróć tu i powiedz im, że poszedłem do siebie, bo musiałem się położyć.

Rzuciła mu badawcze spojrzenie.

— Dlaczego? Co ty... ?

— Zabieram się stąd, moja droga, póki czas.

— Zabierasz się? Dokąd?

— Dokądkolwiek.

— Ale dlaczego?

— Rusz głową, dziewczyno. Nie wiem, jakie są tutejsze przepisy. Tanger to szczególne miejsce, nie podlega jurysdykcji właściwie żadnego kraju. Ale wiem, co się stanie, kiedy razem z wami przekroczę Gibraltar. Natychmiast mnie aresztują.

Popatrzyła na niego z troską. W podnieceniu ucieczką zapomniała o kłopotach Toma Bettertona.

— Masz na myśli dekret o tajemnicy państwowej, czy jak tam się to nazywa? Ale czy naprawdę sądzisz, że uda ci się uciec? Dokąd pójdziesz?

— Mówiłem ci. Dokądkolwiek.

— Czy to w ogóle możliwe? A pieniądze, a inne trudności?

Roześmiał się krótko.

— Pieniądze mam. Są złożone w bezpiecznym miejscu na fałszywe nazwisko.

— Więc naprawdę je wzięłeś?

— Oczywiście, że wzięłem.

— I tak cię wyśledzą.

— Z tym będą kłopoty. Czy nie rozumiesz, że rysopis, jaki posiadają, różni się znacznie od mojego obecnego wyglądu? Dlatego tak nalegałem na tę operację plastyczną. To istota całego przedsięwzięcia. Wydostać się z Anglii, ukryć pieniądze, zmienić powierzchowność tak, aby zapewnić sobie bezpieczeństwo.

Hilary popatrzyła na niego z powątpiewaniem.

— Mylisz się — rzekła. — Jestem pewna, że się mylisz. Lepiej byłoby wrócić i stanąć przed

sądem. Przecież to nie wojna. Mogą cię uwięzić tylko na jakiś krótki okres. Czy jest sens być ściganym przez resztę życia?

— Nie rozumiesz — odparł. — Nie masz pojęcia, co tu jest grane. Chodź. Nie ma czasu do stracenia.

— Ale jak wydostaniesz się z Tangeru?

— Poradzę sobie. Nie martw się.

Podniosła się i przeszła z nim powoli przez taras. Czuła się dziwnie nie na miejscu z tą narzuconą tajemnicą. Wypełniła już zobowiązania zarówno wobec Jessopa, jak i zmarłej Oliwii Betterton. Nie było już nic więcej do zrobienia. Z Tomaszem Bettertonem spędzili kilka tygodni w bezpośredniej bliskości, ale czuła, że nadal są sobie obcy. Nie zawiązała się między nimi najcieńsza nić przyjaźni ani nawet koleżeństwa.

Doszli do końca tarasu. Była tam w murze mała furtka, a za nią wąska droga wijąca się w dół zbocza w kierunku portu.

— Wymknę się tędy — rzekł Betterton — nikt nie patrzy. Cześć.

— Powodzenia.

Patrzyła, jak Betterton podchodzi do furtki i ujmuje klamkę. Nagle jakby wrósł w ziemię. W przejściu stało trzech panów. Dwaj z nich weszli do środka, a jeden przemówił formalnie:

— Tomasz Betterton, jest pan aresztowany. Do czasu zakończenia starań o ekstradycję zostanie pan osadzony w tutejszym więzieniu.

Betterton odwrócił się gwałtownie, ale drugi mężczyzna stanął szybko przy nim. Naukowiec roześmiał się.

— Wszystko w porządku — rzekł — poza tym, że nie jestem Tomaszem Bettertonem.

Trzeci mężczyzna wszedł do środka i stanął obok swoich towarzyszy.

— Ależ jesteś — powiedział. — Jesteś Tomaszem Bettertonem.

Ten roześmiał się.

— Chodzi ci o to, że przez ostatni miesiąc mieszkałeś ze mną pod jednym dachem i słyszałeś, że nazywano mnie Tomaszem Bettertonem, a także, że sam się tak przedstawiałem. Ale nie jestem nim. Spotkałem go w Paryżu i zająłem jego miejsce. Spytaj tę panią, jeśli mi nie wierzysz. Przyjechała, by się ze inną połączyć, udając moją żonę, a ja rozpoznałem ją jako Oliwię. Czyż nie? — Hilary kiwnęła głową. — Zrobiłem to — ciągnął uczony — ponieważ nie będąc Tomaszem Bettertonem, nie znałem jego żony. Byłem przekonany, że to ona. Potem wymyśliłem wyjaśnienie, które ją usatysfakcjonowało. Ale to prawda.

— Więc dlatego udawałeś, że mnie znasz — krzyknęła Hilary. — Wtedy kiedy kazałeś mi grać... podtrzymywać to szachrajstwo!

Betterton roześmiał się, znowu pewny siebie.

— Nie jestem Bettertonem — powiedział. — Popatrzcie na jakąkolwiek fotografię Bettertona, a zobaczycie, że mówię prawdę.

Peters postąpił krok naprzód. Jego głos zupełnie nie przypominał głosu Petersa, który Hilary znała tak dobrze. Był spokojny, lecz groźny.

— Widziałem fotografię Bettertona — oznajmił — i zgadzam się, że nie można cię na nich rozpoznać. Ale jesteś Tomaszem Bettertonem i udowodnię to. — Chwycił go nagle mocno i jednym szarpnięciem ściągnął mu marynarkę. — Jeśli jesteś Bettertonem — powiedział — w zgięciu prawego łokcia masz bliznę w kształcie litery Z.

Po czym rozerwał mu koszulę i wykręcił rękę.

— Proszę bardzo — pokazał triumfalnie. — Są tu dwaj asystenci z laboratorium w USA, którzy to poświadczą. Wiem o bliźnie, bo Elza pisała mi o niej.

— Elza? — Betterton wpatrywał się w Petersa, dygocząc nerwowo. — Elza?

— Spytaj, o co jesteś oskarżony! Policjant pospieszył z odpowiedzią.

— Jest pan oskarżony o morderstwo z premedytacją. Morderstwo pańskiej żony, Elzy Betterton.

Rozdział XXII

— Przykro mi, Oliwio. Musisz wierzyć, jak bardzo mi przykro, że musiałaś przez to przejść. Ze względu na ciebie dałem mu jedną szansę. Ostrzegałem cię, że będzie bezpieczniejszy, pozostając w ośrodku, chociaż ścigałem go przez pół świata za to, co zrobił z Elzą.

— Nie rozumiem. Nic nie rozumiem. Kim jesteś?

— Myślałem, że wiesz. Jestem Borys Andrzej Pawłow Glydr, kuzyn Elzy. Wysłano mnie z Polski do Ameryki, bym tam na uniwersytecie dokończył edukacji. Ze względu na sytuację w Europie wuj uznał, że powinienem przyjąć obywatelstwo amerykańskie. Przybrałem nazwisko Andrew Peters. Po wybuchu wojny wróciłem do Europy. Działalem w Ruchu Oporu. Wydostałem z Polski wuję i Elzę, wysłałem ich do Ameryki. Elza... Mówiłem ci już o niej. Była jedną z największych uczonych naszych czasów. To ona odkryła rozszczepienie ZE. Betterton był młodym Kanadyjczykiem, którego przydzielono Mannheimowi do pomocy w jego eksperymentach. Znał się na swojej robocie, ale żaden z niego geniusz. Z rozmysłem uwiódł Elzę i ożenił się z nią, żeby dołączyć swoje nazwisko do jej prac. Zdawał sobie sprawę ze znaczenia rozszczepienia ZE. Kiedy eksperymenty zbliżały się ku końcowi, z premedytacją otrul żonę.

— Och, nie, nie.

— Ależ tak. Nikt niczego wtedy nie podejrzewał. Udawał załamane, rzucił się na nowo w wir pracy i ogłosił rozszczepienie ZE jako własne odkrycie. Przyniosło mu ono to, czego pragnął. Sławę i pozycję genialnego naukowca. Potem uznał, że roztropniej będzie opuścić Amerykę i przyjechać do Anglii. Zaczął pracować w Harwell.

Jeszcze jakiś czas po wojnie byłem związany pracą w Europie. Znałem dobrze niemiecki, rosyjski i polski i mogłem być bardzo przydatny. List, który napisała do mnie Elza przed śmiercią, zaniepokoił mnie. Choroba, na którą cierpiała, wydawała mi się tajemnicza i niewytłumaczalna. Kiedy wróciłem do Stanów, rozpocząłem śledztwo. Wkrótce znalazłem to, czego szukałem. Wystarczyło, żeby uzyskać zgodę na ekshumację. Był przy tym młody człowiek z biura prokuratora okręgowego, wielki przyjaciel Bettertona. Zaraz potem wybrał się w podróż do Europy. Myślę, że odwiedził go i wspomniął o ekshumacji. Betterton poczuł, że grunt pali mu się pod nogami. Chyba już wcześniej kontaktowali się z nim agenci Arystydesa. W każdym razie uznał, że to szansa na uniknięcie wyroku za morderstwo. Przyjął warunki, zastrzegając sobie operację plastyczną twarzy. Oczywiście potem okazało się, że i tak znalazł się w więzieniu. Na dodatek jego pozycja była zachwiana, ponieważ nie potrafił dostarczyć im towaru, naukowego towaru. Nigdy nie był geniuszem.

— A ty śledziłeś go?

— Tak. Kiedy gazety doniosły o sensacyjnym zaginięciu naukowca Tomasza Bettertona, przyjechałem do Anglii. Z jednym z moich utalentowanych przyjaciół próbowała prowadzić rokowania niejaka pani Speeder, pracownica ONZ. Po przyjeździe do Anglii odkryłem, że spotkała

się też z Bettertonem. Odegrałem przed nią rolę naukowca, przedstawiłem swoje lewicowe poglądy, dość mocno wyolbrzymiając talenty zawodowe. Widzisz, myślałem, że Betterton uciekł za żelazną kurtynę, gdzie nikt by go nie dosięgnął. Cóż, skoro tak, postanowiłem, że ja tego dokonam. — Zacisnął usta w wąską linię. — Elza była genialnym naukowcem i piękną, delikatną kobietą. Została zabita i obrabowana przez mężczyznę, którego kochała i któremu ufała. Gdyby to było konieczne, udusiłbym go własnymi rękami.

— Rozumiem — szepnęła Hilary. — Och, teraz rozumiem.

— Napisałem ci o tym — ciągnął Peters — kiedy przyjechałem do Anglii. Napisałem ci wszystko i podpisałem się polskim nazwiskiem. — Popatrzył na nią. — Chyba mi nie uwierzyłaś. Nigdy nie odpowiedziałaś na ten list. — Wzruszył ramionami. — Potem poszedłem do ludzi z wywiadu. Początkowo udawałem polskiego oficera. Byłem sztywny, bardzo formalny, taki jaki w ich pojęciu powinien być cudzoziemiec. Podejrzewałem wszystkich. W końcu jednak dogadałem się z Jessopem. — Nabrał tchu. — Dziś rano moja pogoń dobiegła końca. Wystąpiono o ekstradycję, Betterton zostanie odesłany do Stanów — i postawiony przed sądem. Jeśli go uniewinnią, pogodzę się z tym. — Potem dodał z mocą: — Ale nie uniewinnią go. Dowody są niezbite.

Przerwał. Jakiś czas wpatrywał się w zalane słońcem ogrody nad brzegiem morza.

— Piekło zaczęło się od momentu — ciągnął dalej — w którym pojawiłaś się, by się z nim połączyć. Poznałem cię i zakochałem się w tobie. To naprawdę było piekło, Oliwio, wierz mi. Teraz sama widzisz. Jestem człowiekiem, który odpowiada za wysłanie twojego męża na krzesło elektryczne. Nie uciekniemy od tego. Nigdy nie potrafisz zapomnieć, nawet jeśli mi wybaczysz. — Wstał. — Cóż, chciałem, byś usłyszała całą tę historię z moich ust. To jest pożegnanie. — Odwrócił się gwałtownie i chciał odejść, ale Hilary wyciągnęła rękę i przytrzymała go.

— Poczekaj — zawołała. — Jest coś, o czym nie wiesz. Nie jestem żoną Bettertona. Oliwią Betterton zmarła w Casablance. Jessop namówił mnie, bym zajęła jej miejsce. Wytrzeszczył oczy.

— Nie jesteś Oliwią Betterton ?

— Nie.

— Dobry Boże! — westchnął. — Dobry Boże! — opadł ciężko na krzesło obok niej. — Oliwio — wyszeptał — Oliwio, kochanie.

— Nie nazywaj mnie Oliwią. Mam na imię Hilary. Hilary Craven.

— Hilary? — powtórzył pytająco. — Będę musiał do tego przywyknąć. — Ujął jej dłonie.

Po drugiej stronie tarasu Jessop omawiał z Leblankiem różne techniczne trudności związane z obecną sytuacją. Nagle przerwał mu w połowie zdania.

— Co mówiłeś? — zapytał nieobecny głosem.

— Mówiłem, *mon cher*, że nie wydaje mi się, byśmy mogli wystąpić przeciwko temu potworowi

Arystydesowi.

— Nie, nie. Arystydesi zawsze wygrywają. Zawsze spadają na cztery łapy. Ale straci masę pieniędzy i to mu się nie spodoba. Zresztą nawet Arystydes nie będzie żył wiecznie. Wkrótce stanie przed Najwyższym Sędzią.

— Czemu się tak przyglądasz, mój przyjacielu?

— Tej parze — odparł Jessop. — Wysłałem wprawdzie Hilary Craven w podróż w nieznane, ale coś mi się zdaje, że zakończyło się to dla niej zupełnie zwyczajnie.

Leblanc zastanawiał się przez chwilę, wreszcie wykrzyknął:

— Aha! Tak! Jak u Szekspira!

— Wy Francuzi jesteście tacy ocytani! — przyznał Jessop.

* Brzydka sprawa!

* To koniec.

* Tłum. Anna Bańkowska

* Tym gorzej dla Piotra (...) Jest doprawdy nieznośny! Za to ten mały Juliusz, jaki milutki. I ma ojca dobrze ustawionego w interesach. Czyli zdecydowane!

* W latach sześćdziesiątych rząd brytyjski wprowadził znaczne ograniczenia wywozu pieniędzy za granicę.

* Wśród oleandrów,

Marząc o słodkich sprawach...

* Gdzie są...

* — Ależ chodź tu, Bobo. Co ty wyprawiasz? Pośpiesz się.

— Zostaw piłkę, kochanie, pora na lunch.

* Pieśń nad Pieśniami 4,12 (tłum. wg Biblii tysiąclecia)

* Moje uszanowanie.

* W dobrej wierze.

* Zawsze te nieznośne opóźnienia.

* W oryginale: *costume jewellery* — sztuczna biżuteria; dosłownie: kostiumowa, sceniczna biżuteria. Ponieważ bohaterowie byli właśnie poprzebierani, rzeczywiście mogło to zabrzmieć śmiesznie.

* Napis na bramie piekła w Boskiej komedii Dantego, tłum. E. Porębowicz.

* Cieszę się z poznania pana, drogi doktorze.

* sprzedawczyni

* racja bytu

* Możliwe

* zakonnica

* W końcu to coś niesamowitego!

* Pozwoli pani.

* ma się rozumieć

* Wreszcie— to straszne!